

Biblioteka
UMK
Toruń

377533

PROF. FELIKS KONECZNY

ŚWIĘCI W DZIEJACH NARODU POLSKIEGO

TOM VII i VIII

MIEJSCE PIASTOWE — 1939

NAKŁADEM TOWARZYSTWA ŚWIĘTEGO MICHAŁA ARCHANIOLA

377533



szłości zgromadzenia, dowodzą, jak głęboko czuł i widział. „Post ciągly w domach Trapistów; modlitwy długie i gorące — bo kiedy się Bogdan modlił, zapalał się cały na twarzy; wszystko to, tuczając duszę, musiało wycieńczyć ciało. Nareszcie pod jesień 1839 r. w podróży do collegium Juilly w okolicach Paryża, gdzie był paru rodaków umieścił, przemokły do nitki i zaziębiony wrócił z katarem, który się rychło w suchoty przemienił“. W tym stanie zdecydował się na trudną i daleką podróż (pamiętajmyż że kolei żelaznych jeszcze nie było).

Zamierzając zabrać się do systematycznych studiów teologicznych, postanowił dokonać tego w Rzymie, pośród tych kilku swych „Braci Zjednoczonych“, którzy już dostąpili święceń kapłańskich. Przybył do wiecznego miasta w r. 1840, lecz tak już osłabiony chorobą, iż dla lekarzy widocznym było, że to już początek końca. On sam, jak zwykle bywa przy chorobach piersiowych, ani przypuszczał, żeby z nim miało być tak źle. Jak świadczą dalej zapiski ks. Kajsiewicza, „siłę i pogodę umysłu obok słodyczy serca zachował do końca. Jeśli na chwilę drażliwość czysto nerwowa go podchwyciła, sam się niejako sobie dziwił, i uderzając ręką w czoło, mówił: co się też ze mną dzieje? Doktor, który obok przybyłego brata Terleckiego (lekarz zakonnik) go leczył, tak się w chorym rozmiłował, że nie miał serca pomimo próśb naszych ostrzec go o bliskiej śmierci. Gdy w końcu jeden z naszych to uczynił, nie zmieszał się bynajmniej: „Nie od dzisiaj — rzekł — myślę o śmierci: od dawna się do niej sposobie; nie sądziłem jednak, żeby już tak była blisko“. A potem z rodzajem łagodnego żalu dodał: „czemuż mię doktor nie ostrzegł, kiedym go o to prosił“. Niezwłocznie zaczął dyktować ostatnie swe rozporządzenie. Ostatnie Namaszczenie i Przenajświętszy Sakrament przyjął z wielką pobożnością i przy-

tomnością, która go jednak rychło opuściła. Skonał łagodnie nad ranem dnia 2 lipca (1840 r) w dzień Nawiedzenia Matki Boskiej, wśród klęczących wokoło i łzawo się modlących braci“.

Zwłoki jego pogrzebano na cmentarzu przy kościele św. Wawrzyńca (przybyło tam następnie grobów polskich). Wydano wizerunki litografowane świątobliwego Bogdana a opatrzone je z całą słuszością następującym napisem.

„Śp. Bogdan Jański, pierwszy pokutnik jawny i apostoł emigracji polskiej we Francji“.

Charakter i zasługi Jańskiego określił wybornie Semeneńko, mieniając go mężem ze wszech miar niepospolitym; nazywał go gwiazdą-zwiastunką, pochodnią wskazującą drogę, posłańcem z góry, aniołem przewodnikiem, wielbiąc w nim duszę wielką, niezłomną, niczym niezachwianą, jasną, czystą i pogodną.

Pozostali bracia, pokończywszy wyższe studia teologiczne, i uzyskawszy nawet stopnie doktorskie, spragnieni ostatnich święceń i godności kapłańskiej — natrafili jednak na nowe niespodziane trudności. Odczuwali znów długą rękę ambasady rosyjskiej w Rzymie. Robiono istne studia około formalności, żeby ich wyszukać i nagromadzić tak najwięcej, ażeby zamiary Jańskiego rozbiły się o jaką formalność. Zręby zakonu były gotowe jeszcze za życia pańskiego, w r. 1839, a tymczasem oni nie mogli otrzymać święceń kapłańskich! Pochodzili niemal wszyscy z zaboru rosyjskiego, byli więc oficjalnie poddanymi cara i w tym ambasada rosyjska znajdowała usprawiedliwienie, że się nimi tak mocno interesuje. Ze strony rosyjskiej robiono w Rzymie przedstawienia, że powołanie duchowne jest u nich tylko pozorem, żeby tym lepiej ukryć spisek, że to sprawa nie kościelna, lecz polityczna, bo to sprzysiężenie, chcące nadużyć powagi Kościoła, żeby pod szatą kapłań-

ską moc bezpieczniej spiskować przeciw carowi. Podniesiono więc znów kwestię, że oni nie mają diecezji, że nie posiadają żadnej przynależności kościelnej itp. Trudno dziś dać temu wiarę, że wstrzymano im święcenia przez dwa lata i dopiero w r. 1841 mogli zostać kapłanami. Kancelarie papieskie nie chciały wywoływać niechęci rządu rosyjskiego, a to w obawie, żeby nieprzyjaźń caratu nie dała się we znaki Kościołowi polskiemu pod rosyjskim zaborem.

Nadeszły atoli z Polski niebawem wieści groźne. Prześladowanie religii już tam szalało! Starano się ukryć ten stan rzeczy przed Europą, jednakże wiadomości zaczęły po jakimś czasie przenikać za granicę i dotarły do dworu papieskiego. Następowala stopniowa zmiana zapatrywań na Rosję; w otoczeniu Ojca św. zyskiwali Polacy więcej życzliwości i zaufania, skoro się okazała ich wiarygodność, a przewrotność i kłamliwość agentów ambasady rosyjskiej.

W r. 1839 car znosił urzędowo unię na Rusi i Litwie w tzw. Krajach Zabrzanych, tj. w prowincjach dawnego państwa polskiego poza Kongresówką. Gwałt przygotowywany był w tajemnicy, podczas gdy w Watykanie kołatano, żeby władze papieskie nie zezwalały na wyświęcenie kilku starszych już wiekiem kleryków polskich, bo to będzie dopomaganiem polskim spiskowcom! Trzeba było przeczekać nie mało przykrości, zanim się poznano na tej przewrotności. Lecz gdy wreszcie otrzymali święcenia w r. 1841, spotkał tych przodowników polskich odrodzenia religijnego z innej strony ciężki cios: Mickiewicz się odwrócił. Niedawno jeszcze utrzymywał stosunki jak najprzyjaźniejsze z ks. Kajsiwiczem i wypisał dla niego szczerzy pogląd na swe życie, istną spowiedź generalną na piśmie! Dla usposobienia naszego największego poety znamienne są słowa z listu do dawnego swego profesora z Wilna, sławnego historyka Lelewela: „na katolicyzmie

trzeba grunt położyć". A tymczasem w r. 1841 zaczął się przykry rozdzwiek z Kościołem, a to z powodu sekty Andrzeja Towiańskiego.

Mickiewicz czuł zawsze wielką skłonność do mistycyzmu. Najtrudniejsza to część teologii, dostępna tylko dla gruntownych jej znawców, bo inaczej łatwo pobłądzić na zawitych ścieżkach mistyki. A Mickiewicz był przecież w tej dziedzinie tylko samoukiem. Od dawnych jeszcze lat czytywał rozmaitych autorów mistycznych, nie posiadając należytego przygotowania teologicznego. Na emigracji w Paryżu napisał największe arcydzieło polskiej poezji „Pana Tadeusza“ i to był ostatni jego poemat. Przeszwał pisać pod wpływem mistyki. W r. 1835 wyraził zapatrywanie, jako w przyszłości „trzeba będzie być świętym, żeby być poetą; trzeba będzie natchnienia i wiadomości z góry o rzeczach, których rozum powiedzieć nie umie... Te myśli często budzą we mnie żal i ledwie nie zgryzotę, często zdaje mi się, że widzę ziemię obiecaną poezji, jak Mojżesz z góry, ale czuję, że niegodzien zająć do niej“.

Nie on jeden uprawiał mistykę po swojemu. W Polsce porozbiorowej nieszczęśliwy stan kraju kazał wielu umysłom szukać w tym ulgi. Niestety, nie brakło takich, u których był chaos w głowie i którzy sami nie wiedzieli, czego chcą. Do takich należał Andrzej Towiański, b. asesor sądu głównego w Wilnie, który uroił sobie dziwaczne wyznanie wiary. Według niego dobre i złe duchy całymi gromadami znajdują się wszędzie na ziemi. Nauczał też wędrowni dusz, że tedy człowiek żyje kilka razy (nawet kilkanaście i choćby kilkadziesiąt razy), a każde nowe „wcielenie“ stanowi czyściec tu na ziemi za winy życia poprzedniego. O sobie zaś twierdził śmiało, że ma bezpośrednie objawienie od Boga i misję do Polski od Ducha świętego.

Towiański wybrał się z Wilna w wielką podróż misyjną. Próbował najpierw pozyskać dla swych pomysłów arcybiskupa gnieźnieńskiego, ks. Dunina; potem naczelnego wodza z r. 1831, generała Skrzyneckiego, ale nadaremno. Przyjechał wreszcie do Paryża, aby pozyskać Mickiewicza, i to mu się niestety powiodło. Poznali się w szczególnych okolicznościach. Gdy Towiański zapukał 30 lipca r. 1841 do mieszkania Mickiewiczów, zastał chorą Celinę Mickiewiczową, żonę poety i zaraz w pierwszej połowie oświadczył, że ją wyleczy. I rzeczywiście wyleczył. Było to działanie tzw. sugestii, znanej dziś dobrze uczonym lekarzom, a Mickiewicz uważał to za cudowne wyleczenie. Umysł wielkiego człowieka był tak skolatany, tak przygnębiony, iż utrzymywało go tylko mistyczne zagłębianie się, z początku według własnych wyobrażeń — a potem oddał się Towiańskiemu.

Wielką to było boleścią dla tych naszych księży w Rzymie, którzy spełniali właśnie dawną myśl Mickiewicza. W niedzielę wielkanocną 1842 r. składali w katakumbach św. Sebastiana w Rzymie tzw. śluby proste, zanim by reguła ich ustaliła się i zyskała uznanie papieskie (co nastąpiło dopiero w r. 1850). Nazwali się Zmartwychwstańcami z myślą o zmartwychwstaniu Polski, a za główne swe zadanie przyjęli, „by przyczynić się do urządzenia społeczeństwa po chrześcijańsku“. Tymczasowym „generalnym przełożonym“ został ks. Smolikowski, następnie zaś pierwszym generałem ks. Semeneńko. Ten miał w r. 1842 w Brukseli rozmowy z Towiańskim, a gdy te spełzły na niczym, tegoż jeszcze roku wydał drukiem rozprawę przeciw towiańszczyźnie.

Tak powstał i urządził się drugi z kolei polski zakon. Nie zapominajmy, że pierwszymi byli Marianie, dzieło ks. Papczyńskiego, kapelana z odsieczy wiedeńskiej Sobie-

skiego. Istniał ten zakon nadal, lecz borykał się z najfatalniejszymi warunkami i zaczął zanikać.

Zakon Marianów, błysnąwszy takimi dwiema gwiazdami jak bł. Papczyński i Wyszyński, potem jednak szczęścia nie miał, a w r. 1715 biskup poznański Rostkowski rozwiązał nawet zgromadzenie; lecz następca jego, Jan Tarło, sam dopomógł do wznowienia. Zebrało się w r. 1722 jeszcze 12 ojców, którzy wybrali generalnym przełożonym O. Andrzeja Deszpota, Czecha rodem, a ucznia jeszcze bł. Papczyńskiego. Cudzoziemcy poczynają się zgłaszać do zakonu w samej Polsce; „po kilku Francuzów, Włochów, Węgrów, ale najwięcej Czechów; wielu z nich położyło duże zasługi na najwyższych urządach zakonnych, niektórzy też odznaczyli się wysokim stopniem świętości“.

Trzy klasztory Marianów, powstałe w Portugalii, zamknął rząd tamtejszy, usposobiony antyreligijnie, w r. 1834. W Polsce za to powstało klasztorów jedenaście. Dzieliły one ogólne losy całego kraju. Należy się tu pełne czci wspomnienie O. Tadeuszowi Białowieskiemu, który „prawdziwie cierniste miał życie. Przez 32 lata sprawował rządy jako generał zakonu, w czasach tragicznych dla naszej Ojczyzny od 1793 do 1829. Dał w tym czasie dowody męstwa, wytrwałości i pokory, zmarł w opinii świętości 1832 r.“ A drugi po nim następca, O. Stanisław Porzycki „przez 58 lat swego życia zakonnego nieznużenie pracował na różnych stanowiskach, jako kaznodzieja, prezydent klasztoru w Skórcu (na Podlasiu), gdzie wiele przyczynił się do jego rozwoju, sekretarz zgromadzenia, prokurator i przełożony generalny (1835 — 1844). Z urzędu tego zmuszony był zrezygnować pod naciskiem rządu rosyjskiego, a następnie jedenaście lat spędził na wygnaniu“. Umarł w r. 1863.

Kasatę urzędową przetrwał jedynie klasztor w Ma-

riampolu, zwanym Staropolem przed przybyciem tam Marianów.

Specjalnością Marianów miały się już pod koniec XVIII w. stać szkoły parafialne i misje ludowe. Wykonywano te plany nader energicznie, lecz „rozbiory i coraz bardziej pogarszający się stan kraju stanęły temu na przeszkodzie. Trzeba było wiele wysiłku, by jako tako utrzymać się na powierzchni. Niejeden też z Ojców Marianów był więziony za sprzyjanie powstaniu 1831 r., niejeden skazany na Sybir.

Spośród oficerów powstania „listopadowego“ poznailiśmy już trzech mężów świątobliwych: Hieronima Kajsiwicza, Piotra Semeneńkę i Karola Antoniewicza. Czwartym w tym gronie jest Józef Szwermicki, pochodzenia szlacheckiego z województwa Białostockiego, ur. w r. 1812 we wsi Iglówce powiatu mariampolskiego. Wstąpił do wojska polskiego, licząc niecałych 18 lat, a w kampanii 1831 r. odniósł ciężką ranę. Nie udaje się na emigrację, lecz w dwa lata potem w r. 1833 wstępuje do Marianów i obiera sobie imię zakonne Krzysztof. Był więc ten mąż Boży najbardziej i najwcześniej uświadomionym katolikiem z bojowników 1831 r. Nie potrzebował przechodzić dopiero wątpliwości i dochodzić prawdy, od której się nigdy nie oddalił.

Z początku pracuje ks. Szwermicki w Goślinie na Podlasiu, następnie chlubnie spełnia urząd kapelana w zakładzie głuchoniemych w Warszawie, skąd przenosi się w rodzinne strony i obejmuje urząd prezydenta w mariampolskim klasztorze. Bardzo wykształcony, miłej powierzchowności, niezwyklej kultury umysłu i serca, dziwny wpływ wywiera na wszystkich, szczególnie zaś na warstwy oświecone narodu. Magiczny wpływ wywierał na młodzież litewską w kierunku religijnym i patriotycznym. Działalność

jego nie dogadzała rządowi rosyjskiemu. Uwięziono go w r. 1846 i przez trzy lata trzymano w osławionej cytadeli warszawskiej, nie wiedząc, jak się do niego zabrać, o co wytoczyć mu sprawę. Wreszcie przestano sobie zadawać trudu i wystąpiono przeciw niemu z zarzutem już po 18 latach — że brał udział w powstaniu listopadowym i w r. 1849 zesłano go na Sybir. Nie miał już nigdy wrócić do Ojczyzny, gdyż miał się stać „apostolem Syberii“.

Na Sybirze apostołuje Buriatom, Jakutom, Mongołom, a nie bez skutku. Ale zasadnicza część jego pracy tyczyła się chrześcijan, nawet prawosławnych Rosjan. „Promienna postać O. Szwermickiego wywiera nieprzeparty wpływ na Rosjan. Wielu z nich przyjmuje potajemnie wiarę katolicką, owszem, jak powiadają, sam generał gubernator Murawiew, sekretnie w ręce jego składa wyznanie wiary katolickiej“.

W r. 1851 został ks. Szwermicki proboszczem irkuckim. „Parafia ta obejmowała przestrzeń dwa razy większą od całej Europy (nie licząc Rosji), bo pół Syberii. Większą część roku poświęca na podróże pasterskie. Usiłuje dotrzeć do każdego zakątka, gdzie przebywało choćby kilku polskich zesłańców, pociesza ich, umacnia w wierze, chroni od rozpacz, przepowiadając zmartwychwstanie Polski; wspiera ich materialnie, i wstawia się za nimi do władz syberyjskich, które świątobliwego zakonnika otaczały czcią niezwykłą“. Uważano go za świętego; to pewna, że miała w nim zajaśnieć nowa wielka gwiazda świątobliwości. O dalszych jego czynach będzie mowa w rozdziale 30.

Zmartwychwstańcy zaś rośli w znaczeniu w stolicy chrześcijaństwa i wobec papieskiego dworu. Obecnością swoją w Rzymie oddawali znaczne usługi sprawie polskiej. Zyskali w r. 1846 bardzo wybitnego nowego członka w osobie ks. Aleksandra Jełowickiego. Z ks. Kajsiewi-

czem i Semeneńką stanowili we trójkę jakby „tajną ambasadę polską przy Watykanie“.

Tak było w Rzymie, a tymczasem w kraju ten rok 1846 miał nam przynieść dużo nieszczęścia. Lecz cofniemy się teraz nieco w opowiadaniu, żeby zdać sobie wpierw sprawę z prześladowania unii, zniesionej carskim ukazem w r. 1839.

28. TĘPIENIE UNII KOŚCIELNEJ.

Cios zadany przez rząd rosyjski unii kościelnej stanowił obok upadku powstania listopadowego drugi wstrząs duszy polskiej, bo dla wielu przyczyn uważaliśmy sprawę unii za naszą polską sprawę narodową nie mniej, jak za kościelną ogólnokatolicką.

Ponieważ tym razem obszerniej będzie mowa o sprawach unickich, a niejedno byłoby niezrozumiałe bez wiadomości, czym się unia różni od prawosławia, pomimo podobieństwa obrządku, trzeba najpierw zwrócić uwagę na tę stronę przedmiotu. Jak wiemy z poprzednich rozdziałów, unia brzeska potrzebowała półtora stulecia, zanim przyjęła się w całym państwie polskim. Szerzyła się zwolna, lecz stale, a bez żadnego przymusu ze strony rządów polskich. Społeczeństwo zaś polskie wdało się w tę sprawę o tyle, że bardzo wiele polskiej młodzieży duchownej przechodziło na obrządek słowiański, ażeby unia nie upadła dla braku powołań kapłańskich pośród Rusinów. Nie mając wyboru, przyjmowano do seminariów alumnów ruskich o bardzo a bardzo niskim poziomie umysłowym i nie chcących się uczyć. Co wśród duchowieństwa parafialnego u-

nickiego było lepiej wychowanego, inteligentniejszego i ciekawszego do książki, to wszystko byli Polacy z drobnej szlachty. Podobnież byłou Bazyliańów. O tyle można powiedzieć, że unią nie tylko kierowali Polacy, ale też Polacy ją podtrzymywali i utrzymywali, chociaż znajdowali się w mniejszości.

Różne eparchie prawosławne w różnych czasach przechodziły na unię i nie w jednakowy sposób przyswajały sobie zwyczaje Kościoła katolickiego (zwłaszcza w tzw. nabożeństwach dodatkowych, których w prawosławiu całkiem nie ma). Uporządkowało się to wszystko i wyrównało na synodzie zamojskim za Augusta II Sasa. Odtąd w państwie polskim schyzmy całkiem nie było.

Kościół unicki obrządku słowiańskiego rządził się w Polsce sam, według prawa kościelnego czyli kanonicznego, tak samo, jak Kościół obrządku łacińskiego, gdy tymczasem prawosławie poddawało się zawsze władzy świeckiej. W Rosji spadła Cerkiew do roli narzędzia władz państwowych. Głową prawosławia był od dawien dawna car. Za panowania Piotra, zwanego Wielkim (1696 — 1725) nastąpiło nowe urządzenie Cerkwi według niemieckich wzorów protestanckich. Wtenczas dopiero zaprowadzono dla popów schyzmatycznych przymus abecadła. Naczelną zaś administrację Cerkwi powierzył car Piotr gronu nazwanemu „synodem“, bo tak zwały się w Niemczech władze protestanckie. Moskiewskiemu synodowi dodano tytuł „świętobliwego“. Był to urząd zależny zupełnie od cara, a złożony nie tylko z duchownych, lecz również z osób świeckich, według nominacji carskiej. Działo się to w r. 1721, a odtąd zależność Cerkwi od każdego carskiego skinienia powiększała się z czasem coraz bardziej. Następowaly potem caryce, i one także były głową Cerkwi w Rosji.

Różnica dogmatyczna zachodzi tylko jedna, ta mianowicie, że prawosławie przeczy pochodzeniu Ducha św.

także od Syna. Dogmat ten stanowi jeden z najtrudniejszych rozdziałów teologii i tylko uczeni teolodzy mogą tu zabierać głos. Czyż świeccy zdają sobie sprawę z tego? czy rolnik, lub mieszczanin, chudopacholek czy arystokrata lub bankier po tej lub tamtej stronie, myślą kiedy o tym dogmacie i czy na nim opiera się istna przepaść cywilizacyjna pomiędzy Polską a Rosją i Rusią prawosławną? Przepaść ta istniałaby jednak, choćby nawet prawosławie przyjęło dogmat katolicki o pochodzeniu trzeciej Osoby Boskiej. Różnicę widoczną każdemu stanowi coś innego: tu papież, a tam car. U nas Ojciec św. nie pyta żadnego monarchy, jak ma nauczać i Kościołem rządzić, a prawda religijna i moralność katolicka są wyższe ponad wszystkie rządy; według nas rząd ma się stosować do wymagań religijnych, a Kościół ma czuwać nad tym, żeby rządy postępowały moralnie. W prawosławiu car czuwa nad tym, żeby sprawy religijne służyły polityce, żeby Cerkiew pochwałała wszystko a wszystko, co rząd przedsięwzięmie. W schyzmie nie godzi się roztrząsać postanowień władz rządowych, bo urząd ma władzę od cara, a car jest głową Kościoła i w ten sposób z najmniejszej opozycji robi się jakby bunt przeciw Bogu samemu. A zatem w prawosławiu nie było nigdy godności obywatelskiej, tylko niewola duchowa, której jedynym obowiązkiem ślepe posłuszeństwo rządowi, jako obowiązek religijny. Duchowieństwo, używane do posług politycznych, otrzymujące zlecenia od władzy świeckiej, lekceważy skutkiem tego samą religię i upada nieprawdopodobnie nisko.

Są różnice w administrowaniu Sakramentów św. W tym dziale życia religijnego zmieniała się nieraz praktyka prawosławna. Nas tu obchodzi stan rzeczy z lat 1820 — 1850, jak te sprawy wyglądały na prowincji, po parafiach wiejskich i małomiasteczkowych; to zaś znajdujemy opisane

szczegółowo przez jednego z prześladowanych unitów, w pamiętnikach ks. Grzegorza Micewicza.

W prawosławiu chrzci się przez zanurzenie w wodzie; samo polanie głowy wodą im nie wystarcza. Przy bierzmowaniu pop nie namaszcza wielkim palcem prawej ręki, lecz używa do tego pędzelka. Komunikanty starają się konsekrować jak najrzadziej, a jak największą ilość od jednego razu. Komunikanty dla chorych mają być zakonserwowane we Wielki Czwartek w takiej ilości, żeby wystarczyły na cały rok — są specjalne przepisy, co robić, żeby się nie psuły. Przy udzielaniu Sakramentu małżeństwa nowożeńcy nie przysięgają sobie wzajemnie. Lekceważony bywa sakrament pokuty. Oto, co się działo około r. 1830 w mieście Kamieńcu Litewskim, gdzie przez kilka lat kwaterował oddział wojskowy. Powtórzmy dosłownie, co napisał ks. Micewicz. Był tam wówczas proboszczem unickim, a choć żołnierze byli prawosławni (Rosjanie), komenderujący major wprowadzał ich do cerkwi chociaż katolickiej, bo podobieństwo obrządku (a zwłaszcza ten sam język liturgiczny) starczyło mu za wszystko.

„Ci żołnierze co roku schodzili się na spowiedź wielkanocną do mojej cerkwi, gdzie pułkowy kapelan Cytowicz spowiadał ich nie po jednym, ale po ośmiu naraz i więcej, oto w ten sposób: Penitenci stali koło niego jeden przy drugim, a on sparty na pulpicie, słuchał ich zeznań, które oni, schyliwszy głowy, każdy z osobna dopełniał. I jakież tu jest sekret? kiedy wyznania jednego muszą słyszeć wszyscy, nawet pomimo woli... Takie spowiedzie odbywały się corocznie przez lat kilka w mojej cerkwi, w obecności nie tylko całego pospólstwa, ale także wobec wszystkich oficerów batalionu od majora do najniższych stopni. Gdyby taka spowiedź uważana była za niegodziwą, kapelan nie odważyłby się na nią wobec tylu świadków, jeśli

nie przez skrupuł sumienia, to przez obawę donosu i odpowiedzialności. Zresztą oto drugi dowód, że w prawosławnej cerkwi nie zachowuje się sekretu u spowiedzi: Klerycy przed otrzymaniem święcenia na kapłanów, muszą się spowiadać u spowiednika, którego sam biskup naznacza, i ten spowiednik, wysłuchawszy onych spowiedzi, obowiązany jest donieść temuż biskupowi o każdym z kleryków, z jakich się grzechów spowiadał“.

Jakkolwiek w schyzmie i w unii nabożeństwo odbywa się w tym samym języku, mianowicie w starożytnym bułgarskim (narzeczca macedońskiego), który nazywany bywa z tego powodu po prostu słowiańskim językiem cerkiewnym, i niemało jest liturgii całkowicie takiej samej, jednakże również niemało jest różnic. Unicy przejęli od łaciników nabożeństwa dodatkowe, to znaczy to wszystko, co w kościele odbywa się w języku ludowym (więc w Polsce po polsku), mianowicie kazania (schyzma nie uznaje kaznodziejstwa) litanie, nowenny, śpiew ludu, nabożeństwo majowe, itp. Przejęli też święto Bożego Ciała, nieznanne w prawosławiu. Nie ma w prawosławiu cichej mszy św. Nie ma w ich cerkwiach organów, ani orkiestr, dzwonek, ławek. Nie ma bocznych ołtarzów; wielki zaś ołtarz odgrodzony jest od ludu całą ścianą, którą okrywa się obrazami, ikonami i od tego jej nazwa: ikonostas. Poza tę ścianę wolno przejść tylko carowi, lub jego reprezentantowi, jako najwyższej głowie Cerkwi i stąd drzwi w ikonostasie zowią się carskimi wrotami. Nadto zachodzą jeszcze różnice obrządkowe w rozmaitych drobiazgach, które nie mają znaczenia.

Położenie unitów w zaborze rosyjskim było przykre (często męczeńskie) już od czasów Katarzyny. Pogorszyło się jeszcze bardziej po upadku powstania 1832 r., bo od tam prześladowano ich księży pod pozorem, że dopoma-

gali w powstaniu; a w Rzymie można się było zasłonić tym bardziej wymówką, że tu chodzi tylko o względy polityczne. Obywatelom polskim odjęto prawa kolatorskie, tj. prawo przedstawiania biskupom kandydatów na probostwa (bo oczywiście nie przedstawialiby odstępców). Co więcej, Siemaszko wystąpił z wnioskiem, żeby prześladowanie rozszerzyć zaraz teraz na obrządek łaciński i poznosić na Rusi i Litwie łacińskie klasztory. Car zgodził się na to, i zaraz w r. 1833 zamknięto naraz dwieście klasztorów łacińskich. Również klasztory Bazylianek były prześladowane bez litości. Z Wilna wywieziono cztery ostatnie do monasteru w Wolnianach, a wileński klasztor radził Siemaszko obrócić na areszty. Wolniańskie zakonnice okazały się atoli również twardymi w wierze; zresztą żadna z nich nie umiała nawet czytać ksiąg cerkiewnych, a wszystkie siedem były za stare, żeby się uczyć czegoś nowego. Pozwożono tam tedy z różnych monasterów prawosławnych aż 12 „czernic“. Ostatecznie w r. 1840 pozostało na całej Rusi ledwie sześć klasztorów żeńskich.

Car mianował Siemaszkę władką (biskupem) litewskiej eparchii, on zaś wyszukał na sufraganów trzech takich, którzy zobowiązali się na piśmie, że każdego czasu, gdy otrzymają rozkaz, przejdą na schyzmę (Łużyński, Żarski, Zubko). W r. 1834 ustanowiono „tajny komitet do spraw unickich“, a w Moskwie wydrukowano półtora tysiąca mszałów i śpiewników, które porozsyłano na unickie plebanie. Siemaszko zaczął wyszukiwać księży unickich, którzy by zdradzili wiarę i owczarnie sobie powierzone. W r. 1834 miał ich zaledwie dziewięciu, lecz jakżeż szybko miała ta liczba wzrastać! Działał gwałtem i podstępem. Stu trzydziestu proboszczów oddalił od razu, a potem rok po roku zamykał po kilkadziesiąt cerkwi, gdzie nie chciało odprawiać nabożeństwa po schyzmatycku. Sam zapro-

wadził od razu takie nabożeństwa w swej katedrze, w sławnych o sto mil dookoła Żyrowicach, dokąd schodziło się na odpusty po kilkadziesiąt tysięcy pielgrzymów obydwóch obrządków. Katedra ta jest budowlą wielką, wspaniałą, a koło niej, jakby osobne miasteczko, stały domy rozmaitych zakładów i fundacji katolickich słowiańskiego obrządku. Wszystko to zagarnęła schyzma. Skasował też Siemaszko sławną tamtejszą orkiestrę katedralną, bo w schyzmatycznych cerkwiach dozwolone są tylko śpiewy.

Śmielszą stała się cała akcja przeciw unii, gdy przeszedł na schyzmę drugi wielki zdrajca, władca unicki orszański, Łużycki. W porozumieniu z petersburskim komitetem do spraw unii wydał on w r. 1834 rozkaz, żeby nie obchodzić już więcej święta Bożego Ciała. Natrafił jednak na opór metropolity unickiego Bułhaka. Był to starzec już niedołężny i do rządów całą prowincją kościelną niezdatny, często nie wiedzący dobrze, co się dzieje; ale katolik był z niego stanowczy i póki on żył, rząd nieraz nie mógł pokonać przeszkód, które niespodzianie spotykała działalność Siemaszki.

Wówczas jeszcze rząd nie śmiałby targnąć się na osobę samego metropolity, ale zabrano się do jego koadjutora, którym był ks. Eliasz Andruszkiewicz. Był to Polak, łacinnik z rodu, jeden z tych, którzy umyślnie przechodzili na obrządek wschodni, żeby podtrzymywać unię, żeby nie dopuścić do pomniejszenia ilości parafii unickich. Wstąpił tedy do Bazylianów w 20 roku życia, studia wyższe odbył w uniwersytecie wileńskim, a święcenia kapłańskie otrzymał w słynnym miejscu odpustowym na Wołyniu, w Poczajowie. Tam go też zostawiono, jako profesora w seminarium i w gimnazjum. Następnie był dyrektorem gimnazjum utrzymywanego przez Bazylianów w Humanii; lecz w r. 1832 zakład ten został przez rząd zam-

knięty. Wtedy metropolita Bułhak powołał go na swego koadiutora.

Tego więc kapłana usunął gubernator z otoczenia metropolity, wywiózł i umieścił na przymusowy pobyt w monasterze onufryjowskim, jeszcze wówczas jednakże unickim. Apostata Łużyński, który tymczasem otrzymał od rządu znaczniejsze biskupstwo w Witebsku, próbował użyć pośrednictwa matki ks. Andruszkiewicza, bawiącej podówczas także w Witebsku. Obiecywał „złote góry, dostojęstwa, spełnienie wszelkich życzeń i ambicji ks. Eliasza, byleby tylko dał żadaną drobnostkę: podpis na zjednoczenie z panującą Cerkwią“. Ale spotkał się z odpowiedzią twardą: „Jedności (z katolicyzmem), jakibykolwiek los mię spotkał, dla najpochlebniejszych obietnic nie tylko biskupich, ale nawet monarchów świata, nie zmienię“. I dodał jeszcze aluzję do biskupa odstępcy: „O życzliwych katolickiemu Kościołowi zwierzchników, i czulszych trzodzie chrześcijańskiej pasterzy, w codziennych modłach moich i w czasie zbliżenia się do podnóżków Pańskich ołtarzy, błagam i proszę w pokorze“. Chciał ks. Andruszkiewicz powrócić do obrządku łacińskiego, ale „Bazylianie błagali go, żeby w tak ciężkich dla nich czasach nie opuszczał szeregów duchowieństwa unickiego“. Pozostał przeto przy wschodnim obrządku i wkrótce sam został przełożonym onufryjskiego klasztoru.

Niespodziewanie aresztowano go tam we wrześniu 1836 r. i wywieziono do gubernatora w Witebsku, a następnie do apostaty Łużyńskiego. Następnego zaś zaraz dnia wojsko otoczyło klasztor i cerkiew i spędzono przymusowo lud z całej parafii. Nie mogąc dostać kluczy do cerkwi, bramę wywalono, parafian bagnietami wpędzono do środka i kazano podnieść ręce; pop schyzmatycki, przywieziony z wojskiem, odczytywał tymczasem rotę przy-

sięgi — i wysłano potem do władz raport o „dobrowolnym“ tej parafii przejściu na schyzmę. Takich „nawróceń“ miało się odtąd dokonywać dziesiątkami.

Gdy namowy i groźby w Witebsku wobec 14 innych kapłanów, również nie skutkowały, zaczęto wozić ks. Andruszkiewicza od monasteru do monasteru, a w jakich warunkach sam opowiedział:

„Strudzony nagłą podróżą, odbywaną dniami i nocą, wrzucony do jednego z najlichszych klasztorów, w pożyczonej koszuli, okryty ranami nagle mi się po całym ciele okazującymi, za ledwie tyle pięciokrotną prośbą miłosierdzia wyżebrał u pasterza (władzyki Łużyńskiego), że mi pozwolił o własnym koszcie leczyć się i żyć w mieście Witebsku. Po wyczerpanych wszelkich, jakie mieć mogłem, szczupłych z prac moich zapasach i zaciągniętym długu, zupełnie zniszczony wśród wielu nabytych cierpień, zupełnie na zdrowiu zrujnowany, za rozkazem pasterskim o wiorst 30 od Witebska do taludińskiego bazylińskiego odjechałem klasztoru“.

Potem wabiono go znów obietnicą mitry opackiej, wreszcie wydano polecenie samemu Siemaszce, by okazał, czy umie nawracać. Ten pozyskał siostrę i szwagra ks. Eliasza, którzy doradzali mu przyjąć dary i zaszczyty, a potem kazał sobie przywieźć go do Petersburga. Gdy nie skutkowały obietnice dostojęństw, osadził wiernego wyznawcę unii w szczuplutkiej celce, gdzie musiał przez trzy miesiące przymierać głodem, bo mu zatrzymywano nawet te 25 kopiejek dziennie, które miał z urzędu przeznaczone na pożywienie. Pisał wtenczas do krewnych: „Sądźcie, że jestem nieszczęśliwym, okazujecie mi współczucie, ale ja szczęśliwszy jestem od tych, którzy dostojęństwami okryci, w dostatku i zbytkach żyją“. A do Siemaszki wystosował list, w którym mieszczą się słowa

warte zaiste, by je ryć w kamieniu: „Jeżeli najłaskawszy samowładny monarcha wolę swą wyrazi w rzeczach zmierzających do doczesnego dobra ludów berłu jego podległych... w rzeczach wiary sam nie zechce decydować dowolnie, ale je poddaje pod sąd sumienia... Nie mogę się na co innego, idąc za głosem sumienia, zgłosić i zgodzić, jak tylko na to, abym niezmiennie przetrwał do końca życia w rzymskokatolickim wyznaniu moim“. Doskonale określił granice władzy świeckiej a duchownej i przypomniał, że unia jest wyznaniem tak samo rzymskokatolickim, jak obrządek łaciński i tylko obrządkowo od niego się różni, lecz nie wyznaniowo.

Odtąd znęcano się nad nim jeszcze bardziej. Urządzono mu „zsyłkę“ przez 14 klasztorów, a w każdym żądano podpisu pod prawosławie. A wszystkie te podróże odbywać musiał „na drągach“, tj. na wozie drążkowym, bez jakiegokolwiek wymoszczenia. „Włóczono mnie — pisze w pamiętnikach. O. Andruszkiewicz — w tył i naprzód w dni kilka przerzucano z drągów jednych na drugie mnie i ruchomości moje, goniono niby zbrodniarza, jak zająca z sieci do sieci. Żydyczyn, Poddebice, Łuck, Krzemieniec, Tryhury zwiedziłem, znajdując równe wszędzie pokusy i podobne traktowanie. Z tego ostatniego miejsca po Nowym Roku 1839 ciągnąłem się do Lubaru, zaległszy chory w Połonnem... Stąd jestem przeznaczony do prawosławnego monasteru, o którym gdzie, jaki jest, tyle wiem, ile o dniu ostatniej mojej godziny“.

Krewni namawiali znowu, by ustąpił. Odpowiada im w te słowa: „Ja nie tylko się cieszę, ale i chlubię udziałem moim; za najpochlebniejsze świata tego widoki i obietnice, bezrozumnie mię kuszących, nigdy się nie zmienię. Gdy nie chcecie z Bogiem wiecznie być w niebie, bądźcie z ludźmi miłującymi świat i jego dobra szczęśliwi, nie mie-

szając mego ducha i mego pokoju. Ja ufam Bogu i pogróżek się wcale nie boję: Bóg mój wszystko moje. Nie wdzięczcie się do macochy, oderwanej cerkwi wschodniej. Jesteśmy dziećmi świętego powszechnego i jedyne go tylko prawdziwego Kościoła i uczniami Jezusa Chrystusa; nie troszczcie się o mój los doczesny, nie wiem, czy jutra z pewnością osiągnąć mogący. Ten, który mię stworzył na służbę swoją świętą, jednego z najniegodniejszych mnie powołał, teraz z jedynej dobroci i miłosierdzia na tym doświadczenia kamieniu postawił i obdarza łaską mnie swoją. Spodziewam się, że nie zapomni o potrzebach tego, który w nim całą swą ufność i nadzieję położył. Jeśliby nawet los mój chciał (Bóg) porównać z Łazarzem, czego bym się miał spodziewać, uczy mię wiara“.

Przebył ciężką chorobę, po czym zawieziono go do Żytomierza, przed gubernatora i znów namowy i obietnice, a gdy znów bezskuteczne, wywieziono go w r. 1839 do Nowogrodu Siewierskiego, gdzie przebywał więziony przez półczwarta roku w schyzmatyckim monasterze, żywiony czarnym ościstym chlebem, okryty łachmanami, o głodzie i chłodzie, doznając najgorszej brutalności i grubijaństw. Pamiętniki jego zawierają o tym wspomnienia wprost przerażliwe; ale też ile mieści się w nich wzniosłości, gdy opisuje swe spotkania z Siemaszką i z Zubkiem i przytacza argumentacje swoje przeciwko odstępcom!

Szcześliwsza była co do osoby swego biskupa diecezja unicka chełmska. „Cierniowa była droga życiowa unickich biskupów chełmskich. Wobec ciemnoty ludu i braku religijnego uświadczenia oraz obsadzania parafii przez kapłanów, pozbawionych należytego zaopatrzenia materialnego, nieraz nieuków nieokrzesanych, nie świecących przykładem w życiu prywatnym, ciężar wyłącznej odpowiedzialności spadał na barki pasterza diecezji. Władze hoj-

nie szafowały obietnicami, wynagradzały popierających zamierzenia rządowe biskupów, przybierając groźną postawę wobec opornych. Pierwszym administratorem diecezji chełmskiej, wystawionym na ciężkie próby życiowe, był biskup Szumborski“.

Filip Szumborski urodził się jeszcze w wolnej Polsce, w r. 1771 i składał śluby zakonne u Bazylianów jeszcze przed drugim rozbiorem w r. 1790. Lata całe był nauczycielem po zamożnych dworach szlacheckich, aż w r. 1811 powołany został na sekretarza przez ówczesnego biskupa chełmskiego Ciechanowskiego. W r. 1814 został wybrany na wizytatora Bazylianów i spełniał ten urząd przez cztery lata. Potem w r. 1825 otrzymał nominację na prałata archidiacona kapituły chełmskiej. Od r. 1827 był wikarym generalnym diecezji, konsekrowany w końcu na biskupa w r. 1830. Liczył wtedy już 59 lat życia. Przyszło mu wkrótce bronić unii.

W kwietniu 1836 r. nadszedł reskrypt od rządu, żeby wszystkie cerkwie w całej eparchii, poczynając od katedralnej, urządzić „na sposób cerkwi wschodnich“. Wtedy znalazł biskup dzielnego doradcę i pomocnika w osobie ks. prałata Pawła Szymańskiego, profesora uniwersytetu warszawskiego i akademii duchownej w Warszawie. Ten ułożył memoriał przeciwko zmianom i pozbierał podpisy duchowieństwa całej diecezji tak, że biskup miał się na czym oprzeć wobec rządu. W memoriale użyto nawet wyrażań ostrych, np. „Cała moc Najjaśniejszego Pana nie starłaby plamy sumienia, zaciągniętej lekceważeniem władzy Papieża“. Kiedy w r. 1839 gubernator lubelski chciał obrócić na prawosławne kościół i klasztor Bazylianów, znajdujące się w twierdzy w Zamościu, projektu tego nie udało się przeprowadzić z powodu sprzeciwu biskupa Szumborskiego. Ale nie zdołał biskup przeszkodzić sta-

wianiu na początek w cerkwiach ikonostasów i carskich wrót. Zmuszono też biskupa, że oddalił ze stanowiska oficjała ks. Halickiego, który był wielkim obrońcą unii, a przyjął wskazanego mu przez rząd ks. Hryniewieckiego.

Ale sprzeciwił się stanowczo, gdy zażądano, żeby wysłał alumnów seminarium chełmskiego na dalsze studia do prawosławnej akademii duchownej w Kijowie. Wtedy rząd ze swej strony zakazał katolickiej akademii w Warszawie, żeby tam nie przyjmować całkiem kleryków chełmskich. Biskupa zaś Szumborskiego wezwano w r. 1840 do Petersburga. Nie trudno było przewidzieć, że będą go tam zmuszać do apostazji, więc wymówił się złym stanem zdrowia od tej podróży; ale naciskano go tak silnie i dokuczliwie, iż wreszcie wybrał się w tę drogę. Wziął z sobą ks. Szymańskiego i przybyli do Petersburga razem z początkiem sierpnia 1841 r. Niebawem, bo już 13 października zmuszono do wyjazdu tego obrońcę unii, a najlepszego osobistego przyjaciela władzy. W 12 dni potem miał biskup Szumborski odwiedziny... Siemaszki. Na wszystkie pokusy i groźby odpowiadał biskup bardzo wyraźnie: „Prędzej i łatwiej zrobicie ze mnie drugiego Jozafata, niżeli błagoczystywego“, co znaczyło, że gotów jest naśladować męczennika św. Jozafata Kuncewicza, a nie ustąpi w żadnej sprawie zasadniczej. Ustępstwa w drobiazgach nie zadowolniły rządu, np. żeby mszał pozostawał stale przez całą mszę na lewej stronie ołtarza.

Jak zaś umiał unii bronić, poznać można z tego, gdy oddanego rządowi prowincjała Bazylianów, Billewicza, skłonili zakonnicy do ustąpienia, a wybrali na jego miejsce ks. Michała Dąbrowskiego. Stało się to na zebraniu w klasztorze chełmskim, odbytym w obecności biskupa. O tę sprawę stoczyła się walka zacięta. Wszystkie władze rządowe oświadczały raz po raz, że tylko Billewicza bę-

dzie się uznawało nadal prowincjałem, aż biskup ugiął się, i usuniętego przywrócił. Ale w piśmie swoim do Bazyljanów nie tylko zaznaczył wyraźnie, że robi to „w myśl zarządzenia komisji rządowej“, ale zakończył pismo cytatem z ewangelii o doktorach w Zakonie i faryzeuszach, którzy rozsiedli się na stolicy Mojżeszowej. Bardzo się tym poczuł dotknięty namiestnik Królestwa kongresowego, generał Paskiewicz; w liście do gubernatora lubelskiego zwrócił uwagę, że takiego porównania można użyć tylko o władzy nieprawowitej. Odtąd też tym bardziej miano ks. Szumborskiego na uwadze, na oku i na... celu.

Nie bez moralnego wpływu tego biskupa i niektórych kanoników powstał z początkiem r. 1840 w Chełmie wśród kleryków seminarium unickiego związek tajny, którego członkowie składali przysięgę, jako nie opuszczą unii mimo prześladowań. Jakoś jednak wydało się to, a namiestnik Paskiewicz kazał dwóch kleryków oddać do wojska, jednego osadzić w areszcie na trzy miesiące, a wszystkich wykreślić z listy osób duchownych i poddać na dwa lata pod nadzór policyjny.

Iluż kapłanów cierpiało wówczas prześladowanie za przywiązanie do unii, iluż zasłużyło sobie najzupełniej na to, by ich uważać za męczenników! Tu możemy wymienić ledwie najwybitniejszych. Należał też do nich niewątpliwie ks. Ignacy Sołtanowski, także Polak. Pozostawił i on również pamiętniki, a „napisane czystą polszczyzną, stylem przedziwnej prostoty i wzniosłości“. Urodził się w r. 1800 w powiecie słonimskim z drobnej szlachty polskiej i był chrzczony i nawet bierzmowany w obrządku łacińskim. Ojciec jego był rotmistrzem wojsk polskich. Mały Ignasz stał się w piątym roku życia zupełnym sierotą i wtenczas zajął się nim okoliczny pop unicki, Rusin. Przez 12 lat trzymał sierotę u siebie, używając do posług domowych,

a nie nauczył go nawet czytać ni pisać. Mając lat 17, uciekł od swego „dobrodzieja“ do Bazylianów w Leszczu (w Pińszczyźnie), także na służącego, ale przynajmniej przy kościele. Ci zakonnicy zajęli się jednak jego losem, uczyli i dali mu, co sami mieli najlepszego, tj. przysposobili go do nowicjatu bazylikańskiego. W zakonie przybrał imię Jonasza. Przechodził wszystkie stopnie. Rok 1837 zastał go na nowo w klasztorze w Leszczu na stanowisku kaznodziei, a zarazem i gospodarza klasztoru.

Tam zastał go rozkaz, by usunąć z cerkwi organy i wszystkie ołtarze boczne. Wierny kapłan nie poczynił żadnych odmian. Kazano mu stawić się przed sąd odstępcy, prowincjała Żarskiego w Byteniu. Ten kazał mu i drugiemu jeszcze unicie odprawić przed sobą mszę św. według rosyjskiego mszału. Odmówili obaj. Przesiedzieli za to zamknięci przez pięć dni o chlebie i wodzie. Towarzysza ks. Sołtanowskiego skazał Siemaszko, żeby zdjąć z niego kapłaństwo i oddać do wojska na prostego żołnierza. Szkoda, że ks. Sołtanowski zapomniał jego nazwiska.

On zaś sam rozchorowawszy się, przez trzy miesiące leżał „bez czucia i pamięci“. Ledwie mógł się ruszyć, zaczęto go wozić po monasterach prawosławnych, podobnie jak ks. Andruszkiewicza i również z wymyślnymi dokuczliwościami. Przysyłał do niego Siemaszko z pokusami, ale zyskał taką tylko odpowiedź: „Niech lepiej zginę, aniżeli mam stać się wiarołomcą i odstępcą od Kościoła boskopostolskiego!“ Wywieźli go tedy do Lubaru, gdzie przeleżał chory trzy tygodnie. Było tam uwięzionych księży 24, odmawiających używania schyzmatyckich mszałów. Po pewnym czasie napadł na nich niespodziewanie pułkownik rosyjski w 15 żołdatów i przy każdej celi więziennej postawił żołnierza, żeby nie mogli porozumieć się między sobą, po czym oskarżono ich o bunt i wzywano po jednemu na śledztwo.

Gdy go tam wprowadzili, naprzód przeczytali rozkaz gubernatorski w tych słowach: Użyć wszystkich najsurowszych środków, aby skłonić do dania podpiski własnoręcznej na przyłączenie się do prawosławia; a jeśli nie zechcą, odesłać do sołowieckiego monasteru na morzu Białym (gdzie bolszewicy obecnie kapłanów też wysyłają). Potem zaczęli namawiać, różnymi obietnicami zachęcając. Gdy posłyszeli odpowiedź moją: sumienie mi nie pozwala zdradzić moją zbawienną, praojcowską wiarę, — wtedy zaczęli piorunować i sypać różne postrachy i pogrożki i odprowadzili mnie do mojej komnaty; zaczęli ściśle rewidować, w całym odzieniu, kieszeniach, kołnierzach, buty ścigali, w kuferku wszystko przerzucili, szukali pieniędzy i papiery zabrali. Powózka pocztowa i konie już były dla mnie gotowe, kazano mnie siadać do powózki z żandarmem i ruszać w sołowiecki monastyr. Zajechali wprzód do Kijowa do fortecy, tam wprowadzili mnie do kancelarii placikomendanta, ściśle rewidowali i zadawali różne pytania: dlaczego nie słuchacie zwierzchności? — i potem zaprowadzili mnie do podziemnego lochu zwanego kazamatem i tam zamknęli żelazne drzwi na zamek, na podłogę ceglana położono trochę słomy na pościel. Rozkazano wydawać na żywność dla mnie codziennie po trzy kopiejki. Gdy rano i wieczór wypuszczano na potrzebę, to w asystencji dwóch żołdatów z gołymi pałaszami, i zaraz znowu zamykano w kazamatach“.

„W tych kazamatach było nas dwunastu księży, ale każdy osobno zamknięty, tak że jeden z drugim widzieć się nie mógł. Trzymano nas w tych podziemiach cały miesiąc. A gdy ksiądz Teodor Fiedorowicz umarł w kazamacie, raportowali o tym do cesarza Mikołaja: co z nimi robić? Cesarz rozkazał postępować, jak z aresztantami. To działo się w r. 1840“.

Dwunastu księży z tego grona nie wytrzymało i dało podpis na prawosławie, o czym autor pamiętników wolał nie wspominać; jeden umarł, a jedenastu wywieziono do fortecy w Kijowie. Każdy osobno był zamknięty w podziemiach; na żywność dawał rząd po trzy kopiejki na głowę. Ci jednak dalej pozostawali aż do zgonu w łączności z Kościołem rzymskim.

Od r. 1840 zaczęło się ponowne obwożenie ks. Sołtanowskiego po monasterach, po czym „na pokucie” trzymano go dwa lata w prawosławnym klasztorze w Diakowie i dwa lata w Ładzie, nie szczędząc nigdzie przykrości. W sierpniu 1844 r. zesłano go na dożywotnie więzienie w głąb Rosji. Przebywał w warunkach najprzykrzejszych w Czernichowie, gdzie przez 13 lat nawet mszy św. katolickiej nie miał sposobności wysłuchać, ni do Sakramentów św. przystąpić. Dopiero po trzynastu latach ks. Łubieński, późniejszy biskup sejneński, w końcu wygnaniec i męczennik za wiarę, wypowiedział i podał komunię św. świątobliwemu Jonaszowi, podczas mszy św. odprawionej w nocy.

Losy zaś ks. Andruszkiewicza o tyle były mniej srogie, że miał dostęp do książek, a choć mu je nieraz odbierano, zawsze powiodło się wykołatać je znowu z powrotem. Kształcił się dalej na polskich pisarzach kościelnych, głównie na Skardze, i innym chętnie pożyczał dzieł ze swej biblioteczki. Z pamiętników jego warto tu przytoczyć jedno zdarzenie:

„Przez cały rok 1839 dały mi łaskawe nieba współtowarzysza, wyznawcę prawdziwego Kościoła Chrystusowego w jedności świętej; kapłana, który miał żonę i siedmioro zostawiwszy dziątek, po etapie jakby ostatni łotr, zbrodzień, sześćset wiorst drogi świętymi swymi przemierzwszy stopami, był pomieszczony wśród tych samych

ścian i baszt (w Nowogrodzie Siewierskim), które mnie dzisiaj otaczają. Niedługo cieszyłem się jego anielskim obliczem; wyprowadzono go w dalsze strony". Na drogę dał mu kazania Skargi.

Z przymuszaniem księży unitów do liturgii prawosławnej mieli odstępczy „apostołowie“ schyzmy kłopotów co niemiara.

Duchowieństwo unickie nie znało oczywiście schizmatycznych obrzędów i nie znało języka rosyjskiego. Wymyślił tedy zaprzaniec Siemaszko szkołę dla księży unickich tam w Żyrowicach. Jak się odbywała ta nauka, wiemy z pamiętnika wiadomego nam już księdza Micewicza, proboszcza unickiego w miasteczku Kamieńcu Litewskim. W jego dekanacie nie wszyscy księża przyjęli mszały moskiewskie. Tych więc wezwano do Żyrowic. Trzymano ich tam „więcej tygodnia“ i musieli żywić siebie i konie swoim kosztem; poprzyjeżdżali bowiem z daleka na swoich ubogich bryczkach. Dopiero gdy już nie mieli się tam z czego utrzymać, dopuścił ich sufragan Zubko przed swe oblicze i egzaminował, potem kazał podpisywać rewers, że będą używać mszałów umyślnie dla nich w Moskwie drukowanych. Nie wiedzieli dobrze, co podpisują, bo po rosyjsku czytać nie umieli. Ks. Micewicz, nabrawszy wątpliwości i zaniepokojony w swym sumieniu, zawrócił z drogi powrotnej nazad do Żyrowic. Po rozmaitych trudach i zabiegach osiągnął tyle, że mu pokazano wczorajszy akt z jego podpisem i sam Zubko przeczytał mu go. „A gdy on mi go odczytał, ja odezwałem się z wielką nieśmiałością, i przepraszając go, że ponieważ się rosyjskiego języka nie nauczyłem, nie mogłem tak od razu zrozumieć dokładnie znaczenia niektórych wyrazów; położył tedy przede mną akt na biurku... ja tedy, niewiele myśląc, a mając już na to przygotowaną bawełnę w atramencie zmo-

czoną, pociągnąłem nią po własnoręcznym podpisie, i tym sposobem akt ten zniszczyłem". Nastąpiło wyzywanie go od łotrów i łajdaków, do czego sam biskup apostata dawał przykład, nie szczędząc też pogróżek.

Po kilku dniach kilku takich „opornych“ księży zawieziono pod nadzorem policji do sądu powiatowego w Brześciu, gdzie „kapitan sprawnik (policyjny) przez cały dzień nam apostołował, nawracając na prawosławie“. Stamtąd odwiozła ich policja o 25 mil do Żywotic, gdzie przez tydzień kazano im przypatrywać się nabożeństwu schyzmatyckim, aż znów nie mieli się już czym pożywić. Wtedy na nowo sprawa z podpisywaniem rewersu! Drugi tydzień minął na namowach prośbą i groźbą, a gdy kapłani wiary św. się nie zapierali, odsądzono ich nie tylko od parafii, lecz całkiem od pełnienia urzędu kapłańskiego; pięciu z nich zdegradowano na diaków, a dwóch na jeszcze niższe sługi kościelne, na tzw. pałamarów, czyli prycetników, wyznaczając ich do rozmaitych a odległych klasztorów rosyjskich. Długie lata pędzono ich po tych klasztorach! Nie zmieści się to w głowie katolika, jak można kapłana „zdegradować“ na kościelnego, na dzwonnika, na zamiatacza wreszcie. Z tego szczegółu poznajemy cerkiew rosyjską, policyjno-prawosławną!

Kiedy ks. Micewicz prosił, żeby go puścili do domu na kilka tygodni, „dla doglądania śmiertelnie chorej żony, pozostawionej staraniom dwojga małoletnich dzieci“, odpowiedział mu sam biskup Zubko w te słowa: „Nie czas ani pora ze zwierchnością żartować; co zwierchność i pasterza ma to obchodzić, że twoja żona umiera i dzieci przepadają? przepadnij i ty! takich nie szkoda, a jeżeli chcesz jechać do domu, podpisz akt, to i pojedziesz; a nie, to tam jedź, gdzie ci każą“.

W pierwszym klasztorze przymusowego pobytu (w Darwie) stołował się z diakiem i gumiennym, ale częściej

„zapominano“ dać mu jeść; musiał chodzić po katolikach w okolicy, prosząc o łyżkę strawy. A wszędzie ciągle nieznośne próby „nawracania“ tak przez popów, jako też przez urzędników policyjnych. „W r. 1836 w styczniu otrzymał konsystorz od Siemaszki z Petersburga rozporządzenie, w którym mówi, że będąc uwiadomiony, że kapłani, którzy zostali rozesłani na diaków do różnych miejscowości, obowiązków swych pełnić nie umieją, zatem wezwać ich do Żyrowic i takowych nauczyć; mają się tam sami własnym kosztem utrzymywać, a którzy nie są w stanie, będą się z diaczkami stołować“. Znowu cała poprzednia męka od początku i znowu obwożą go za diaka. A wyznaczona mu pensja stu złotych rocznie ani razu go nie doszła.

Ci z wygnanych księży, którzy mieli mieszkanie (zwykle więzienie) i stół w klasztorze schyzmatyckim, do którego byli zesłani, otrzymywali na odzież i wszystkie inne osobiste wydatki rocznie wszystkiego razem sześć rubli. Gdy się nadal nie dawali „nawracać“, obcinano im i tę pensję do połowy, na trzy ruble. Dozorcy i służba wyciskali na nich, co się dało, na każdym kroku. Wysyłał do synodu zażalenie (lecz bezskutecznie) bazylianin Jozafat Manaczyński, że trzymany jest w ścisłym więzieniu, i że go prawosławni mnisi głodzą, a musi osobno opłacać każdy kęs chleba i nawet dzban wody, że już nawet za łóżko żądają od niego zapłaty.

Pastwiono się też nad jego synem i wielu innymi synami unitów. Zebrano chłopców, jako „posłużników“ w klasztorze Torokańskim, należącym do biskupa Zubki i tam używano ich do najgorszych robót. „Zawiadywał klasztorem z ręki biskupa ks. Łyszkowski, dawny Bazylianin, który przyjąwszy prawosławie, przyjął tu i zarząd gospodarstwa i obowiązków pastwienia się nad nieszczęsnymi sierotami, między którymi znajdował się mój syn,

i którego w najstraszniejszej nędzy trzymano, bo łyzy były im pokarmem, a odzieniem rany tyrańskie; jeśli bowiem który z nich odważył się o cokolwiek prosić ks. Łyszkowskiego, dostawał pięścią w głowę, a powalonego na ziemię kopał nogami i obcasami“.

W służbie diakowskiej po rozmaitych miejscach zdarzało się np., że płacono za jego mieszkanie i stół po jednym rublu miesięcznie, więc „rozumie się, że wygodę miałem odpowiednią do ceny, bo w miejsce posiłku prawie całą zimę karmiłem się swądem i dymem nie do wytrzymania“. Za to kręciło się koło księdza wciąż sporo rozmaitych „apostołów prawosławia“, raz nawet nasłano na niego żyda faktora.

Nie każdy wytrzymał; ale też niejeden znalazł się w takich okolicznościach, iż trudno doprawdy nie przyznać im okoliczności łagodzących.

Za każdym objazdem diecezji przez biskupa odstępcę, narzuconego z woli cara, traciło miejsce kilkudziesięciu „nieposłusznych“, pozbawionych dachu i chleba wraz z rodziną. Takich, którzy od razu podpisywali, czego od nich zażądano, było niewiele; ale wielu później dopiero poczynano się chwiać i do podpisu się zgłaszali. Tak np. ks. Teodor Miliński ze Stepankowa, skazany na posługę pałamską, nie pojechał do wyznaczonego sobie klasztoru prawosławnego; a że był odsądzony od beneficjum, tułał się po różnych kątach przez pięć lat; wreszcie dłużej wytrwać nie mogąc i prześladowania znosić, akt dyzunii podpisał. Jeszcze ciekawszy jest przykład na ks. Adamie Pławskim. Był to jeden z najbardziej wykształconych księży unickich, bo magister teologii z uniwersytetu wileńskiego. Taki był zacięty przeciw schyzmie, że w obecności schyzmatycznego arcybiskupa Gawryła plunął na mszał moskiewski. Zdegradowany na diaka, wożony był po guberni

mohilowskiej i smoleńskiej przeszło trzy lata z żoną i ośmiorgiem dzieci, aż w r. 1838 podpisał się na prawosławie.

Wymagano zaś od duchowieństwa coraz wyraźniejszego i jawniejszego zaprzaństwa. W r. 1837 spróbował Siemaszko, czyby się nie dało, żeby księża unijaci zapuścili brody i nosili prawosławne „rjasy“. Przykład dał od razu biskup sufragan Zubko. Nie nalegano jeszcze, lecz doradzano i zachęcano.

Równocześnie niemal wydano dwa ciekawe rozporządzenia. Zakazano klerykom żenić się z łacinniczkami, a więc z Polkami; te Polki bowiem stanowiły wielką przeszkodę do nakazywanego przez rząd „zjednoczenia“ z prawosławiem; ani nawet na obrządek słowiański przechodzić nie chciały. Polskie „popadije“ stawiały opór niezłomny, którego Siemaszko nie zdołał przełamać aż do 1862 r. Inne rozporządzenie zakazywało ks. łacińskim chrzcic dzieci unickich księży, żeby te dzieci nie były zapisane do łacińskich metryk.

Pewną ulgę sprawił okólnik, wydany przez administratora diecezji wileńskiej, ks. Mikuckiego, a bez wiedzy Siemaszki, z widocznym zamiarem, żeby dopomóc prześladowanym. Zawiadamiał mianowicie duchowieństwo, że chociaż zakazano już unitom przechodzić na obrządek łaciński, wolno jednak to robić prawosławnym. Zaczęli więc niektórzy księża unicy przyjmować pozornie prawosławie, ażeby przejść następnie na łacinę. Ale Siemaszko zapobiegł wkrótce temu zabiegowi, a od listopada 1838 roku wywożono już wszystkich „opornych“ księży w głąb Rosji.

Na początek roku 1839 przygotowywał Siemaszko cios stanowczy. Ułożył w imieniu unitów prośbę do cara o przyjęcie do cerkwi prawosławnej i z wielkim prześladowaniem kazał zbierać na to podpisy. Już teraz nie chodziło o pewne szczegóły nabożeństwa; tamto wszystko

było przygotowaniem, a teraz mieli się już uroczyście i zupełnie unii wyrzec i stać się schyzmatykami bez zastrzeżeń. Car przyjął tę petycję i podpisał „zjednoczenie“ dn. 25 marca 1839 r. Podpisów było 1.305. Odmówiło 593.

Wtedy to Ojciec św. ogłosił sławne swoje przemówienie (allokucję) na publicznym konsystorzu papieskim w Rzymie, z przypomnieniem biskupom i plebanom apostatom, że Bóg „książę pasterzy, będzie kiedyś szukał na ich rękach krwi zatraconych owieczek“.

„Pragnąc, żeby nowy kler nawet pamięć unii zatracił, zamieniano klerykom imiona, które na chrzcie św. byli wzięli, na schyzmatyckie i nie pozwalano dzieciom księży nadawać imion świętych łacińskich, jedno schyzmatyckich“.

Nie trudno się domyślić, że po owym apostazyjnym urzędowym ogólnym „zjednoczeniu“, nastąpiło jeszcze cięższe prześladowanie tych, którzy nadal odmawiali podpisu. Ks. Micewicz znalazł się w r. 1840 w Zahorowie, gdzie igumenem (przeorem) schyzmatyckiego klasztoru był osławiony odstępcza Seweryn Dziubiński, „pijanica i łajdak ostatniej próby“. Ten więził w jednej stancji czternastu księży unickich. Jeden z nich był ociemniały (ks. Arseni Błażewicz), a nie miano dla niego żadnych ulg. Posłuchajmyż, co opowiada o tym ks. Micewicz w swym pamiętniku, jak Dziubiński „pastwił się nad nami w sposób godny czasów pogańskich“.

„Morzono nas głodem, dając za ledwie po funcie, a częściej po pół funta, na wpół z plewą zmieszanego chleba, i po małej porcji niedosolonego wstrętnego jada; a wiele bywało dni takich, w których nic nam nie dawano; napastowano też każdodziennie, grożąc większą srogością“.

Ks. Dziubiński „nie szczędził okrucieństw“. Razu pewnego pozwał dwóch kapłanów unickich, w cerkwi rzu-

cił ich o posadzkę i kazał odbijać pokłony aż do końca mszy; a gdy mu o to robiono wymówki, kazał ks. Micewicza i ks. Możlińskiego zamknąć, każdego z osobna, w celach więziennych. Urządził rewizję kuferków i zabrał znalezione pieniądze. Przez pierwszy dzień nic do jedzenia nie dał, potem zaś przysłał krupnik, który dawno już przedtem widocznie był przyrządzany i „okraszony grynszpanem“, z czego się pochorowali. Tyran ten i prostak kazał pozatykać lufty z miejsca ustępowego, żeby więźniowie musieli oddychać powietrzem smrodliwym. I tak dręczył ich rozmaicie przeszło siedem miesięcy, morząc głodem.

W styczniu 1841 r. powiększył grono więźniów ks. Jozafat Słobodzki, opat kobryński. Zabrano mu od razu nie tylko pieniądze, ale nawet wszystkie drobiazgi, nawet łyżeczki i płaszcz. Ulokował go w izdebce nieopalanej. Sprowadzał chłopów i wobec nich lżył opata, nazywając go „starym psem“, obiecując 300 kańczugów itp. Pędząc go do więzienia, nie dał włożyć berlaczy, „tedy starzec w jednym tylko szlafrocuku i boso szedł za nim w milczeniu“. Kazał drzwiczki od pieców odbić, żeby jeszcze bardziej odczuwali zimno. „Przy końcu stycznia odebrali nam odzież zimową i przez całą zimę używano nas do robót najwstrętniejszych i najcięższych“.

A oto opis zgonu zamęczonego na śmierć ks. Słobodzkiego:

„W poniedziałek 3 marca 1841 r. za ledwieśmy rozpoczęli jutrznię w kaplicy, wpadł ks. Dziubiński z dwoma pomocnikami, porwał ks. Słobodzkiego, wtrącił do zimnego, okropnego więzienia, połączonego z kloaką, i tam starca 74-letniego pozostawił bez pokarmu, ani ciepłego ubrania, gdyż opat w chwili porwania miał na sobie tylko wytarty szlafroczek; a nas zwykłym porządkiem wyprawil

natychmiast Dziubiński na staw, żąc oczeret. Lecz my niepokojni o ks. opata, wysłaliśmy jednego spomiędzy siebie, ks. Onufrego Falkowskiego, aby się o niego wywie-dział. Ucieszył się niezmiernie staruszek tymi nawiedzina-mi i przez szparę, znajdującą się we drzwiach więzienia, odbył spowiedź, po czym ks. Falkowski do nas wrócił i nie wiedzieliśmy, co się z opatem przez cały dzień działo. Dopiero wieczorem, wracając od roboty, przez drzwi u-słyszeliśmy jakby chrapanie, więc prosiliśmy diakona Kon-dratowicza, u którego były klucze od więzienia, by nam pozwolił tam zajrzeć. Dano znać Dziubińskiemu, że opat zdaje się konać, na co odrzekł: „niech ginie jak pies, ja odpowiadać za niego nie będę“! I nie pozwolił nam pójść, dopiero nazajutrz wpół umarłego kazał przynieść do stancji, gdzie wkrótce ducha wyzionął, dnia 4 marca 1841 r. Ludzie, którzy go po śmierci ubierali, widzieli na jego ciele liczne sińce i ślady pobicia, zapewne dlatego wtedy nie pozwolono nam zbliżyć się do niego. 6 marca po od-prawieniu stosownego nabożeństwa, jako po opacie, po-chowaliśmy go na cmentarzu klasztornym w sadzie“.

Ten Dziubiński dokazywał jeszcze i potem, lecz już niedługo; tegoż samego roku skończył samobójstwem, wskoczywszy do stawu we wsi Chorowie, o pół mili od swego klasztoru, „a że było za płytko i brzeg błotnisty, więc utonąć tam nie mógł, przeto zanurzył głowę w wodę pod oczeret“... „Przy autopsji doktor powiatowy oświad-czył, że mózg był zupełnie zdrowy, a samobójstwo spra-wiły tylko wyrzuty sumienia“ — dodaje ks. Micewicz.

Wszystkie te „nowinki religijne“ były niezmiernie przy-kre ludowi. Objężdżając okolice Pińska, spotykał Siema-szko cerkwie prawosławne, stojące pustką, bo ludność albo przeszła na obrządek łaciński, albo poprzyłączała się sama do nielicznych parafii unickich, jakie jeszcze pozost-

stały, nie dbając o wielkie odległości. Dodajmy, że trzeba było do tego dobrej woli tej ocalałej jeszcze resztki proboszczów unickich, a zdarzało się rozmaicie. Z roku na rok ubywało jednak cerkwi z nabożeństwem unickim, a do „nawracania“ księży unickich używał Siemaszko coraz częściej pomocy władzy świeckiej, z policją i z więzieniem. Najbardziej celował w gwałtach i nieprawościach „nawracania“ żandarmskiego czynownik nazwiskiem Melnikow, który tak się wprawił, iż potrafił „nawracać“ całe parafie naraz. Został on potem za wstawiennictwem Siemaszki w r. 1843 wicegubernatorem kowieńskim.

Całe to odstępstwo przygotowane było w ukryciu i potajemnie; lud nic o tym nie wiedział, że wiarę jego chcą wytępić w całym państwie, i że zdradzili go własni pastarze. Niejeden, z księży dawał podpis tylko dlatego, że apostazją kierowali biskupi, bo w tym znajdowali księży uspokojenie sumienia, powiedziawszy sobie, że trzeba biskupa słuchać, a już biskup odpowie za wszystko przed Bogiem: Mylili się jednak; moralność katolicka naucza bowiem wyraźnie, że w złem zwierzchności słuchać nie trzeba. Siemaszko zaś wcale się o to nie troszczył, czy lud będzie mieć przekonanie do prawosławia, gdy proboszczowie na prawosławie przejdą. Wystarczało mu, gdy lud urzędowo był na schyzmę „przepisany“. Jakżeż miała unia zresztą utrzymać się? unia bez unickich kapłanów?

Mijał rok cały od aktu apostazji, a nikt go urzędowo nie ogłosił, lękając się, żeby lud nie wystąpił przeciw rządowym proboszczom. Siemaszko zażądał wprost, żeby synod prawosławny nie ogłaszał „aktu zjednoczenia“. Nie cała też Ruś wydawała apostatów. W trzech guberniach południowych, w podolskiej, wołyńskiej i kijowskiej zaledwie dziewięciu księży dało swe podpisy; toteż południowe gubernie nawet nie przeczuwały nic z tego, co się

w r. 1839 stało. A kiedy w owym roku 1839 Siemaszko zaczął odprawiać nabożeństwa wspólnie z archirejami prawosławnymi, wtedy otaczano cerkwie wojskiem dla bezpieczeństwa. „Kiedy w Wilnie wyświęcał na sufragana apostatę Michała Hołubowicza, w asystencji Antoniego Zubki i schyzmatycznego archireja, wtedy otaczało cerkiew pięć sotni kozaków. A kiedy wybierał się na objazd eparchii, aby wizytować cerkwie, wtedy udawał się do gubernatorów z prośbą o straż policyjną”.

Synod petersburski nakazał, żeby 13 czerwca 1839 r. odbyły się wszędzie uroczystości dziękczynne za „zjednoczenie“ unitów z prawosławiem. Siemaszko sprzeciwił się, bo tego dnia wypadło w sam raz katolickie święto Bożego Ciała (schyzmatykom nieznanie), a zatem — jak pisał Siemaszko — „można obawiać się tego, że lud „zjednoczony“ zamiast iść na uroczystości do cerkwi, przyłączy się do procesji rzymskiego duchowieństwa, jak to zawsze wedle zwyczaju robił“. Próbowano tych nabożeństw dziękczynnych jeszcze we dwa lata potem, ale odbyły się zaledwie w pięciu miastach eparchii litewskiej. Po wsiach miano to urządzić tylko na życzenie ludu, toteż nie dało się to zrobić nigdzie.

Na nic się też nie zdało, że w r. 1841 wydrukowano katechizm prawosławny w polskim języku i książeczkę pt. „Rozmowy wątpiącego i wierzącego o prawosławnej cerkwi“. Wtykano te druki wszystkim, przy każdej sposobności, ale na próżno. Godne jest jednak zastanowienia to, że uważano, jako do ludu tego (ruskiego) łatwiej będzie trafić, odzywając się do niego po polsku!

Zastanawia również fakt, że ani w r. 1842 lud jeszcze nie był urzędowo zawiadomiony, że jest uznany za prawosławny i nigdzie też nie myślał uczestniczyć w nabożeństwach dziękczynnych za to. A gdzie cerkwie przero-

bione były na schyzmatyckie tak widocznie, że lud tego nie mógł nie poznać, np. w dekanacie owruckim i witebskim, 3106 parafian wstrzymało się od spowiedzi wielkanocej. W r. następnym 1842, obliczono, że w eparchiach, znajdujących się pod zwierzchnictwem Siemaszki, usunęło się od spowiedzi 21.238 osób. Organy znaleziono jeszcze w r. 1841 w kilku cerkwiach dekanatu bielskiego, za co wydalono dziekana, a przysłany na jego miejsce dziekan rządowy otrzymał polecenie, żeby powyrzucać organy z pomocą policji. Siemaszko uspokajał władze rosyjskie, że lud będzie się stopniowo przyzwyczajając i uspokajając, ale w r. 1843 musiał przyznać, że lud unicki wcale nie okazywał przywiązania do prawosławia, z którym go urzędowo „zjednoczono“. Na Podolu zaś lud przyjmował obrządek łaciński tak gromadnie (zwłaszcza w dekanatach kamienieckim, jampolskim i hajsyńskim), że „wreszcie na całym Podolu była tylko jedna cerkiew unicka, i to w Kamieńcu Podolskim“.

Toteż rząd nie ze wszystkim był zadowolony z Siemaszki. Zwłaszcza domagał się działania energiczniejszego gubernator grodzieński, Murawiew. „Zebrano tedy podpisy za pomocą próśb i gróźb, bo o nic też więcej nie chodziło. Ale lud, przywiązany do swego obrządku, nie mógł go się wyrzec tak łatwo. Toteż gdy przyszło do urzeczywistnienia w praktyce nawrócenia, dokonanego na piśmie, ludność unicka wszędzie stawiała stanowczy opór. W wielu miejscowościach masy ludu uzbroiły się w widły i kosy i zapamiętałe bronili swego obrządku. Dla pokonania tego zbrojnego oporu, nie pozostawało nic innego, jak wezwać sotnie i krwawymi środkami tłumić opór ludności“. Tymi słowami przyznał to później i uznał prawdę pisarz rosyjski.

W r. 1840 wyszło rozporządzenie od petersburskiego synodu, żeby przyłączyć do prawosławia te parafie unic-

kie, które przeszły były na obrządek łaciński. Trzymano to jednak w zupełnej tajemnicy; Siemaszko zawiadamiał tylko swych sufraganów, ale konsystorzom rozporządzenia pokazywać nie pozwalał. Zaczęto więc całkiem niespodzianie „nawracać“ łacinników, a robiono to za pomocą „apostolstwa“ policyjnego. Sposoby tej pracy „religijnej“ okażemy na przykładzie wsi Leonpola w powiecie dziśnieńskim. Przykład ten, jeden z wielu, przedstawia się, jak następuje:

Parafia leonpolska była łacińską już od 35 lat, przyjmąwszy łaciński obrządek w r. 1806 i przez 35 lat nie była o to nagabywana. Ni stąd ni zowąd (ukaz był sekretny) przyjeżdża do tej wsi w r. 1841 cała komisja: sowiec, sędzia, deputat duchowny, pop, kandydat na proboszcza prawosławnego i (główny apostoł) rotmistrz z wojskiem. Zapisano tedy parafię całą, 2067 osób na prawosławie; a w tym także 29 takich, których rodzice ani dalsi przodkowie nigdy nie byli unitami, lecz łacinnikami z łacinników. Poprzepisywano też na schyzmę nieobecnych, takich, którzy przebywali gdzieś na szerokim świecie; skoro jednak byli wpisani do ksiąg ludności w Leonpolu, musieli stać się prawosławnymi, bo „taki ukaz“. Parafianie wnieśli skargę do ministerstwa, ministerstwo odesłało ją do „najświętszego synodu“, a synod do Siemaszki. Ten odpisał, że to wszystko wymysły złych ludzi, na których nie trzeba zwracać uwagi, lecz wypada szybko urządzać misje w sąsiednich powiatach, w lisneńskim i wilejskim. Leonpolan kazano wykreślić z rejestrów diecezji katolickiej. Gdy ludność nie uczęszczała do cerkwi z nowym parochem, zjechała nowa komisja z oficerem korpusu żandarmów i ci po żandarmsku zrobili „porządek“ i komisja doniosła władzom, że sprawa załatwiona. Cóż, skoro parafianie nadal nie chcieli bywać w cerkwi i nie odbyli spowiedzi? Natenczas biskup Zubko począł wyznaczać im terminy na

poddanie się przepisom schyzmy i ostatni termin wyznaczył na 22 sierpnia 1843 r. i dodał, że gdy nie posłuchają, wtedy gubernator weźmie ich w „opiekę”. Siemaszko naglił, żeby tę opiekę przyspieszyć i zażądał, żeby ją rozciągnąć także na pobliskie parafie Uźmiony, Przebrody i Dudakowice, bo tam takie same „bunty”. Jakoż trzy te parafie doświadczyły tego samego losu, co Leonpol. Na początek powybijano po dziesięciu najgorliwszych w wieżach św. parafian i powywożono ich do klasztorów prawosławnych, dzieląc ich jednak na części po trzech i czterech. Właścicielom tych wsi, Łopacińskim i Mirskim, zakazano mieszkać w swych dworach, a kazano przenieść się do Wilna, a we dworach osadzono rządowych administratorów. Gdy to wszystko nie pomagało, zjechał do Leonpola sam gubernator, oczywiście z siłą zbrojną i tak się sprawił, iż w listopadzie 1845 mógł Siemaszko raportować, że Leonpol i sąsiedni Uźmionów przystąpiły do spowiedzi.

Sąsiednie miasteczko, Przebrodzie, doznawało misji czynowniczych już od 1841 r., bo gdy wywieziono tamtejszego proboszcza unickiego Mancewicza, parafianie przestali uczęszczać do cerkwi. Nowy proboszcz, pop już prawosławny, sławny apostata Sawicki, zaczął także tropić takich, których rodzice poprzehodzili na obrządek łaciński; raz nawet przyzwał sobie do pomocy komisję rządową i tak przepisał na prawosławie 1133 osób. Odznaczył się przy tym czynownik Melnikow, znany już, jako pomocnik Siemaszki. Czynownik ten w samym dziśniejszym powiecie poprzerał na papierze pięć tysięcy osób na prawosławnych. Odbył też misje prawosławne w parafiach uzmońskiej i grzegorzowickiej, gdzie było 1.400 takich parafian, których rodziny już od 40 lat należały do obrządku łacińskiego.

Najbardziej zapędziło się czynownictwo we wsi Dudakowicach w guberni mohilewskiej w r. 1843. Gubernator

mohilewski użył wojska, żeby lud zapędzić do cerkwi i tam gwałtem roztwierano ludziom usta i wpychano komuni-kanty. Chodziło o stwierdzenie, że skoro komunikują u pra-wosławnego popa, są więc prawosławnymi. Nie troszczyli się wcale o to, że nikt tego nie robił z własnej woli, a w sprawach religijnych liczą się tylko dobrowolne czy-ny. Dla Moskali przymus w cerkwi czy w koszarach, jest jednakowo jedynym prawem. Najbardziej oporni parafianie dostali po 300 różg wojskowych, od czego trzy osoby u-marły. Parafia wysyłała zażalenia do Petersburga, lecz oczywiście bez skutku.

Równocześnie narzekał Siemaszko w swych raportach, że gdzie tylko były kościoły łacińskie, lud unicki cisnął się do nich tłumnie, i pragnął przechodzić na obrządek łaciński. Ale nawet katolicką łacińską ludność zaczęła po-licja pędzić do cerkwi, jak się to w r. 1859 stać miało w samym mieście Wilnie. Stopniowo przebijała się w Pe-tersburgu myśl, czyby także łacinników Litwy i Rusi nie przerabiać na prawosławnych. Ale łacinnicy, to byli sami Polacy i nie było pośród nich żadnego... Siemaszki. Mógł był Siemaszko z pomocą wojska zabrać w r. 1845 wspa-niały kościół św. Kazimierza w Wilnie na katedrę prawo-sławną, ale popów musiał sobie posprowadzać; żaden z na-szych księży na popa nie poszedł.

Gdzie pasterz był wierny i czujny, tam urzędy rosyj-skie nie dały rady. W diecezji biskupa Szumborskiego nie zabrakło też prześladowania.

Przez cały ten czas urzędnicy rosyjscy szerzyli demo-ralizację pomiędzy parafialnym duchowieństwem unickim, wyzyskując do swej propagandy ubóstwo, a także ciem-notę tych parochów. Parafian zaś próbowano pozyskiwać obietnicami zwalniania od służby wojskowej, od niektó-rych podatków, stacji żołnierskich itp. Na razie ludność

ulegała pokusie i gromadnie przechodziła na prawosławie w kilku wsiach. Nie zniósł tego biskup Szumborski w milczeniu. W lutym 1841 r. wystosował do rządu pismo, w którym skarżył się, że w czasie jego nieobecności jakiś paroch prawosławny namawiał unitów do porzucenia unii i nazwał to „haniebnym zgorszeniem dla samego rządu“. Rozpoczął też zaraz wizytacyjny objazd diecezji, przeciwstawiając się akcji rządowej osobistym wpływem i naukami wygłaszanymi do ludu, wołając, że „na strasznym sądzie będę was wzywał“. Nie pomogło wezwanie do Warszawy do namiestnika, gdzie otrzymał surowe ostrzeżenie. Wróciwszy stamtąd, wizytował dalej diecezję, pełniąc gorliwie obowiązki arcybiskupa. Doprowadził do tego, że nawet plebanie niepewni, którzy zaprowadzali na żądanie urzędów tę i ową zmianę, posiadającą już znaczenie zasadnicze, cofali te zmiany i utwierdzali się w wierności katolicyzmowi. Wielkie poparcie znalazł biskup w piśmie papieskim (breve) z 23 lutego 1842, w którym papież Grzegorz XVI ganił poczynione samowolnie zmiany i wzywał do odwołania niewłaściwych zarządzeń. Toteż zaczął biskup odwoływać nawet te drobiazgi obrządkowe, na które godził się był pod przymusem, ażeby uniknąć nacisku sroższego w rzeczach ważniejszych. Odwoływał wszystko, bo chociaż drobiazgi owe nie posiadały znaczenia zasadniczego, ustępstwa owe bałamuciły lud. Na próżno wzywał biskupa gubernator lubelski, w grudniu 1842 r., żeby zaniechał wszelkiego odwoływania. Ks. biskup Szumborski rozważał sprawę dalej gruntownie, aż w końcu w marcu 1844 r. wydał sławny swój list pasterski, w którym sam się oskarża, że zbłądził i prosi swą owczarnię o przebaczenie.

Nie można bez wzruszenia czytać tej spowiedzi publicznej, owego listu pasterskiego, unieważniającego poczynione przed paru laty ustępstwa. Zaznacza w nim ks.

biskup, że natychmiast po wydaniu zarządzeń z r. 1841 wyrzekano, iż te zmiany stanowią pierwszy krok do zerwania z Rzymem i zniesienia unii. Wielu obywateli i kołatorów zaniechało uczęszczania do kościołów unickich, odmawiało wsparcia swym proboszczom. Lud również zaczął opuszczać nabożeństwo. Jedynie nadzieja, że wierni nie będą przywiązywali większej wagi do poczynionych zmian, powstrzymała pasterza diecezji od niezwłocznego cofnięcia wydanych przepisów.

Biskup przyznaje, że nie miał prawa zmieniać obrzędów kościelnych. „Zbłądzili my przeto — pisze w liście pasterskim — i zgorszyli Was, Najmilsi Bracia w Chrystusie i owieczki nasze i lękamy się pogroźki Chrystusa Pana: Biada temu, przez którego zgorszenie przychodzi (Math. 18). Błagam przeto Was, najmilsi bracia w Chrystusie, przebaczenie ułomności, przebaczenie błąd mój, który uznaję, i odwołuję rozporządzenie z dnia 14/26 sierpnia 1841 r. wydane. Wróćcie się do dawnych zwykłych, a przez nas długo uprawianych ceremonii. Przywołamy na powrót odstręczonych od kościołów naszych i nabożeństwa ludzi pobożnych obojga obrządków, a przed światem udowodnimy, że opinia o nas wzięta perekińczyków (odstępców) była bezzasadna i fałszywa. Bezpiecznym sumienie nasze, położymy tamę zgorszeniom dalszym, i ujdziemy odpowiedzialności przed Bogiem“.

Można sobie wyobrazić, ile przykrości musiał odtąd znosić od władz rosyjskich, ale ocalił uinę w Chełmszczyźnie i na Podlasiu jeszcze do następnego pokolenia.

Męczeństwem dało świadectwo katolickiej prawdzie w łonie unii cerkiewnej w latach 1837 — 1850 około 700 księży, którzy woleli wygnanie i więzienie, niż dać podpis na „dobrowolne złączenie“ z prawosławną schyzmą. Ale kapłanów unickich było w prowincjach objętych tym prze-

śladowaniem na Litwie, Białorusi, Wołyniu, Podolu i Ukrainie 3.900; więc 3.200 wyrzekło się unii na rozkaz rządu. Okazało się przy tym, że głównymi unii obrońcami byli Polacy. Trzeba tę okoliczność podkreślić, albowiem z zagranicy (źle poinformowanej) dochodzą czasem krzywdzące głosy, jakoby Polska nie była popierała należycie unii! Co więcej, zarzucają nam obecnie, jakobyśmy przeszkadzali wskrzeszaniu Cerkwi unickiej. Jest to złośliwe oszczerstwo; przeszkadzać nikt nie myśli i nie będzie; tylko wielu Polaków mniema, że to jest trud nieprzydatny. Lud ruski przepojony jest w sprawach cerkiewnych cywilizacją bizantyńską, a w tej cywilizacji forma ma pierwszeństwo przed treścią. Wielu jest więc tego zdania, że lud ruski nie przejmie się katolicyzmem, dopóki nie zmieni obrządku na łaciński; wtedy dopiero uzna zmianę wyznania. Jeżeli zaś to jest niemożliwe, w takim razie unię dałoby się znowu utrzymać tylko z pomocą Polaków, porzucających obrządek łaciński — i znów na nowo błędne koło, bo taka unia byłaby tworem sztucznym. Ci atoli, którzy sądzą, że wschodni obrządek lepiej utwierdzi Rusinów w katolicyzmie, postępują zgodnie ze swym sumieniem, tworząc na nowo unię w dawnym zaborze rosyjskim i nikt im przeszkadzać nie będzie.

29. Z DYMEM POŻARÓW.

Mickiewicz mienił być Polskę „Chrystusem narodów“. Zastanawiał się, jak wytłumaczyć tak straszną niesprawiedliwość dziejową, jak rozbiory Polski i prześladowanie narodu polskiego. Zatopiony w mistycyzmie, nabrał przekonania, że naród nasz wydany jest przez Opatrzność na mękę, jako ofiara zadość uczynienia za grzechy polityczne Europy, za jej odkupienie, co gdy nastąpi, będziemy mogli odzyskać niepodległość. Bardzo to poetycznie było powiedziane, lecz całkiem błędne, bo przecież nie dobrowolnie utraciliśmy niepodległość; porównywanie się zaś z Chrystusem Panem brzmiało wzniośle, lecz niejednemu mogło się wydawać bluźnierstwem. Do takich należał właśnie ks. Hieronim Kajsiwicz, który wyrobił się na znakomitego teologa. Ten odparł, że jeżeli mamy w Piśmie św. szukać zestawienia dla niedoli naszej, Polska nazwana być może nie Chrystusem, lecz Jobem pośród narodów. Niestety, zestawienie z Jobem było trafne, i z roku na rok coraz trafniejsze. Rozdział poprzedni dostarczył dość dowodów, ten zaś dostarczy jeszcze straszniejszych.

Z zaboru rosyjskiego przeniesiemy się do austriackiego a przyjrzymy się głównie stosunkom na wsi. Były prze-

rażliwe. Oświata ludowa w Polsce upadała coraz niżej. Żaden rząd absolutny nie pragnął oświaty ludowej i szkół wiejskich nie zakładał. W Galicji brał rząd do wojska (na lat 12) każdego włościanina, o którym dowiedziano się, że uczył się czytać i pisać, bo uważano takiego za niebezpiecznego, za rewolucjonistę chłopskiego. Lud w Kongresówce, najbardziej oświecony do roku 1830 (bo najdłużej pozostawał pod rządami polskimi), zaczął cofać się w oświacie. Cóż dopiero w Galicji, która była pod obcym rządem już od r. 1772. Księża szerzyć oświaty nie mogli, bo każdy kapłan, który by się tym zajmował, był prześladowany przez rząd, jako podejrzany o „czynności rewolucyjne“.

Z ciemnotą łączyła się straszliwa nędza. Wszystkie stany zubożały. Przyrost ludności wiejskiej gniótł się znowu we wsi rodzinnej, nie znajdując zarobku i zajęcia w sąsiednich ubożających miastach i miasteczkach. Ludzie we wsi było tyle, że połowa byłaby wystarczyla na obrobienie gruntów; lud nauczył się więc mimowoli lenistwa a nie mając dostatecznego zajęcia na cały dzień, szukał zajęcia w karczmie, i tak szło wszystko coraz gorzej. Dwór ubożający dawał coraz mniej zapomóg, a chłop zapomogi coraz częściej potrzebował i zaczynała się z tego wzajemna niechęć chaty i dworu.

Ta niechęć podobała się ogromnie rządowi austriackiemu i dalejże rozdmuchiwać zły ogień jeszcze bardziej. Kiedy w r. 1844 szlachta galicyjska wniosła do tronu prośbę o uwłaszczenie, nie dostała całkiem odpowiedzi, boć wtedy nastalaby zgoda chaty z dworem, a rządowi chodziło o to, żeby dwie rolnicze warstwy społeczeństwa, warstwy u nas najważniejsze (jako w kraju rolniczym), były rozdwojone przeciwko sobie. Od tego byli po wsiach osobni urzędnicy cesarscy, zwani justycjaruszami i man-

datariuszami, do sądownictwa i administracji wiejskiej. Sprawowali swój urząd w taki sposób, iż umyślnie jątrzyli chatę przeciw dworowi. Chodziło o to, żeby lud upatrywał w urzędniku austriackim swego opiekuna, do którego można pójść ze skargą na dwór, w dziedzicu zaś gnębiela swego.

Z jątrzenia tego miały wyrósć stosunki przeraźliwe i wydarzenia okrutne, które z największą przykrością tu opisać musimy. Na fatalnym tle jaśniały tym bardziej dusze świętobliwe, krzątające się około poprawy stosunków, a wśród nich na pierwszym planie dwóch kapłanów z opinią świętości: Jezuita Karol Antoniewicz i proboszcz wiejski Wojciech Błaszyński.

Karol Antoniewicz był synem adwokata lwowskiego, który był zarazem ziemianinem. Posiadał wieś Skorzawę w okręgu żółkiewskim. Była to rodzina ormiańska.

Ormianie, lud kupiecki z Azji Przedniej, szerząc swój handel do Europy, odkryli nową drogę handlową od ujścia Dniestru w górę tej rzeki do granic państwa polskiego. Założyli własną osadę handlową we Lwowie i potem jeszcze kilkanaście innych, mniejszych. Posiadając odrębny obrządek, pozakładali własne parafie, a biskupowi ich we Lwowie przyznała Stolica Apostolska godność arcybiskupa i tak jest dotychczas. Ci przybysze ormiańscy stali się prawymi obywatelami Polski i zlali się najzupełniej z polszczyzną. Od wielu już pokoleń obrządek stanowi jedyną różnicę pomiędzy Ormianinem polskim a resztą Polaków; a obrządek ten starożytny otaczamy czcią i szacunkiem.

Karol Antoniewicz przyszedł na świat we Lwowie w r. 1807, a chował się w Skwarzawie pod opieką matki. Dla jej wielkich cnót porównywał ją potem Karol nieraz do św. Moniki, a zawdzięczał jej tym więcej, skoro ojca utracił w 16 roku życia. Studia gimnazjalne i prawnicze

odbył we Lwowie i miał je uzupełnić w Wiedniu. Wybrał się tam jesienią roku 1831, a w drodze wstąpił do Krakowa. Tam dowiedziawszy się o wybuchu powstania „listopadowego“ (listopad 1831 r.), zmienił kierunek podróży z szosy wiedeńskiej na warszawską i wstąpił zaraz do wojska polskiego. Odbył kampanię jako oficer w korpusie generała Dwernickiego. Potem osiadł w dziedzicznej Skwarzawie, a w r. 1833 ożenił się z kuzynką wujeczną, Zofią z Nikorowiczów. Mieli pięcioro dzieci; lecz oto każde po czterech do pięciu miesiącach życia zapadało ciężko na zdrowiu i wszystkie, jedno po drugim, poumierły. Nad trumną ostatniego dziecka powiedzieli sobie, że odtąd poświęcą życie tylko służbie Bożej i miłości bliźniego.

Antoniewiczowie zamieniali się w rodzinę zakonną. Matka od kilku już lat mieszkała na dewocji u lwowskich Bernardynek. Młodzi, żeby być blisko matki, przenieśli się także do Lwowa. Tam Zofia chodziła co piątku na usługi do szpitala Szarytek, a wkrótce złożyła za zgodą męża wstępne śluby Szarytek. Zostać całkiem zakonnica mogłaby, o ileby i mąż także wstąpił do jakiego klasztoru. Było to postanowione, lecz Zofia tego nie doczekała, zgąszszy w r. 1839, pochowana w habicie Szarytki. Młody zaś wdowiec, liczący zaledwie lat 32, wybrał się do jezuickiego nowicjatu w Starej Wsi na Podkarpaciu.

Po prymicjach we Lwowie w r. 1844, udał się do klasztoru w N. Sączu i tam wypadło mu mieć pierwsze kazanie przy zakładaniu bractwa wstrzemięźliwości; a w tej właśnie dziedzinie miał potem zasłynąć, tak dalece, iż nazywano go „chorążym trzeźwości“. Doniosła to była sprawa! Żydzi uważali to za „antysemityzm“ i wezwali opieki rządu przeciw bractwom wstrzemięźliwości, robiąc donosy na zajętych przy tym księży, że w bractwach tych upra-

wia się politykę buntowniczą! Wywiązała się walka na ostre, a chłop szedł nieraz z Żydem przeciwko księdzu! Taka była ciemnota i taki brak moralności u rozpitego ludu. Nie sprzyja też moralności nędza, a właśnie szczególnie ciężkie były lata 1844 i 1845, a to z powodu strasznych powodzi. Ksiądz Antoniewicz jeździł z płomiennymi kazaniami, wzywając do składek na włościańskich powodzian. Powódź zatapiała oczywiście jednakowo mienie dworskie i chłopskie, ale dwory nie szczędziły pomocy z tego, co im zostało. Zdawało się, że z tej wspólnoty klęski wytworzy się poczucie wspólności interesów i jakiś wspólny duch rodaków obydwóch warstw rolniczych, a bractwa trzeźwości wyprowadzą lud z nędzy i z niewoli karczmarzy żydowskich.

Ale rząd nie chciał zgody chaty i dworu, i nadeszły z Wiednia surowe nakazy do urzędów, żeby nie dopuszczać do żadnej współpracy dziedziców z chłopami. Zaczęła się propaganda starostów z poparciem Żydów, udzielająca pouczenia, że chłopci są cesarscy, a „tylko panowie są Polaki“.

Tymczasem pewna część emigracji we Francji wnieśliła się w tok sprawy polskiej w sposób fatalny. Potworzyły się stowarzyszenia tajne w całej niemal Europie przeciw wpływowi Metternicha, a związki te obrały sobie sprawę polską za przedmiot rozgłosu. Głoszono, że zrzuci się rządy absolutne, że zapanują wszędzie konstytucje, a nawet republiki, powinno tedy wybuchnąć w Polsce powstanie, żeby dopomóc tym ruchom międzynarodowym i nawzajem od tych spisków otrzymać pomoc do odnowienia niepodległości. I rzeczywiście stronnictwo demokratyczne z paryskiej emigracji zajęło się przygotowaniem powstania. Sądzili, że wciągną lud wiejski, jeżeli każdemu chłopskiemu powstańcowi przyrzeknie się pięć morgów

na własność. Ostatecznie ustanowiono w Krakowie rząd powstańczy na wszystkie trzy zabory i wyznaczono termin powstania na dzień 21 lutego 1846 roku.

W Wiedniu coś przeczuwali. Na trzy tygodnie przed terminem powstania zagarnęli Austriacy maleńką republikę krakowską, istniejącą od r. 1815 i wcielili do swego cesarstwa. Odwołano wtedy powstanie, ale nie wszędzie doszedł ten rozkaz na czas i przez to nieporozumienie wybuchły we wszystkich trzech zaborach krótkie ruchawki. W Galicji miało się to skończyć w sposób straszny.

Starostowie austriaccy rozpuścili pogłoskę, że „panowie” buntują się przeciw cesarzowi o to, ponieważ cesarz chciałby znieść pańszczyznę, a panowie nie chcą, i postanowili wymordować lud wiejski. Nie ma takiej bredni, której nie uwierzyłby tłum ciemny. Nie pomyślał chłop, jak się to zgadza jedno z drugim, że szlachta chce mieć pańszczyznę dla siebie, ale zabiera się do wymordowania tych, którzy właśnie mają pańszczyznę odrabiać.

Starosta tarnowski, przeklętej pamięci Breindl, zebrał chłopów, popił ich i kazał ruszyć przeciw oddziałowi powstańców, pod Tarnowem się zbierającemu. Od tego zaczęła się w zachodniej Galicji straszna jakby wojna domowa ze zbójckim piętnem kainowskim. Na naradzie we Lwowie postanowiono urządzić rzeź szlachty przez włościan. Rozumowali, że w ten sposób zapobiegnie się na przyszłość powstaniom, a narodowość polska będzie złamaną najzupełniej, gdy Polacy sami pomiędzy sobą nastawiać będą jedni na drugich. I zaczęto w austriackich urzędach płacić za trupa polskiego szlachcica po 25 guldenów, potem tylko po dziesięć, później coraz mniej. Pozwalano przy tym rabować dwory. Działy się podczas tej rzezi przeraźliwe rzeczy, wołające o pomstę do Boga. A gdy tłuszcza ciemna i pijana zasmakowała w krwi i poźodze,

zaczęły zbójckie bandy po szlachcie zabierać się do księży, i zmawiały się na rabowanie miast...

Działo się to za namiestnictwa arcyksięcia Ferdynanda d'Este, kiedy prezydentem gubernialnym był Krieg von Hochfeld, za pomocą starostów Milbachera we Lwowie, Breindla w Tarnowie, dyrektora policji lwowskiej Sacher Masocha, starosty wadowickiego Losertha, bocheńskiego Berndta i innych przez ręce ciemnych pijaniców Szeli z obwodów tarnowskiego, Janochy z sandeckiego, Ryndacha jasielskiego, Korygi z bocheńskiego. Za rzeź, dokonaną wśród najohydniejszej niktzemności, jakiej kiedykolwiek świat był świadkiem, rząd rozdawał następnie pensje i ordery. Szela dostał złoty medal z napisem: Bene merenti (tj. dobrze zasłużonemu) i bogate gospodarstwo włościańskie w dobrach kameralnych na Bukowinie. W Galicji osiąść nie mógł i sam zresztą nie chciał, bo włościanie opamiętali się wkrótce ze swego oszołomienia i wyrzuty sumienia poczęły się odzywać. Tylko figury urzędowe żadnych wyrzutów nie doznawały, a wiceprezydent gubernialny hr. Leżansky, świadczył Szeli, że to człowiek „niepospolity i zasłużony krajowi“. Ale ks. Serwatowskiego, profesora seminarium duchownego w Tarnowie, gdy chłopów upominał o popełnione zbrojstwa, usunięto natychmiast z posady tarnowskiej i przeniesiono aż do Lincu, żeby nie był „szkodliwym“.

Działy się niktzemności nad niktzemnościami, a rozbestwione pijane bandy zadawały śmierć dziedzicom po dworach sposobami niezmiernie wymyślnymi, wśród wyszukanych tortur tak okrutnych, że zrozumieć niesposób, skąd nawet w pijanych głowach mogły się rodzić takie szatańskie pomysły. A gdy z Podgórza pod Krakowem (dziś przedmieście duże) wyruszyła procesja w stronę miasteczka Gdowa, gdzie było jedno z ognisk rzezi, nie pomogły ni obrazy święte ni chorągwie kościelne; rozpite chłopstwo rzuciło się i na procesję!

Rządowi chodziło o zniszczenie organizacji powstańczej i o nieprzyjaźń pomiędzy chatą i dworem; ale żeby kawał kraju zamienił się na zbójectwo i rabusiosstwo, tego było nawet rządowi austriackiemu za dużo. Wojsko rozpędziło w kilka dni zbójcecki motłoch. Czemuż nie zrobiono tego od razu? Wyjaśnienie znajdziemy w manifeście cesarza Ferdynanda w dniu 13 marca 1846, w którym dziękuje ludowi wiejskiemu za „wierność okazaną dla tronu“. Ale pańszczyznę rząd zostawił.

Kościół nie mógł milczeć na całą tę przeraźliwą nikczemność rządu, ani też pozostawić lud w takiej ciemności moralnej. Całe duchowieństwo solidaryzowało się z ks. Serwatowskim. Powzięto myśl misyj generalnych. Odznaczili się wówczas OO. Jezuici, a wśród nich na pierwsze miejsce wysunęła się świetlana prawdziwie postać ks. Karola Antoniewicza. Można powiedzieć, że od tych misji zaczęła się nowa era w dziejach ludu wiejskiego w zaborze austriackim.

Misje objęły pewne okolice ówczesnych obwodów sądeckiego, tarnowskiego i bocheńskiego, a trwały pół roku, od Wielkiejnocy do końca września 1846 r. Misjonarze podzielili pomiędzy siebie całą tę połać Małopolski, jeżdżąc zazwyczaj po dwóch. Objazd, w którym uczestniczył ks. Antoniewicz, miał 15 głównych postojów; a te są: Brzany, Bobowa, Bruśnik, Ciężkowice, Lipnica, Gromnik, Wilczyńska, Podole, Rożnów, Korzenna, Tropie, Staniątki, Brzeźnica, Nagoszyn, Wiewiórka. Wyjazd nastąpił z Nowego Sącza, z kolegium OO. Jezuitów, cieszącego się wielką powagą. Budziły się w ks. Antoniewiczu obawy i wątpliwości, czy podola tak trudnemu zadaniu, ale powiedział sobie, jako „na te pytania jedna pocieszająca odpowiedź, że taka była wola starszych, a tym samym wola Boska“.

Misja trwała z reguły 8 dni na jednym miejscu, nie-

kiedy jednak przeciągała się. Do każdego miejsca misyjnego ciągnął lud z procesjami z okolicy dookoła, nawet po kilka mil. Spowiadano i komunikowano zazwyczaj do dziesiątej w nocy i jeszcze po misji musieli zostawać księża, którzy do pomocy Jezuitom się zjeżdżali, żeby wysłuchiwać setki takich, którzy się do spowiedzi jeszcze nie zdołali docisnąć. Ale pierwszy dzień misji nie zawsze był miły. W takim np. Bruśniku zanosilo się na ponowne rozruchy i „musiano o wojsko prosić dla zapobieżenia dalszym bezprawiom“. A jednak z pomocą Bożą misja przyniosła tam nadzwyczajne owoce.

Władza zakonna kazała potem ks. Antoniewiczowi sporządzić opis tych misji na piśmie; wydano je drukiem. Korzystając z tego, możemy towarzyszyć myślą wielkiemu apostołowi chłopów dzień po dniu, od wsi do wsi. Podamy tu nieco wyjątków z tych opisów, będziemy nawet chętnie używali jego własnych słów. Rzecz prosta, że znajdzie się tu drobna tylko cząstka z jego zapisek dla przykładu.

Przede wszystkim zadajmy sobie pytanie, co ten lud robił — a zobaczymy, że zachowywał się, jakby pozbawiony rozumu. Co ks. Antoniewicz zastał?

Nie sądzmy, że była to zemsta ludu za złe obchodzenie się z nim! Właśnie że pierwszymi ofiarami byli najlepsi ludu przyjaciele i dobrodzieje!!! ci bowiem byli rządowi najbardziej nienawistni. Bandami kierowali zbirowie płatni (łajdaków wszędzie można znaleźć) i ci tak manewrowali, że gdzie lud okazywał przywiązanie do dworu, prowadzili taką gromadę o kilka mil dalej, a do wsi zgodnej nasyłano chłopów całkiem obcych, z dalszych okolic. Padali ofiarą najszlachetniejsi włościan opiekunowie. Ks. Antoniewicz tłumaczy tę zagadkę w sposób następujący:

„Ten lud nie mógł pojąć i wierzyć temu, aby mógł

kto dla kogo bez własnego interesu się poświęcić, aby mógł kto kochać“.

Pod Bobową „młody pan, wróciwszy z zagranicy, żył spokojnie pośród swoich poddanych, od których powszechnie był kochany i zasługiwał na tę miłość“. Pozostawał więc spokojnie w domu, gdy wtem niespodzianie go napadnięto; a gdy powracał po jakimś czasie do przytomności, trzy razy go dobijano, aż w końcu dobito, pokaleczonego na wszystkich członkach.

W Bruśniku dziedzic cudem prawie tylko uszedł śmierci, chociaż cały ranami pokryty. Najokrutniejszym okazał się człowiek, „któremu same dobrodziejstwa świadczył“. Gdy potem prosił na klęczkach o przebaczenie, pytany o przyczynę, czemu dobrodzieja swego katował, odpowiedział w te słowa: „Ja nie wiem sam, co się ze mną stało. Ja nie wiem, ale żeby mi kazano było ojca swojego zabić, byłbym uczynił“. A więc: kazano mu było! Któż kazał?

Ileż wypadków mordowania dzieci! Jeżeli nieszczęśliwej matce, której męża zabito (torturując go na jej oczach), udało się gdzie dziecko skryć, przetrząsali wszystko od góry do dołu, szukali w mieszkaniach służby folwarcznej, gonili po całej wsi, czy jaka litościwa kobieta nie przechowuje dzieć; a jeżeli znaleźli, mordowali drobne dzieci w taki sposób, iż pióro wzdryga się opisywać szczegóły. W Podolu chcąc zmusić matkę, żeby wskazała gdzie ma pieniądze, „porywają dziecko, i wrzucają w piec piekarski na rozżarzone węgle“.

W sposobach rabowania znać dzikość, ale też głupotę, co się zowie: Podłogę rąbią, piece rozwalają, obicia ze ścian zdzierają, rozkładają wielki ogień i palą wszystkie książki i papiery, a zabrawszy wszystko, co było do wzięcia: sukno, srebro, bieliznę, opuszczają dwór, aby inne tymże sposobem poniszczyć budynki. Wielkie wódki za-

pasy (po gorzelniach) wypuszczają, zboże częścią zabierają częścią w wodę i bagniska wysypują. Stadninę, bydło rozdzielają pomiędzy siebie, ale jeszcze krwi było im potrzeba.

„Lud dziki“... „jednego kwiateczka w oranżerii, wazonie nie zostawił i w ogrodzie planty i krzewy wyrwał z korzeniami, a nie mogąc mścić się na żywych (którzy uszli szczęśliwie), targnął się na umarłych i dobył się do grobu zmarłego prałata, wuja p. K., szukając złotego łańcucha, w którym, wiedział, że tenże przed dawnymi czasy był pochowany“.

W Nagoszynie pod Tarnowem z owczarni składającej się z kilku tysięcy owiec drogich, ani jedna nie pozostała sztuka, toż samo z holenderni.

Przedmioty zrabowane, owce, bydło i konie (o ile ich nie zabijano) zboże itd. skupywali Żydzi. „A lud ten poczyniwszy milionowe szkody dla z bogacenia Żydów, dziś w nędzy zostając, nie waży się prosić o pomoc tych, których sam ogołocił z wszelkich środków dawania pomocy; nie odważa się zbliżyć do tej, którą wdową uczynił. I poznał lud nieszczęśliwy, że lepiej mu było z najgorszym panem, jak teraz, nie mając żadnego“.

Podmówieni byli nie tylko przeciw dziedzicom, ale zarazem przeciwko księżom:

„Ten lud, co przed miesiącem zbierał się tak pobożnie do kościoła i tak przykładowie się w onych zachowywał, napadał zbrojną ręką te domy Boże, szydząc i bluźniąc to, co dotychczas czcił i szanował; łamał i deptał te krzyże, przed którymi kolana swe ugiął; znieważał Przenajświętszy Sakrament, na którego wspomnienie przed paru dniami wzdychał i bił się w piersi“. „Bezkarne lżyli, wiązali, więzili i zabijali kapłanów“. „Wielu księży zginęło krwawą śmiercią z rąk własnych parafian, a daleko

więcej sromotnie zelżonych, związanych, chłopci do urzędu obwodowego odstawili, jako złoczyńców“.

W Ciężkowicach „kościół farny znieważony został przez tłuszcę rozbójniczą, która pod pozorem szukania broni, na koniach z nakrytymi głowami, fajkami, bluźniąc i szydząc, płądrowała po wszystkich zakątkach kościelnych“.

W pobliżu Gromnika, „na probostwo napada tłuszcza rozjuszona, szuka, przetrąca cały dom, wrywa podłogę, śmiercią księdzu zagraża“. W innej zaś wsi także koło Gromnika (którą ks. Antoniewicz oznacza tylko literą P). „proboszcza miejscowego własny lud zamordował“. W Nagoszynie zamordowano między innymi Bazyljanina unite, który mieszkał tam, jako uchodźca spod panowania rosyjskiego. W Brzeźnicy zabili na śmierć ks. wikarego na cmentarzu. W Podolu wyciągnęli dziedzica z kościoła Reformatów i zamordowali przed samymi drzwiami kościelnymi. Znieważali tam księży, rąbali posągi i obrazy kościelne. Kwestarza pokaleczono i wlokąc go do Tarnowa, w drodze dobito. U Benedyktynki w Staniątkach zamordowano sześć osób pod oknami mniszek, a księży, odprawiających właśnie nabożeństwo przed Najśw. Sakramentem, zbitych odwieziono do urzędu w Bochni.

Odwożenie do starostów było czymś powszechnym. Kazano bowiem chłopom chwycić powstańców i robić rewizje, czy gdzie nie są pochowani. W oczach władz powstańcem był każdy dziedzic i każdy gorliwszy kapłan. Ażeby zaś lud rozwścieczyć, puściły urzędy pogłoskę, że „panowie“ chcą urządzić rzeź chłopów. Po pijanemu można uwierzyć nawet w to, że jeden dziedzic zarżnie setki chłopów we wsi.

Świątobliwy misjonarz stwierdza w swych zapiskach, że pogłoska ta była „między lud już przed rokiem przed tymi zaburzeniami w obieg puszczona“ — a więc mamy

świadectwo, że cały piekielny plan osnuty był już od wiosny 1845 roku.

O głupocie rzesz ludowych świadczą takie np. fakty:

W jednej parafii proboszcz, przed tymi rozruchami bardzo lubiany od parafian swoich, gdy zaburzenia ustały, posłał chłopą do apteki po proszki od kaszlu. Natychmiast gruchnęła pogłoska po całej parafii, że ksiądz będzie truć przy rozdawaniu komunii. Zbliżała się wielkanocna spowiedź, ludzie przystępowali do spowiedzi, ale żaden do komunii św. Ksiądz zdziwiony pyta o przyczynę, ale nikt wyznać nie chce. Przypadkiem dowiaduje się, przywołuje wybranych z gromady i w przytomności tego, który do apteki chodził i poznał, że to te same proszki, które podówczas przyniósł, pożywa takowe i lud zaspokaja. Innemu, gdy im miał święcić paschę (święcone), przynieśli sami chłopci wodę i sól, które w ich oczach poświęcić musiał i pierwiej własne a potem ich święcone pokropić. „Mógłbym jeszcze wiele przytoczyć przykładów“ — są słowa samego ks. Antoniewicza.

Najbardziej jednak pouczające było zdarzenie w Rożnowie nad Dunajcem („tak pięknej zachwycającej okolicy niełatwo widzieć się zdarza“). Proboszcz tamtejszy „potrafił lud swój do tego nakłonić, że nie tylko rąk swoich krwią nie mazał, i sumienia rabunkiem nie obciążył, ale nawet stanął w obronie mienia dziedzica. Cała wieś pod bronią we dnie i w nocy czuwała, aby obce bandy nie wtargnęły w granice różnowskie; promy poodcinano, a gdy jedna horda gwałtem napaść chciała zamek różnowski, przyszło do bitwy, w której kilku chłopów padło, kilku pojmanych zostało. Po kilku dniach wypadł tam odpust. „Ludu nieznanego mi cała liczna kompania przybyła (opowiadał proboszcz ks. Antoniewiczowi); to mię trochę niepokoić zaczęło. Właśnie wychodziłem ze mszą, gdy na

podwórzu wrzask okropny powstaje. „Polacy rzna, uciekajcie!“ W jednej chwili lud się rozpierzchł, a ludzie ci nieznanym zaczynałą rabować kościół i zrabowali go doszczętnie, a pleban ledwie ocalił swoje życie.

Tak się zemszczono na proboszczu za to, że w jego parafii zbójów nie było! Czy nie znać, że tu ludem kieruje ktoś spoza ludu?

Ten sam austriacki „ktoś“ lubiał stawiać przeszkody misjonarzom, a zamiast misji, wolałby powtórzyć rzeź i rabunek jeszcze raz.

Trzeciego dnia misji w Gromniku przybiega konny posłaniec, że w kilku wsiach okolicznych lud na nowo niszczy i rabuje, co jeszcze zostało. Pogłoski te, „po części przesadzone były, chociaż niestety prawdziwe“, lecz zgromadzonych na misjach w Gromniku ani tknęły. Misję przedłużono tam do jedenastu dni, ale ze skutkiem nadzwyczajnym.

A więc były próby powtórzenia rozruchów i rzezi; były. Działo się to z końcem maja i w początkach czerwca 1846 roku.

Innym razem „niektórzy, co te bezprawia powtórzyć mieli chętkę, wszelkim sposobem usiłowali lud przeciw nam podburzyć, rozsiewając pogłoski, żeśmy nie księżmi, ale szlachtą przebraną; inni, żeśmy z klasztoru uciekli i błakamy się po świecie itp“. A więc byli tacy, którzy „mieli chętkę lud podburzyć“, byli tedy spoza ludu, „ludu za narzędzie ślepe używając“. W Ciężkowicach „jednej nocy wszystkie kładki na rzece, które z każdej strony do miasta wchodząc trzeba było przebywać, pozrzucono; ale i to nic nie pomogło; lud, w głąb brnąc w wodach, pospieszał do słuchania słowa Bożego“. W Lipnicy „po pierwszej nauce lud głośno szemrać począł, mówiąc, żeśmy od panów przekupieni“ i zmawiali się i odgrażali, a potem

tak tłumnie garnęli się do spowiedzi, iż „z konfesjonułu wyjść nie można było“. A do Gromnika odradzano nam przez bojaźń chłopów, aby tam nie jechać. Ludzie odradzali, ale Bóg powołał; „i w końcu wielka była pociecha“.

Niemaló wsi wylicza ks. Antoniewicz takich, gdzie misjonarzy zrazu spotykały przykrości, ale w końcu Sakramenty święte odnosiły tryumf. Np. w Brzanach przyjęto go urągliwie, a po tygodniu cóż się nie dzieje? „Podczas jednej nauki starzec siwy jak gołąb wystąpił z pośrodku ludu i stanąwszy przede mną odezwał się, przerywając mi mowę, że nie może wytrzymać, aż dokończę mówić i musi mi podziękować za wszystko dobre, com dla nich i ich dzieci uczynił“ (nauczał bowiem ks. Antoniewicz co dnia osobno dziatwę katechizmu). „A przy nauce ostatniej ja wraz z ludem zapłakałem; ciężkie było rozstanie nasze. Podziękowałem Panu Bogu za te osiem dni, w których tak widocznie błogosławił naszej pracy, że poznał swe zbrodnie lud ten, że za nie żałował“.

Nieoceniona zasługa świętobliwego misjonarza polegała na tym, iż zaszczepił jednej stronie myśl pokuty, a przebaczenia drugiej. Co zaś sądzić o tej „rzezi galicyjskiej“, wyraził wówczas poeta Kornel Ujejski. Ułożył wspianą modlitwę, zaczynającą się od słów „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej“, w której zwraca się do Boga z prośbą: „rękę karz, nie ślepy miecz“. Bo też lud był tylko ślepym mieczem w cudzym ręku. Austriakom nie powiodło się zaś rzucić na trwałe zarzewia złości pomiędzy polskie stany wiejskie, a ranę roku 1846 zablizniła następnie oświata.

Po pół roku takich misji poczęło szwankować zdrowie ks. Antoniewicza. Przełożeni wysłali go na wypoczynek w góry, do krainy Hucułów w Karpatach wschodnich. Trafiał na zły rok, bo był to rok głodu; kiedy przyjechał,

panowała już powszechna puchlizna głodowa. Gorliwy kapłan niósł pomoc i pociechy religijne na wszystkie strony. Listy jego stanowią poważne źródło do stanu tej krainy w owym czasie. Bardzo zaś znamiennym jest to, że ks. Antoniewicz lud huculski uważał za polski; pisuje wyraźnie o „naszym ludzie“, biada nad tym, że o polskich boleściach i cierpieniach nikt nie wspomina, „bo jakby to w porządku rzeczy było, że lud nasz musi cierpieć, bo to polski lud“! Wtedy nikt jeszcze nie uważał, żeby we wschodniej Galicji były dwa narody, a lud ruski uważano za część polskiego, mowę zaś ruską za narzecze języka polskiego. Jest zaś język ruski rzeczywiście do polskiego tak podobny, że każdy Polak rozumie go doskonale, nie potrzebując go się wcale uczyć. O ile chodzi o wzajemne rozumienie się, mowa ruska bliższą jest polskiego języka książkowego, niż narzecze zakopiańskie, a tym bardziej kaszubskie ¹⁾.

Zimą z r. 1847 na 1848 i wiosną 1848 przepędził z woli przełożonych we Lwowie, spędzając po kilka godzin dziennie w konfesjonale, katechizując dzieci, urządzając osobne nauki dla służby domowej i wygłaszając kazania. Jego sława kaznodziejska rosła coraz bardziej.

Tymczasem wybuchała z wiosną 1848 r. owa rewolucja europejska, którą nasi paryscy emisariusze oznaczyli o całe dwa lata wcześniej.

Nazwano to wydarzenie „wiosną ludów“. Po kilku tygodniach widocznym było, że sprawa polska narażona

¹⁾ Jak nikłą była w owym pokoleniu znajomość geografii i etnografii polskiej, znać z biografii ks. Antoniewicza, wydanej w Poznaniu w r. 1853. Biograf bierze pasmo czarnohorskie za Tatry. Pisze np., że ks. Antoniewicz „pobyt swój w Tatrach między biednymi Hucułami opisał w pięknych listach“, z których poznaje się „nasze wysokie Tatry“ itp.

jest na nowe rozczarowania. Nie tylko nie odniósł wówczas ruch konstytucyjny zwycięstwa, nie tylko po nader krótkim czasie wracały dawne rządy absolutne, ale pośród samych zwolenników ruchu konstytucyjnego nastąpił wszędzie rozłam w odniesieniu do sprawy polskiej. Konstytucjonaliści gotowi byli przyznać Polakom prawa powszechne obywatelskie, polityczne, ale bynajmniej nie prawa narodowe.

Przez kilka ledwie tygodni trwały polskie wykłady w uniwersytecie lwowskim, a w gimnazjach dopuszczono nauki języka polskiego tylko jako przedmiotu nadobowiązkowego. Ale najbardziej ludzono się tym razem w Wielkopolsce, tusząc, że rząd pruski skłoni się sam do ustępstw, a to ze względu na spodziewaną bliskość wojny z Rosją. Marzono o państwie polskim związanym z Niemcami unią personalną, a rząd udawał, że projekt ten w zasadzie przyjmuje. Zmiana dokonała się niebawem nagle. Wojsko pruskie rzuciło się na obóz polskiej organizacji wojskowej, dopuszczonej chwilowo przez rząd, a zaraz potem zaczęło się coraz sroższe prześladowanie polskośći w zaborze pruskim.

Austriacki rząd pozwolił z razu na „gwardię narodową“, a potem zarządził ciężkie bombardowanie Krakowa i Lwowa. „Wiosnę ludów“ powitał ks. Antoniewicz we Lwowie słynnym kazaniem, a równocześnie bawił w Krakowie największy ówczesny polski kaznodzieja, ks. Kajsiwicz; on nawet łudził się (przez krótki czas), że nastaną lepsze czasy.

„Wiosna ludów“ skrupiła się w Austrii na Jezuitach, Rząd zadekretował wygnanie ich z granic państwa austriackiego. Zamknięto im klasztory więc zakonnicy błąkali się, starając się być wszędzie pożytecznymi bliźnim i pracownikami ku chwale Bożej. Ks. Antoniewicz działał

nie tylko słowem, ale też piórem, pisując i wydając coraz więcej, a w tym liczne dziełka popularne. Musiał znów wypocząć. Pojechał do Graenfeberga w ziemi opawskiej, gdzie chłop tamtejszy, który nazywał się po czesku Prisznic, ale pisał się tylko po niemiecku Prischnitz, zaprowadził natryski zimną wodą, zwane od jego nazwiska prysznicami.

Ziemia opawska jest bowiem krainą czeską, chociaż zgermanizowaną. Narodowy król czeski, Jerzy Podiebradzki, wydzielił ją w XV w. z Moraw i nadał jako osobne księstwo synowi swemu Wiktorynowi. Potem sprzedawano Opawskie, zamieniano, nadawano nowym posiadaczom, aż zapomniano nawet, że to dawna część Moraw i rząd austriacki przydzielił księstwo opawskie do Śląska austriackiego. W rzeczywistości kraina ta nigdy nic wspólnego ze Śląskiem nie miała. Wyjaśnienie to potrzebne tu dlatego, bo ks. Antoniewicz przebywał następnie istotnie na Śląsku; więc żeby nie sądzono, że w r. 1849 był już na Śląsku po raz pierwszy. Nie, bynajmniej nie na Śląsku.

Objężdżał potem rozmaite powiaty zaboru austriackiego, pomagając proboszczom pięknymi misjami, gdy wtem w r. 1850 nadzwyczajny, a nader bolesny wypadek sprowadził go do Krakowa.

Jeszcze raz miał rząd austriacki popробować puścić polskość „z dymem pożarów”. W r. 1850 wykonano zamach na miasto Kraków, żeby zniszczyć skarbnicę pamiątek narodowych, biblioteki, zbiory naukowe i... świątynie. Cały tydzień gaszono na próżno, bo „niewiadomi” podpalacze zaczęli wciąż na nowo swoją czynność i to zawsze w kilku różnych stronach miasta naraz. Przez 30 lat trzeba było potem naprawiać, co w jednym tygodniu zniszczyła zbrodnicza ręka rządowa.

Ks. Antoniewicz miał zamiłowanie do spraw trudnych,

a że miał przy tym od Boga dar, żeby ukajać serca najciężej strapione, więc uproszono go do znękanego miasta. Zjawił się pośród ruin historycznych krakowskich ulic, gmachów i świątyń. Najbardziej przemówił do serc i umysłów najślawniejszym swym kazaniem, jakie wygłosił stojąc na ruinach kościoła dominikańskiego ¹⁾. „Jak anioł Boży, podnosił na duchu, pocieszał smutnych, wzywał do pokuty i jedną z Bogiem“, jak zawsze to czynił, ale tym razem budził też wiarę w Opatrzność Bożą, otuchę w lepszą przyszłość Polski.

Kazanie to bardzo się nie podobało rządowi austriackiemu i ostrzeżono Jezuitów w ogóle, żeby przestali zajmować się wędrownym kaznodziejstwem. Kilkunastu udało się wtedy na Górny Śląsk, korzystając z tego, że w pruskim królestwie zakon ich zakazany nie był. Odprawiali misje po niemiecku i po polsku. Lud śląski od niepamiętnych czasów usłyszał po raz pierwszy z ambony dobrą czystą polszczyznę, bo nawet polscy tamtejsi księża języka książkowego nie znali i wygłaszali kazania po „ślązacku“. Lud był zachwycony, a niejeden z tamtejszych księży postanowił wówczas nauczyć się polszczyzny gramatycznej. Toteż misje górnośląskie z r. 1851 dostarczyły niewątpliwie bodźca do świadomego odrodzenia narodowego na Górnym Śląsku. Przedtem rzadko kto tam wiedział, że poza Śląskiem istnieje wielki naród polski, którego oni są rodakami. A religijną wartość tych prac śląskich określił misjonarz w jednym ze swych listów jako „misje te

¹⁾ Wyraz „ruiny“ w tym ustępie należy brać dosłownie. Sam jeszcze pamiętam dokładnie ruiny tego kościoła Dominikanów, sąsiedniego mniej dotkniętego Franciszkanów i sterczące ruiny pałacu biskupiego (naprzeciwko) jeszcze poza rok 1870. Odnawianie (ze składek) musiało postępować bardzo powoli w kraju niezmiernie zubożałym.

były jednym tryumfalnym pochodem wiary wśród polskiego ludu“.

Ks. Antoniewicz zapuścił się w swych podróżach misyjnych dalej. Zostawiwszy na Śląsku dziesięciu misjonarzy, sam z pięciu towarzyszami ruszył w lipcu 1852 roku do Wielkopolski. Niestety, trafił na straszną klęskę: cholere. Nie umiano wówczas leczyć tej azjatyckiej zarazy; kto na nią zapadł, potrzebował od razu księdza, ale to natychmiast, a lekarz ciała był niemal obojętny. Ludzie padali jak muchy. Nie zraziło to polskich Jezuitów. Jeździli i odprawiali misje, jakby nic; tyle tylko, że mieli o jedno zajęcie więcej: nawiedzać chorych.

Ziemiaństwo wielkopolskie gościło misjonarzy jak najchętniej, robiło im wszelkie ułatwienia, nie szczędząc oznak przyjaźni i szacunku. Dziękowali potem za to gorąco, a między innymi te słowa: „lecz właściwie nie w naszym, ale w imieniu Boga i ludu polskiego Wam dziękuję“. Misje były potrzebne bardzo a bardzo. Raz po nabożeństwie różańcowym w Poznaniu, smutkiem wielkim przejęty, wyznał, że nie miał nawet wyobrażenia o tym zaniedbaniu moralnym, jakie znajdował. Ale z wyniku misji tak był potem zadowolony, iż wyraził się o tym w te słowa:

„Kto Was tak widział pod krzyżem stojących, ten nie może zwątpić o przyszłości narodu. Jest jeszcze w nas siła, bo jest i pokora. Jest na czym budować, bo jest kamień węgielny wiary. Jest nadzieja, bo jest miłość. Stara Polska jeszcze żyje“!

Największe nasilenie cholery natrafił w mieście Kościanie i okolicy. Donosił stamtąd we wrześniu 1852: „Wczoraj 13 pogrzebów, dziś już ośmiu umarło do południa... Dziś od pierwszej w nocy do siódmej rano 17 chorych odwiedziłem... po 10 do 12 pogrzebów na dzień“. A wniosek z tego dla polskich misjonarzy zawarty w tych sło-

wach: „Nie opuścim ludu naszego, póki albo Bóg cholerę, albo nas przez nią nie weźmie“.

Skołatany na ciele, a pełen smutku na duszy, potrzebowałby tym razem dłuższego wypoczynku. Nie wyobrażał go sobie jednak inaczej, jak w jakim jezuickim klasztorze. Listy jego przepełnione są wyrazami tęsknoty za „dzwonkiem i kratą“. Ale w całej Polsce nie było naticzas ani jednego klasztoru jezuickiego. W Rosji i Austrii zakon w ogóle był zniesiony, a pod zaborem pruskim nie miał zakon klasztoru polskiego. Wtem nowina! arcybiskup gnieźnieńsko-poznański oddaje Jezuitom do dyspozycji mury starego opuszczonego klasztoru w Obrze, obiecując dopomóc do odnowienia go. Z początkiem listopada 1852 mieli się rozproszeni Jezuici zjechać w Obrze. Tymczasem zrobił jeszcze ks. Antoniewicz wycieczkę do Staniątek pod Krakowem, gdzie miał krewną w zakonie.

Jechał przez Kraków, ale krótko tylko się zatrzymał. O tym postoju pisał ze Staniątek dn. 25 października 1852 r. „Tak wezbrało serce, że ledwie nie pęknie, nie wiem od czego. Ten urok, jaki ma dla mnie Kraków, nie zmniejszył się, a gdym wracał z kolei po tych ulicach, gdzie mi każdy kamień znajomy, drogi, to mi ta przeszłość padła na serce, na myśl, na duszę. A Kraków pocziwy nie zapomniał o mnie, i przyjął mnie z taką wdzięcznością, jakby mi był coś winien, i z taką miłością, jakbym tego był wart. Niech mu to Bóg nagrodzi“. Widać z tego, że Krakowianie pamiętali dobrze kazanie, wygłoszone przed dwoma laty na ruinach kościoła Dominikanów.

W drodze powrotnej ze Staniątek miał się zatrzymać w Krakowie dłużej. Nie podobało się to władzom austriackim. „Poszedłem po kartę pobytu do policji, ale mi kazano, ażebym nazajutrz wyjechał pod groźbą, że żandar-mami wprowadzą“. Musiał więc wyjeżdżać. A w jednym

z następnych listów pisał: „Cieszę się na wszystkie krzyżyki, które mię nie miną, bo ja zawsze gdzieś z krzyżem się spotkam“ i dodaje: „wypędzenie z Krakowa, był to krzyżyk większego kalibru“.

Na dobitkę dowiedział się, że w Obrze także cholera; mimo to, pospiesza tam, jak może. Pierwszy nocleg wypadł mu w Mysłowicach, a drugi w Piekarach. Było to w ostatnich dniach października 1852 roku.

„W krótkiej co do czasu, ale długiej co do bolesnych doświadczeń pielgrzymce życia“, miał jednak pewien dzień miły; radosny i podniosły „ustęp z pielgrzymki życia“, mianowicie „dzień w Piekarach“, który opisał w broszurce osobno wydanej. Są to Piekary śląskie, te same, gdzie przed cudownym obrazem Najśw. Maryi Panny zanosił modły Sobieski w drodze na wyprawę wiedeńską, a potem August II Sas robił katolickie wyznanie wiary w drodze po koronę polską. Jechał ks. Antoniewicz koleją żelazną z Raciborza do Piekar. Opisuje wrażenia tego ruchu, „kiedy oko nie może chwycić migających się przedmiotów“, bo to wówczas niepowszednia była jeszcze rzecz, jazda koleją! Był tam wówczas proboszczem ks. Ficek, który rozszerzył świątynię i wspaniale ją przebudował, a był kapłanem wzorowym i z głębokim wykształceniem, dla którego ks. Antoniewicz ma same słowa zachwytu. „Spędziłem dzień jeden w Piekarach, dzień tak błogi, jakich mało w życiu naliczyć można, dzień swobodny, szczęśliwy, bez boleści, bez żadnej w wspomnieniu goryczy“. W całej atoli tej broszurce, na 24 stronach druku, nie ma ani słówka o polszczyźnie. Autor nawet nie zdaje sobie sprawy, jak daleko Śląsk sięga, że znajduje się tu na ziemi polskiej. Wszystko zgermanizowane, nawet nazwisko ks. Ficka pisane jest pisownią niemiecką „Fietzek“. A jednak wiemy, że tam pod popiołem niemczyzny żarzył się wciąż duch polski i w końcu okazał się silniejszy od germanizac

Święto WW. Świętych i Zaduszki spędził we Wrocławiu, nazajutrz pędził do Obrzy, gdzie stanął późnym wieczorem 4 listopada 1852 r. Po czteroletniej rozsypce, po długiej bezdomności, nareszcie będą tu u siebie. On, wyznaczony na przełożonego, zabiera się od razu do urzędzenia porządków klasztornych. Cieszy się, że cholera wygasa: „Tu cholera jeszcze się okazuje, ale mało gdzie“.

Tak pisał w sobotę 6 listopada. Nazajutrz w niedzielę miał kazanie, a w nocy z niedzieli na poniedziałek zachorował na cholere, nadto na tyfus, a wreszcie przyszedł paraliż płuc. Skoro tylko zaległ łożo, przewidywał, że już nie wstanie. Choroba i tak przeciągała się, gdyż trwała cały tydzień. Odszedł do chwały wiekuiestej w niedzielę 14 listopada 1852 r. Tak tedy „został dom Obrzy przy samym urodzeniu się sierotą“. Pochowany w podziemiach kościoła w Obrze.

Ani wątpić, że sprawa jego beatyfikacji będzie podjętą i że będzie podniesiony na ołtarzel A będzie to święty polityczny, patron zgody narodowej. Któż, jeśli nie on?

Nie sam ks. Antoniewicz zajmował się podniesieniem ludu. Nie było tak źle, iżby miał być jedynym, ale stał się najwybitniejszym. Na misjach czynnych było kapłanów kilkunastu, bo dzielili się na grupy w rozmaitych stronach działające. A duchowieństwo parafialne przyczyniało się również z całych sił do zbożnej pracy. Było też więcej takich wypadków, jak w Rożnowie, że lud miejscowy stanął po stronie dworu. Opisując te wydarzenia ustawiliśmy w środku postać ks. Antoniewicza dlatego, ponieważ posiadał opinię świętości i bez wątpienia nadejdzie dzień, w którym będzie liturgicznie zaliczony do „świętych w dziejach Polski“.

Żył zaś na Podhalu kapłan, jakby brat ks. Antoniewicza, także wielki misjonarz ludu, również w opinii świę-

tości żyjący: ks. Wojciech Błaszyński, nazwany misjonarzem Podhala, Spisza i Orawy. Nie jeździł na misje. Można by powiedzieć, że misje same do niego przyjeżdżały, bo jego wieś parafialna bywała przepelniona przybyszami, którzy z daleka przybywali, żeby go słyszeć, i żeby się u niego wypowiadać, a na spowiedź trzeba było nieraz czekać tydzień cały z powodu natłoku penitentów. Nie zakonnikiem był, lecz proboszczem wiejskim. Zachodziła zaś jedna jeszcze różnica: podczas gdy ks. Antoniewicz był słabego zdrowia i dożył ledwie 45 lat, ten proboszcz góralski cieszył się żelaznym zdrowiem, a nie mając koło siebie żadnych wygód, doczekał się lat 66, wśród pracy również żelaznej, bez wypoczynku.

Ks. Wojciech Błaszyński urodził się w r. 1806 w góralskiej chacie w Chochołowie pod Tatrami. Do 14 roku życia tyle umiał, ile się nauczył w miejscowej szkółce. Podrastając, uczuwał coraz silniejszy pęd do nauki i puścił się w świat, szukać lepszego losu i sposobu do kształcenia się. Przeszedł na węgierską stronę, na Spisz, gdzie słynęły szkoły pijarskie. Musiał atoli szukać także jakiegoś kęsa chleba, choćby suchego, lecz takiego, który by mu nie przeszkadzał do nauki. Szukając, a nie zawsze dobrze znajdując, posuwał się w swej wędrówce coraz dalej na południe do W. Warażdynu, znaczniejszego miasta w południowych Węgrzech. Tam skończył gimnazjum (wówczas sześćioletnie) i dwa lata tzw. kursów filozoficznych. Wtedy wrócił do Chochołowa, pokazać się matce; nie poznała go własna rodzicielka, że ten 23-letni „pan“, to jej syn rodzony! Myślał o medycynie, lecz po namyśle zdecydował się do stanu duchownego. Seminaryjne nauki odbył w Tarnowie i we Lwowie; wyświęcony w Tarnowie w r. 1835.

Został na początek wikarym w Makowie Podhalańskim. Zwracał uwagę pobożnością i umartwianiem się; na-

byty tam surowy tryb życia pozostał mu już na całe życie. Nie był atoli bynajmniej ponurym; owszem, zazwyczaj bywał w dobrym humorze. Okazał się znakomitym kaznodzieją, a przy tym umiał przemawiać do ludu. Sam będąc synem ludu góralskiego, „ludu duszę znał na wskroś, lud kochał, do ludu przemawiał jego językiem; dlatego wkrótce stał się jego ulubieńcem, niemal bożyszczem“. Nauczał nie tylko z ambony; chodził między ludzi w pola i na pastwiska, i wdawał się w pogadanki, które zamieniały się w prawdziwe nauki. Chorych odwiedzał, nie czekając, aż trzeba będzie Ostatniego Pomazania! Z chorymi odbywał pogadanki katechizmowe. Znał każdą chatę i wszystkich jej mieszkańców, od dziecka do starej babci. On pierwszy wpadł na pomysł, dziś już rozpowszechniony: wykształcił sobie katechistów i katechistki, których rozsyłał po rozległej wielce parafii. Już w Makowie schodziły się tłumy z okolicy na jego kazania, a także do spowiedzi generalnej, co on także dopiero wprowadził tam w zwyczaj.

Po dwóch latach w Makowie, był następnie przez 7 lat wikarym w Sidzinie i tam też został potem proboszczem w r. 1844. Przebył w tej wsi lat 29, a zrobił z niej ośrodek religijny Podhala. Na samym początku wypadło mu odezwać się do Sidzinian w te słowa: „Niech Bóg zmiłuje się nad wami i da wam poznać, jak w oplakanyim stanie jesteście. Ja oddaję Bogu i wam siły i zdrowie moje, pragnąc was wyrwać z szatańskiej niewoli“. Praca była tu jeszcze cięższa, niż w Makowie, lecz proboszcz nie żałował siebie swoim parafianom. Rozszerzał coraz bardziej zakres swych prac. Założył szkołę, żeby zerwać nareszcie z ciemnotą ludu; zakłada bractwa i stowarzyszenia pobożne, a najwięcej opiekuje się bractwem trzeźwości. Szkoła i trzeźwość zaprowadzą też lud do lepszego stanu.

Zważmy, że w dwa lata po otrzymaniu probostwa

nastał rok 1846; ku północy rzeź pośród ludu „dólskiego“, ale górale nie biorą w tym udziału, a w Sidzinie jakby wieczny odpust i misja nie ustająca. Nie podobało się to urzędowi austriackim, z tych samych powodów, dla których zniechęcili owego proboszcza w Rożnowie. A więc ciągle dokuczliwość, podejrzenia, szpiegostwa policyjne, i złośliwe formalności biurokracji. Bardzo się urzędnikom nie podobały misje przeciw pijaństwu, bo nie podobały się Żydom. Zdarzyło się raz w Lipnicy na Orawie, że Żydzi starali się przekupić tamtejszego proboszcza, żeby tylko nie sprowadzał ks. Błaszyńskiego z kazaniem. Stał się postrachem karczmarzy.

Nie miał chwili wytchnienia, a pracy przybywało, bo tłumy ludu ciągnęły do Sidziny nie tylko z Podhala i dalej ze Spisza i Orawy, i jeszcze z dalsza ze Słowaczyny, ale nawet z północy od Powiśla lud dolin przybywał. Pozostawano w Sidzinie nieraz po kilka tygodni, żeby korzystać z katechizacji. Trzeba było coraz bardziej kształcić sobie katechistów i katechistki. Założył dla nich osobne stowarzyszenie. Rzecz to była nowa, nie wypraktykowana jeszcze, więc zdarzały się czasem niemiłe a niepotrzebne niespodzianki. Najmniejsze uchybienie (zwłaszcza kobiet) zganił niechętni na proboszcza. Iluż było takich, którzy by chcieli pozbyć go się na zawsze! Wydarzały się więc obelgi, napaści, oszczerstwa nie cofające się przed niczym; były nawet skargi, że on lud „buntuje“. Szły skargi do „cyrkułu“ (tj. urzędu obwodowego), do Wadowic, do Nowego Sącza, Tarnowa i do wyższych instancji w Krakowie i we Lwowie. Komisarze odczuwali strach przed spowiedziami generalnymi, gdyż nie wiedzieli zgoła, co to jest. Ustawiano mu w drzwiach kościoła żandarmerów z bagnetami, a czasem wychodzących z kościoła aresztowali i „szupasowali“. Ale nic nie pomogło. Do Si-

dziny garnęły się dalej rzesze całe. Władze dawały zgorzienie ludowi, on zaś pozostał zawsze jednakim i robił ciągle swoje; nie tylko coraz więcej, ale też coraz lepiej w miarę, jak nabierał doświadczenia. Jest to postać niezwykła, przerastająca całe współczesne pokolenie, a świętobliwość, i nadzwyczajna żarliwość czynią z niego prawdziwie apostoła. Działając zupełnie innymi metodami, jak ks. Antoniewicz, robił zupełnie to samo i do tego samego zmierzał celu. Osoba jego, to prawdziwe „światło“ w dziejach Kościoła polskiego. Im więcej mija czasu, tym lepiej go zrozumiemy i coraz większą otaczać będziemy czią.

Zmarł w r. 1866, nie z choroby, będąc zupełnie zdrów, ale od przygody. Spadła na niego belka przy budowie kościoła, jaki wznosił w rodzinnej swej wsi, w Chochołowie. Pochowany w tymże kościele, otaczany jest przez lud czią religijną. Lud góralski nawiedza pobożnie jego grób i śpiewa o nim pieśni, nawet godzinki i litanie ku jego czi.

Patrzą obydwaj — a tak różni od siebie — apostołowie ludu wiejskiego z wysokiego nieba na dzisiejszą Polskę niepodległą... Czy nie uczciłoby się ich najlepiej, gdyby starać się o beatyfikację obydwóch równocześnie?

30. OKOŁO WOJNY KRYMSKIEJ.

Po bolesnym doświadczeniu z Austrią w r. 1846 pojawiły się pomysły polityczne, czy nie lepiej byłoby wyzyskać Rosję przeciw zaborcom niemieckim, bo może lepiej, żeby Rosja zabrała całą Polskę? bo gdyby się udało z trzech zaborów zrobić jeden, łatwiej potem z jednego się zrzucić i niepodległość odzyskać. Jeszcze tego samego roku 1846 wydał margrabia Aleksander Wielopolski po francusku broszurę, jako „List szlachcica polskiego do księcia Metternicha o rzezi galicyjskiej“. Broszura ta narobiła hałasu w całej Europie.

Właśnie uszczuplano w Prusiech dalej prawa narodu polskiego, chociaż powstanie roku 1831 nie obejmowało pruskiego zaboru. Zaraz po upadku tego powstania usunięto dotychczasowego namiestnika, którym był Polak, ks. Antoni Radziwiłł, a naczelnym prezesem „księstwa poznańskiego“ został osławiony Flotwell, twórca hakatyizmu i niemieckiego osadnictwa w Wielkopolsce. W r. 1833 wyznaczono milion talarów na zakupywanie ziemi polskiej, którą parcelowano wyłącznie między Niemców. Tak zaś trudno było o polskie zebranie publiczne, iż trzeba było założyć w Poznaniu „towarzystwo zabaw“, które pod pozorem zabawy urządzało zebrania ludzi wpływowych i chcą-

cych być pożytecznymi. Od r. 1833 ujmuje się stale coraz bardziej praw językowi polskiemu w szkole, sądzie i urzędzie, a w r. 1834 zabrano się do tępienia narzecza kaszubskiego. Potem nastąpiło prześladowanie takie, iż od roku 1851 do 1858 nie było w Wielkopolsce pisma polskiego prócz urzędowej „Gazety księstwa Poznańskiego“. Najgorsze było to, że skutkiem przewrotnej polityki ekonomicznej ziemia aż do r. 1860 przechodziła raptownie w ręce niemieckie.

Ale w ówczesnej Polsce szerzyło się już odrodzenie religijne, którego początki widzieliśmy na „wielkiej emigracji“. Do tej samej daty, do roku 1860 zawiązały się cztery nowe zakony żeńskie. Zaczął się ten ruch w Wielkopolsce od zakładania ochronek, poruczanych opiece Sióstr Służebniczek, które świadczą przy tym i dorosłym po wsiach wiele dobrego.

Założycielem ich był Edmund Bojanowski, ur. w roku 1814 w Grabonogu pod Gostyniem. W czwartym roku życia ocalony był cudownie od śmierci. Uczył się chętnie, lecz dla słabego zdrowia nie mógł nadążyć rygorowi szkolnemu i musiał poprzestawać na nauce prywatnej. Słuchał potem licznych wykładów w uniwersytecie wrocławskim. Wdzięcznie wspominał z tych czasów jednego z profesorów tamtejszych, Czecha imieniem Jan Purkynie. Był to słynny w całej Europie lekarz, którego prace naukowe z fizjologii i okulistyki stanowiły epokę. Ale Bojanowski nie medycyny u niego się uczył, Purkynie był wielkim przyjacielem sprawy polskiej; zbierał koło siebie studentów Polaków, medyków i niemedyków i napawał ich otuchą, że Polska zmartwychwstanie. Wierzył w odrodzenie własnego czeskiego narodu, którego jakby nie było od nieszczęsnej bitwy na Białej Górze w r. 1620. A przecież stan narodu polskiego nie był nigdy tak rozpaczliwy, jak czeskiego.

Różnił się jednak Bojanowski od czeskiego profesora w tym, że był gorliwym katolikiem. Nie mógł zostać kapłanem, gdyż dla wątłego zdrowia musiał wystąpić z seminarium duchownego w Gnieźnie. Osiadł więc wraz z bratem, gospodarując w Grabonogu. Tam zbliżył się do ludu podczas epidemii cholery w r. 1849, nawiedzając chorych, starając się być wszędzie pomocnym i z tego zetknięcia dworu z chatą wynikał ogromny żal nad dziatwą wiejską i stąd przepiękny i rozumny pomysł ochronek. Pierwszą otwarto w r. 1850, a pierwszą „służebniczką“ była Franciszka Przewoźna, chłopka z Porzecza w sąsiedztwie Grabonogu Bojanowskich. Do Galicji przeszczepił niebawem Służebniczki Jezuita ks. Baszyński, pomocnik Bojanowskiego niemal od samego początku. Tak dwa zabory, pruski i austriacki, dopomogły sobie w sprawie najważniejszej, w sprawie ludowej.

W stosunkach polsko-rosyjskich zdawało się wówczas zanosić na jakąś poprawę. Pofolgowano trochę więzionym kapłanom unickim, a Siemaszko nie doczekał się nominacji na członka „świętobliwego synodu“ prawosławnego. Sam mawiał, że w r. 1842 wygnano go z Petersburga, „jak psa“, a w r. 1847 musiał patrzeć bezsilnie, jak rząd carski zawarł konkordat ze Stolicą Apostolską. Ratowało to przynajmniej obrządek łaciński. Biskupi polscy zaczęli odbywać wizytacje swych diecezji, a po każdym takim objeździe arcybiskupowskim nowe życie wstępowało w ludność. Minęła obawa, żeby prawosławie mogło zarażać także „łacińskich“ Polaków. Papież poobsadzał w najbliższych latach wakujące stolice biskupie, aż wreszcie w r. 1851 mianowano metropolitę dla katolików obrządku łacińskiego w Mohilowie. Został nim zacny ks. Hołowiński. Uroczyście obchodzili katolicy, a więc ludność polska — dzień, kiedy delegat papieski nakładał paliusz na łacińskiego metro-

poliłę. Siemaszko wziął to za osobistą obrazę, boć on metropolitą jeszcze nie był! Zawakowała metropolia petersburska, ale on jej nie dostał. Biały „kłobuk metropolitalny” (nakrycie głowy) otrzymał od cara dopiero w r. 1852, ale tylko na nową okrojoną metropolię „litewską”. Co zaś było zadziwiające, że gubernatorzy nie traktowali odstępców od unii na równi z dawnym duchowieństwem prawosławnym; widocznie takie otrzymywali wskazówki z Petersburga.

Od r. 1850 ustało dokuczliwe włóczenie unickich męczenników po prawosławnych monasterach. Ks. Micewiczowi pozwolono zamieszkać w miasteczku Szumsku, na opiece bogobojnej żony marszałka powiatowego, pani Ludwiki Mężyńskiej. Należał tam do niego dozór nad budową nowo wznoszonego przez nią kościoła w Szumsku. Po zgonie swej opiekunki 1854 r., wypadło mu mieszkać „w nędznej chacinie, żyjąc tylko z Opatrzności Boskiej i łaski sąsiednich dobrodziejów”; ale przynajmniej go nie zaczepiano i nowych prześladowań nie przydawano. Ks. Andruszkiewiczowi pozwolono wracać do Polski, jakkolwiek pod warunkiem, że nie będzie spełniał obowiązków kapłańskich. Wybrał sobie klasztor Bernardynów w Zaslawiu, trawiąc długi żywot na modłach wśród zgnębienia. Podobnież ks. Sołtanowski, zwolniony w r. 1852 z monasteru schyzmatycznego, otrzymał przynajmniej wolność osobistą. Sprowadził się do Nieżyna (w połowie drogi między Kijowem a Kurskiem), gdzie żył długo w umartwieniach i zmartwieniach. Powiedziano o nim słusznie: „ozdoba Bazylińskiego zakonu; przykład jego będzie utwierdzać w obowiązkach dla Kościoła św”.

Kiedy nowy gubernator wileński, Nazimow, przysłany w r. 1854, rozpoczął jakby jakiś kurs pojednawczy, Sie-

maszko opracował zaraz memoriał do „najświętszego“ synodu, a gdy to pismo jego zostało zlekceważone, nie ustawał w dalszych zabiegach.

Dalekim był dwór carski od przyjaźni względem Polaków! ale chowali „pazury“, bo była wojna, w której Polacy mogli byli zaważyć na szali. Była to wojna o zwierzchnictwo na półwyspie bałkańskim, ale rozstrzygnęła się na brzegach półwyspu krymskiego i stąd zwana jest krymską. Anglia i Francja zawarły sojusze z Turcją i w marcu 1854 r. wypowiedziały Rosji wojnę, a widocznym było, że Włochy gotują się również przystąpić do tego sojuszu, Austria zaś sprzyja mu.

Wkrótce flota francusko-angielska zdobyła Bomarsund nad Bałtykiem, co Mickiewicz upamiętnił odą napisaną po łacinie. Druga flota płynęła na morze Czarne, a we wrześniu 1854 wylądowali na Krymie Turcy, Francuzi, Anglicy, nieco później jeszcze i Włosi.

Od początku tej wojny wylaniała się sprawa polska. Państwa zachodnie, a także Austria i Prusy, godziły się już, żeby ustanowić państwo polskie, gdy wtem nagła zmiana: Jeden z ministrów pruskich, Otto von Bismark (wówczas 38-letni) zdołał przekonać swego króla, że należy politykę pruską odwrócić, a mianowicie oprzeć się na Rosji, a kierować się przeciw Austrii i przeciw Francji. Zerwał król pruski układy o Polskę, gotów nawet stanąć przeciw Austrii po stronie cara Mikołaja. Niebawem wysłał też cesarz austriacki oświadczenie do Londynu i Paryża, że nie przystanie na odbudowanie Polski.

Część naszej emigracji wyczekiwała, że gdy po zdobyciu Krymu Francuzi i Turcy ruszą dalej na północ, że ogłosi się niepodległość Polski, gdy wojska wkroczą na Ukrainę. Zaczęto przygotowywać w Turcji oddziały nazywane „kozakami sułtańskimi“, co było fantazją patriotycz-

ną powieściopisarza Michała Czajkowskiego, pozbawioną jednak znaczenia militarnego. Niestety, sam Mickiewicz dał się porwać i przyjechał do Carogrodu pomagać Czajkowskiemu. Tam znalazł śmierć 28 listopada 1855 r.

Podczas tej wojny zmarł car Mikołaj I, a następca jego, Aleksander II (1855 — 1881) zawarł zaraz pokój, byle mu Krym zwrócić. I tak spełżyła na niczym nasze nadzieje.

Rząd rosyjski, obawiając się przez cały czas wojny krymskiej powstania polskiego, dbał o to, żeby chociaż nie dolewać oliwy do ognia. Nowy car ogłosił zaraz przy wstąpieniu na tron amnestię dla wszystkich zesłanych na Sybir powstańców i spiskowców. Faktycznie niewielkie miała rozmiary ta carska łaskawość, bo uczestników powstania 1831 r. przebywających na Syberii od przeszło dwudziestu lat, mogło już być tylko niewielu! Mieli czas wymrzeć na wygnaniu! Ale byli tam młodzi, skazani za rozmaite polityczne polskie „przestępstwa“ w ciągu tych lat dwudziestu, a dla tych amnestia była oczywiście dobroczynną. Powrócić do kraju, do swoich, na wolność! Któż by się nie rozradował!

A jednak znalazł się taki, który nie chciał. Mamy tu do zapisania bezprzykładne wprost zaparcie się siebie, jedno z największych, jakie zna historia w ogóle. Dumni być możemy a raczej powinniśmy, że na torach odrodzonego naszego życia religijnego w drugiej połowie XIX w. spotykamy takiego bohatera, jak świątobliwy Marianin Krzysztof Szwermicki. Znamy go już ze wzmianki w rozdziale 27, wiemy, że on był jakby drugim obok Jańskiego, chorążym ruchu katolickiego u nas; lecz raczej wypada pierwszym go nazwać, bo podniósł ten sztandar wcześniej od Jańskiego, Kajsiewicza, Semeneńki. Nie w Paryżu ani w Rzymie wypadło mu żyć i działać, lecz na Syberii smutnej, pustej, w niczym nie pobłogosławionej i niczym ducha

nie pobudzającej. Ks. Szwermicki przejęty był pragnieniem gorącym, by ofiarować siebie całego, oddać wszystko z siebie Kościołowi, Ojczyźnie, bliźnim. W nim łączyły się wielki umysł z wielkim sercem. Osobowość jego, to jeden z najsilniejszych i najwznioślejszych duchów Polski porobiorowej.

Takim zastała go na Syberii wojna krymska, gdy wtem w r. 1855 Aleksander II ogłasza amnestię. On wtenczas wybiera Syberię. Zimy niesłychanie długie i ostre, brak jakichkolwiek wygod, tryb życia wiecznie ponury, dalekie jazdy na wichrach najmroźniejszych, ażeby nawiedzać swych katechumenów pól dzikich, Buriatów, Jakutów, Tunguzów itp. Wszyscy zresztą rodacy skorzystali z amnestii i wracali do kraju, do swych łąk umajonych, do wygodnych domostw, pomiędzy ludzi ukochanych, do swoich, na Ojczyzny łono. On pozostaje, żeby przysparzać owieczek swojej irkuckiej parafii, największej, najrozleglejszej na całym świecie. Zważmyż, że powziął to postanowienie w czasach, kiedy na Syberii wygnańców polskich niemal nie było. Zrobił to zatem wyłącznie ze względów religijnych, z apostołskiej gorliwości. Robił ponad obowiązek, bo ani z religijnych względów nie miał obowiązku pozostać na Syberii. Pozostał, zdjęty świętym natchnieniem, dla pogan sybirskich, ale za kilka lat miała się parafia jego aż nazbyt zaludnić — Polakami, całymi tysiącami nowych zesłańców.

Z początkiem panowania Aleksandra II nikt nie byłby tego przypuszczał. W Rosji rozbrzmiewało hasło reform, w czym umieszczano także rewizję stosunków polsko-rosyjskich. Aż do r. 1863 zmagaly się z sobą w Rosji dwa prądy, przyjazny i nieprzyjazny Polakom, a zyskiwał z każdym rokiem na sile ruch do pojednania się z Polską. Zaczęło się od tego, że osoby na najwyższych stanowiskach po-

czynały mieć wątpliwości, czy korzystną dla Rosji i trafną była polityka Mikołaja I. względem unii. Kiedy Siemaszko stawiał się na koronację Aleksandra II, a ponieważ osobście nie był znany władynom prawosławnym, więc dopytywano się u metropolity moskiewskiego, kto to taki; zapytany zaś odparł, wyjaśniając: „to jest Józef, ale nie taki, którego bracia sprzedali, lecz on sam sprzedający swych braci w niewolę“. Słowa te mogą być zupełnie prawdziwe, ale gdyby nawet były anegdota, jakżeż znamiennym byłby fakt, że tego rodzaju złośliwy (a trafny) dowcip mógł powstać pomiędzy najwyższą hierarchią prawosławną! Patrzano aż do r. 1863 przez palce, gdy „nawróceni“ podstępem Siemaszki i pałkami policji dawni unicy, przyjmowali obrządek łaciński. Tak np. w miasteczku wołkowyskiego powiatu, w Porozowie, przeszła na „łaciństwo“ cała setka w r. 1858, a potem w r. 1860 trzy setki w parafii kleszczeńskiej. Siemaszko podnosił gwałt, lecz przez dłuższy czas na próżno. A gdy potem stosunki pogorszyły się, zapisywał w swych pamiętnikach, że „trzeba było wiele trudu, aby ich na dobrą drogę nawrócić“ (a wiemy, jakimi drogami dokonywało się takich nawracań). Ale jeszcze w r. 1860 uważał Siemaszko za potrzebne zasyłać prośbę do cara, żeby nie był łagodny dla Polaków.

Równocześnie rozkwitał w tych latach dalej duch zakonny w Polsce; społeczeństwo wydawało z siebie wciąż nowe siły, mające wynagrodzić straty poniesione przez zamknięcie tylu klasztorów za rządów Mikołaja I. Ani też Aleksander II nie zmieniał w tej dziedzinie kierunku swego poprzednika. Zobaczymy, jak w najbliższych latach rząd carski wyrzekał się wielu swych nieprawości w postępowaniu z Polakami, lecz nigdy nie zmieniała się w Petersburgu niechęć względem katolickich zakonów.

Na czele polskiego ruchu religijnego stał ks. Kajsie-

wicz, od r. 1850 przebywający stale w Rzymie, a wkrótce od r. 1855 przełożony Zmartwychwstańców. Do ich nowicjatu zaczynają wstępować cudzoziemcy, co wzbudzało nadzieję, że zakon stanie się powszechnym; rokował pod tym względem dobrze fakt, że w r. 1855 Stolica Apostolska powierzyła mu misje w Kanadzie.

W Rzymie zgłosiła się do ks. Kajsiewicza w r. 1850 Józefa Karska, młoda, 26-letnia, obdarzona urodą i majątkiem. Urodzona 1824 r. w Olchowcu w Lubelskiem, wychowana w Sandomierskiem w Jakubowicach, wykształcona wysoko ponad ówczesną przeciętność, odznaczała się wielką żywością umysłu i pierwszorzędnymi przymiotami towarzyskimi. Bawiła się doskonale w Warszawie, będąc tam „duszą salonów i zebrań towarzyskich“. Kiedy liczyła 23 lata wieku swego, w r. 1847 poczuła jednak w sobie chorobę piersiową. Nie wystąpiła choroba w formie ostrej, nie stanowiła bezpośredniego niebezpieczeństwa dla życia, lecz w formie przewlekłej, chronicznej. W każdym razie trzeba było przerwać życie światowe, bo lada zabawa mogła ją narazić, że choroba przewlekła zamieni się na ostrą. Kazano jej zamieszkać w klimacie ciepłym, przeniosła się więc za granicę, w r. 1849 zajechała do Włoch, a lecząc się ciągle, ciągnęła coraz dalej na południe, aż jesienią r. 1850 przybyła do Rzymu i trafiła tam na ks. Kajsiewicza. Łaska Boża obdarzyła Karską najrzadszym z wielkich Bożych darów, darem głębokiej kontemplacji i mistycznych uniesień. Jest to dla duszy droga wysoka, najwyższa, ale też wzniesiona nad przepaściami. To się naśladować nie da, bo naśladownictwo wiodłoby przez zarozumiałość do przepaści, i zrobiłby się z tego przykry i gorszący falsyfikat. To jest Boży dar i żadnych innych wyjaśnień dodać nie zdołamy! Karska „oświecona światłem wyższym, rozpalona miłością w kontemplacji“, posiadała

wyższe stopnie „mistycznej modlitwy“. Posłuchajmy (dla przykładu) kilku jej własnych słów:

„Nie, tego nikt nie może pochwycić... co dusza doświadcza w tym najszcześniejszym zapomnieniu, z którego wychodzi nakarmiona, upojona, rzeźwa i tęskna, a sprawy jednak niezdolna zdać z tego, co ją uszczęśliwiło, bo w tym błogim zapomnieniu wszystko dla duszy samej najtajemniejszą tajemnicą Bożą“.

W r. 1854 postanowiła założyć własne zgromadzenie zakonne. Warto przytoczyć powody i cele, jakimi się kierowała i — doprawdy warto zastanawiać się nad nimi dziś i zawsze.

Przede wszystkim zakon nowy będzie się starał o jak najwyższe uświęcenie dusz zakonnice; to prosta rzecz, jasna i oczywista. Ale obok tego (przytoczmy znów jej własne słowa):

„Mam nadzieję w miłosierdziu Jezusowym, iż pozwoli ograniczyć się na ogarnięciu dwóch ważnych bardzo potrzeb społeczeństwa naszego; ułatwianie i pomaganie kapłanom, dającym rekolekcje dla osób pragnących pokrzepienia i odnowienia duchowego; wychowanie najstarsze dziewcząt wyższej klasy, którą to klasę chętnie bym najbiedniejszą nazwała, najbardziej potrzebującą szybkiego a gruntownego ratunku... W żadnym kraju w dziele przeobrażenia całego społeczeństwa nie można by, pomijając kobiety, dopiąć zamierzonego celu. Ale w Polsce nie tylko pomijać ich nie należy, ale od nich głównie zacząć potrzeba, by gruntownie rzecz przeprowadzić. W żadnym kraju kobiety, samą już siłą rzeczy i wrodzonych zdolności tyle wpływu, co u nas, nie mają; nigdzie ich też nie wychowują, jak u nas winny być wychowane. Tyle wyższości mieć powinny, żeby powszechnemu powołaniu córki Kościoła, obywatelki, żony, matki, opiekunki wło-

ścian i sierót, szkólek i ochron, wreszcie leczeniu chorych, godnie i sumiennie odpowiedzieć mogły, a bez gruntownych cnót i bojaźni Bożej, żadna wyższość umysłowa, ani też zapędy serca nie byłyby wystarczające, aby je wytrwale utrzymać na ciernistej najczęściej drodze obowiązku“...

Miała już wtedy na myśli zakon, który nazwała Zgromadzeniem Panien Niepokalanej Dziewicy Maryi (w skróceniu Niepokalanki).

Pomocnicą była jej przy tym Marcelina Darowska, która też miała zostać następnie duchowną jej spadkobierczynią, a jaśniała nie mniej świętobliwością.

Zamiary swe skuteczniły niebawem; zanim to atoli nastąpiło, powstał przedtem jeszcze inny zakon — doprawdy jakby na wyścigi.

Cała Polska miała przejąć się sprawą opuszczonej dziatwy. Ażeby rozwiązać po Bożemu to twarde zagadnienie społeczne, próbowano rozmaitych sposobów, różnych metod. Od ochronek zaczęły też Felicjanki, założone w r. 1855 przez świętobliwą M. Truszkowską z dwiema towarzyszkami, a pod kierownictwem ks. Beniamina Szymańskiego, kapucyna, który został później biskupem podlaskim. Te zakonnice specjalizowały się do sierót, zajmując się całkowitym ich wychowaniem, a nadto przyjęły do swej reguły opiekę starców. Zakon ten stał się najpopularniejszym w Polsce, ulubionym niejako polskim zakonem niewieścim i rozszerzył się żywiołowo, jakkolwiek ma regułę nader surową; toteż przyjmuje nowicjuszki tylko z doskonałym stanem zdrowia.

Wielki swój rozwój zawdzięcza w znacznej mierze Maryi Magdalenie Borowskiej. Była to córka rotmistrza ułanów z powstania 1831 r., urodzona w rok po powstaniu w Warszawie. Nauczycielką będąc, nauczała chętnie darmo dzieci opuszczone, które wylawiała formalnie po

zaukach, a które trzeba było nakarmić i odziać w pierw, niżby się je zaczęło nauczać choćby fundamentów katechizmu. Do Felicjanek wstąpiła w r. 1858, licząc wtedy 26 lat i została przełożoną klasztoru w Ceranowie, a w cztery lata potem mistrzynią nowicjatu.

Równocześnie jechała do Francji, do wsławnego panowaniem Leszczyńskiego miasta Nancy, młodzianka 19-letnia Róża Białecka, córka ziemiańskiej rodziny z Jańszysz koło Podkamienia, w ówczesnej Galicji wschodniej, urodzona tam w r. 1838. Upodobała sobie zakon Dominikanek, który na ziemiach polskich już zaniknął i jeździła do Nancy, by tam samej welon przywdziać i potem powrócić i zakon ten w Polsce odnowić. Właściwie wytwarzała nową odrośl zakonu, polską z pewnymi ściśle polskimi odmianami, dlatego też zaliczyć ją należy pomiędzy twórców nowych polskich zgromadzeń zakonnych. Wstąpiła w Nancy do nowicjatu w r. 1858, w następnym roku złożyła śluby zakonne, zmieniając imię chrzestne Róży na zakonne Marii Kolumby. Powiódł jej się cel życia: Wróciła do Polski i założyła klasztor we Wielowsi nad Wisłą (w pobliżu Dzikowa).

Cel swemu Zgromadzeniu wytknęła taki: Siostry Dominikanki, prócz pracy nad osiągnięciem własnej świętobliwości, poświęcić się mają „wykształceniu ludu wiejskiego, najbardziej zaniedbanego pod względem religijnym i moralnym; będą go oświecać, w chorobie pielęgnować, ich dzieci uczyć, a sierotki chować, nauczać katechizmu i konających do szczęśliwej śmierci przysposabiać, zaś zmarłym ubogim do grobu asystować“.

A przez wszystkie te lata trudziły się świętobliwe Karska i Darowska staraniami i zachodami wszelkiego rodzaju, żeby obmyślony przez nie zakon mógł być swój rozpocząć na polskiej ziemi. Nie było to jednak dane wte-

dy ani Zmartwychwstańcom, ani Niepokalankom. Zeszedł na tych daremnych kłopotach r. 1856. Karska jeździła osobiście do Krakowa i do Warszawy, lecz ani rosyjskie ani austriackie władze pozwolenia nie udzieliły. Natenczas postanowiła założyć pierwszy klasztor w Rzymie i otworzyła tam w listopadzie 1857 r. mały klasztor. Pewna praktyka w nim dopomagała do lepszego obmyślenia reguły, do ciągłych poprawek i uzupełnień, aż wreszcie reguła ustaliła się ostatecznie w r. 1859.

Stan zdrowia matki Karskiej wyczerpywał się jednak przy tym tak dalece, iż było widocznym dla wszystkich, że to początek końca; jakoż pożegnała ten świat w Rzymie dnia 11 października 1860 r., pogrzebiona w podziemiach kościoła św. Klaudjusza. Nie doczekała przeniesienia Niepokalanek na ziemię polską.

Cztery zakony żeńskie powstawały jeden po drugim w ciągu siedmiu lat; od pierwszej ochronki Bojanowskiego w r. 1850 do otwarcia klasztoru Niepokalanek w Rzymie w r. 1857! Zagadką pozostaje, dlaczego nie przeszkadzano ani w pruskim ani w austriackim zaborze otwieraniu ochronek, czemu Felicjanki i Dominikanki mogły się osiedlać w austriackim zaborze, a nie wpuszczono Niepokalanek? Żadnego zaś z nowych zakonów nie dopuszczono w zaborze rosyjskim. Prąd życzliwy Polakom nie zdołał rozróżnić się i wzmocnić na tyle, żeby rząd schyzmatycki miał porzucić swoje uprzedzenia przeciwko katolicyzmowi.

Był zresztą (jak powiedziano wyżej) także prąd drugi, wciąż palący nienawiścią przeciw Polsce. Obydwa prądy ocierały się o osobę cara, ścierając się na dworze carskim, a car osobiście skłaniał się raczej do obozu wrogiego polszczyźnie. Gdy np. przybyła do niego deputacja z prośbą, ażeby pozwolił budować nowe kościoły kato-

lickie we wschodnich prowincjach dawnego państwa polskiego (w tzw. Krajach Zabrzanych, tj. na Litwie i Rusi), żeby w szkołach język polski był wykładanym i żeby założyć uniwersytet w Połocku (skoro nie wolno wznawiać wileńskiego), Aleksander II deputację tę zgromił, sierdząc się, że „w adresie przebija się niejako dążność do utrzymania mniemanej narodowości polskiej, bezzasadna i lekkomyślna“. Niebawem atoli ten sam car miał przyznać pełne prawa tej „mniemanej“ narodowości, przynajmniej na obszarze Kongresówki.

Stosunki pomiędzy Rosjanami a Polakami były jeszcze znośne i łatwo zamieniały się w stosunkach osobistych na przyjazne. Tak np. nie brakło w armii rosyjskiej oficerów Polaków. Jednego tu wymienić musimy, bo oto właśnie przygotowuje się jego proces beatyfikacyjny. Był to Józef Kalinowski, odznaczający się niepospolitymi zdolnościami. W 19 roku życia przyjęty był do wojskowej akademii inżynierskiej w Petersburgu i okazał się tam uczniem najzdolniejszym; na wojnie krymskiej ozdobiono go orderem. Potem ofiarowano mu najpierw w r. 1857 stanowisko profesora w owej akademii wojskowo-inżynierskiej, lecz on wolał zawód bardziej wolny. Przyjął w r. 1859 kierownictwo budowy kolei żelaznej z Odessy przez Kijów do Kurska. Pracował dzielnie, a modlił się gorąco i tym więcej, że w okolicy Kurska nie było nigdzie kościoła katolickiego. Żyjąc wśród Rosjan, nigdy nie uczestniczył w żadnym nabożeństwie prawosławnym, chociaż przełożeni wywierali nacisk, żeby się pokazał w cerkwi. W r. 1860 otrzymał stopień kapitana inżynierii. Zdawało się, że służba w armii rosyjskiej nie będzie Polaka narażać na żadne upokorzenia. Kapitan Kalinowski ani przeczuwał, jak mu się los za trzy lata odmieni..

Tymczasem nie dopuszczani do Polski Zmartwych-

wstańcy otrzymali drugą misję do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej; w r. 1863 otwarli swój dom w Chicago. Nadto zlecił im papież inną jeszcze misję, w Europie, na bałkańskim półwyspie, a misję posiadającą dla Polaków szczególne znaczenie.

Schyzma półwyspu bałkańskiego była rządzona przez Greków, bo tylko Grecy bywali patriarchami w Carogrodzie. Inne narody były na każdym kroku krzywdzone. Broniąc się przeciwko temu pod koniec 1860 r. zażądała znaczna część Bułgarów osobnego patriarchy, a gdy im tego odmówiono, postanowili zjednoczyć się z Kościołem rzymskim, zastrzegając sobie obrządek własny i własnego patriarchę pod zwierzchnictwem papieża. Zwrócili się z tym do szeregu wybitnych katolików w Konstantynopolu, między innymi także do Polaka, pułkownika Jordana, który był naczelnym agentem polskim w Turcji. Dwa tysiące Bułgarów podpisało prośbę do Ojca św. Piusa IX o unię. Poselstwo rosyjskie poruszało wszystkie środki i sposoby, żeby tej nowej unii zapobiec. Wmawiali we władze tureckie, że to będzie niebezpieczeństwo dla ich panowania; zdarzało się, że urzędy na prowincji odsyłały agentów unii w kajdanach do Carogrodu. A jednak pokonano wszystkie trudności i dnia 30 grudnia 1860 r. ogłoszono uroczyste akt unii. Pojechała do Watykanu delegacja, spośród której papież sam wyświęcił biskupa unickiego w osobie archimandryty (opata) klasztoru w Garbowie, rodowitego Bułgara Sokolskiego. Odprawił z nim razem Pius IX mszę św. w dwóch językach równocześnie, po łacinie i w języku staro-bułgarskim, po czym mianował go patriarchą unickich Bułgarów. Rząd turecki uznał tę nową godność i wracającego do Carogrodu ks. Sokolskiego przyjął z całym ceremoniałem.

Zdaniem ks. Kajsiewicza był to „dom na piasku zbu-

dowany", zwłaszcza, że Bułgarzy nigdy nie byli religijni. Umysłem bułgarskim brak było zawsze „podwalin nadprzyrodzonych“. Nie rozumieli, czym jest, i na czym polega religia, widzieli tylko same zewnętrzne objawy. Osoby, reprezentujące katolicyzm w Carogrodzie, świeckie i duchowne, a zwłaszcza duchowne, zawiniły tym, że nie wymagały od nowych unitów żadnego głębszego przygotowania do katolicyzmu. Surowo wyrażał się o tym nasz ks. Kajsiewicz: „nie pomyśleli, że trudno prowadzić dalej, co źle zaczęte, i że trudno nawracać kogoś, komu powiedziano, że przystając do unii nie ma nic do zmieniania o-krom uznania papieża rzymskiego“. Istną też kulą u nogi był brak oświaty u duchowieństwa bułgarskiego. Przewidywał ks. Kajsiewicz, że „unia z dawnymi popami nie zakwitnie, bo jeżeli ktoś rzadki, niezarażony świętokupstwem i chciwością, to zawsze nieuk“. Trzeba było seminarium i szkół, ażeby po kilkunastu dopiero latach dochować się należytych kandydatów do stanu duchownego. O poziomie tego stanu wówczas świadczy taki np. fakt, że popi dawali rządzić sobą świeckim dostojnikom bułgarskim, bo do tego od wieków nawykli; tym bardziej, że byli „grubi i przekupni“. A „duchowni kłócili się między sobą; każdy bowiem pop, tym bardziej archimandryta, chciał być biskupem, a wszyscy domagali się pieniędzy, tak iż Sokolski obok grubych wyrazów, brał się nieraz na nich do kija“.

Początki zdawały się być jednak pomyślnymi. Założona w Adrianopolu misja rozszerzała się szybko, a z okolic Saloniki 50 wsi prosiło o księży unickich bułgarskich, a nie greckich. Ale Grecy (popierani wpływami rosyjskimi) wszczęli gwałtowną walkę. „Grecy, jako bogatsi i silniejsi, nie tylko pozbawiali unitów bułgarskich kościoła i cmentarza, ale jeszcze chleba i wody. Po wsiach zamy-

kali przed nimi studnie wspólne, w kościele odmawiali chrzcielnicy, wypowiadali kapitały pożyczone, zrywali kontrakty, wypowiadali służbę, grozili zemstą Moskali, gdy rychło zbrojnie przyjdą, straszili obowiązkiem służenia wojskowo papieżowi"... Czy dziwić się, że lud nie wytrwał, a unia poczęła się cofać?

Pospieszyło na pomoc kilku kapłanów unickich Polaków. Najpierw ks. Laurysiewicz i Malczyński, następnie dawny kolega ich z seminarium chełmskiego, Mosiewicz i potem ks. Beregowicz, obwożony długo po więzieniach rosyjskich, a który niespodzianie przybył do Rzymu w roku 1862. Wtedy objeżdżał właśnie Bułgarię ks. Kajsiewicz, bo Zmartwychwstańcy postanowili utworzyć w swym zakonie gałąź obrządku bułgarskiego. Papież zgodził się na ten projekt, a ks. Laurysiewicza mianował misjonarzem apostolskim w Carogrodzie. Wtedy przeszło na obrządek bułgarski dwóch jeszcze Zmartwychwstańców: ks. Karol Kaczanowski, emigrant z r. 1831 i brat Marcin. Cerkiew bułgarsko-unicka liczyła atoli w r. 1862 zaledwie kilkanaście tysięcy dusz i tylko dziesięciu kapłanów Bułgarów, którzy pozostali wiernymi unii. Sprawa szła nader ciężko, bo naród bułgarski naprawdę stracił „zmysł nadprzyrodzony“ i pozostał właściwie areligijnym. Nasi zaś Zmartwychwstańcy zabrali się do szkolnictwa w Bułgarii.

Ks. Kajsiewicz opuścił Bułgarię pod koniec roku 1862, a w styczniu 1863 bawił z powrotem w Rzymie, gdy wtem nagle dużo rzeczy zmieniło się na polskim horyzoncie: z końcem stycznia 1863 r. wybuchło w Kongresówce powstanie...

31. POWSTANIE STYCZNIOWE.

Sprawy polskie miały się niebawem zamącić straszliwie. Ow Bismark, który podczas wojny krymskiej przeszkodził wznowieniu Polski, obmyślił sposób, żeby cały naród niemiecki pobudzić przeciw Polakom. Chciał chytrze intrygami wywołać powstanie polskie, które stłumić byłoby bardzo łatwo, a rząd pruski mógłby potem pławić się w tępieniu polskości. Dyrektor policji w Poznaniu, Baerensprung, drukował w pruskiej drukarni państwowej proklamacje, wzywające do rozruchów. Wykrył tę sprawkę poseł Niegolewski i odsłonił w sejmie niemieckim w Berlinie, ale Bismark nie dał za wygraną. Odtąd marzeniem jego było, żeby Polacy urządzili powstanie przeciw Rosji w porze niestosownej, gdy nie mogło być widoków powodzenia.

Pewien odłam emigracji spiskował zawsze. Minęły już czasy „Wielkiej Emigracji”. Nie było tam już ani jednego męża wybitnego. W polityce byli istnymi ślepcami. Ale spiski i tajne organizacje podobają się zazwyczaj młodzieży; toteż paryskiej „centralizacji” powiodło się pozakładać tajne organizacje, zmierzające do powstania. W r. 1860 zaczęły się w Warszawie tłumne demonstracje, aż wojsko zaczęło strzelać na ulicach.

Wtedy wystąpił margrabia Wielopolski, ten sam, który w r. 1846 ogłosił był słynny „list szlachcica polskiego do księcia Metternicha”. Liczył teraz lat 60, a dzięki swym osobistym stosunkom na carskim dworze, znalazł posłuch u cara i w marcu 1861 r. został mianowany ministrem oświaty na Kongresówkę. Założył uniwersytet polski i cały szereg szkół średnich. W następnym roku rozszerzono jego władzę na wszystkie urzędy. Spolszczył je więc wszystkie i mieliśmy w Kongresówce czysto polską administrację. Pod koniec roku 1862 oddano pod władzę Wielopolskiego nawet policję; cały więc rząd w Kongresówce był już polski. Z wyjątkiem wojska wszystko pozostawało w polskim ręku.

I wtedy właśnie wybuchło powstanie! Spiskowcy urządzili nawet zamach na życie Wielopolskiego. Tajny rząd postanowił urządzić powstanie bezwarunkowo; wszystko jedno, czy potrzebne, czy nie potrzebne, czy korzystne czy szkodliwe. Nikt nie wiedział, kto zasiada w tajnym „rządzie narodowym”; zbyt późno wykryło się, że były to same młokosy!

A nie było do tego powstania, które wybuchło ostatecznie w styczniu 1863 r., żadnych wojennych przygotowań, ani oficerów, ani pieniędzy, ani nawet żadnej wyższej komendy wojskowej. Zrobiła się ruchawka partyzancka bez ładu ni składu. Łudzono się na próżno, że nadejdzie pomoc z Anglii i Francji a nawet z Austrii i przeciągnięto to powstanie aż do lata 1864 r.

Wielka była radość w Berlinie. Bismark zawarł wtedy z Rosją ścisły sojusz przeciwko sprawie polskiej. W razie, gdyby które państwo wypowiedziało Rosji wojnę, zobowiązał się dopomóc Rosji całą niemiecką siłą wojenną, a nawzajem Rosja zobowiązała się do neutralności w każdej wojnie, którą by prowadziły Prusy. Zyskiwał tedy

Bismark na powstaniu styczniowym, że pomiędzy Polską a Rosją wykopał przepaść, że Polska i Rosja nie pogodzą się i nie zwrócą się razem przeciw Prusom; zyskiwał dalej, że Prusy, bezpieczne od Polski i Rosji, będą mieć wolną rękę przeciw Austrii i Francji.

Po stłumieniu powstania nie został ani kamień na kamieniu z dzieła Wielopolskiego. Chociaż w dalszym ciągu powstania przystąpiły do rządu narodowego osoby poważniejsze, nic nie zdołało powstrzymać najstraszniejszej klęski. Na nic bohaterstwo bojowe powstańców, na nic poświęcenia bez miary w całym społeczeństwie! Na wszystkich urządach osadzono samych Moskali, w szkołach i w sądach wprowadzono wyłącznie język rosyjski. W Wilnie nowemu gubernatorowi, Murawiewowi, sami Moskale nadali przydomek „Wieszatela“. Na Litwie zakazano nawet mówić po polsku w miejscach publicznych. Sypały się w całym zaborze rosyjskim wyroki śmierci, więzienia, wygnania na Sybir i konfiskaty majątków. Mnóstwo rodzin szlacheckich straciło całe mienie.

Dla przykładu przytoczymy rodzinę Beyzymów z Wołynia. Przed trzystu laty przyjął chrzest, otrzymał polskie szlachectwo i osiedlił się na Wołyniu tatarski bej (tyle co np. u nas hrabia) imieniem Zym, skąd nazwa ich wsi dziedzicznej: Bejzimy. Skonfiskował ją rząd za udział w powstaniu. Młody czternastoletni syn, Jan, kształcił się w gimnazjum w Kijowie (polskiej szkoły nigdzie już nie było), a tego Janka wspominamy, bo miał potem stać się ojcem trędowatych i zaprawdę świętym.

Powstanie styczniowe miało współcześnie licznych przeciwników, którzy nie mogli pojąć, czemu zwalczać zdobycze Wielopolskiego. Na czoło tych mężów wysuwa historia świątobliwego biskupa Łubieńskiego. Był to rodowity Warszawianin, ur. w r. 1825 z rodziny znanej od

dawna z poświęcenia dla Kościoła i narodu. Kształcony długo za granicą, po powrocie do Polski obrał sobie stan duchowny i pracował przy warszawskim kościele Wizytek. Kiedy ojciec jego, Henryk, skazany został na wygnanie do Kurska, towarzyszył mu i rozwinął tam działalność misyjną. Następnie był proboszczem przy jedynym katolickim kościele w Petersburgu, św. Katarzyny. W r. 1857 towarzyszył arcybiskupowi Żylińskiemu we wizytacji archidiecezji mohilewskiej, zwiedził przy tej sposobności grób św. Andrzeja Boboli w Połocku i umacniał unitów w wierze i za to został skazany na wygnanie do Charkowa. Odzyskawszy wolność, bawił w r. 1861 w Rzymie, a w marcu 1863 został biskupem w Sejnach, gdzie od 17 lat nie było biskupa. Powstania był przeciwnikiem, ale z tego nie wynikało, żeby miał być zwolennikiem rosyjskich rządów. W r. 1869 zesłany ponownie w głąb Rosji, do Permu, został w drodze otruty arsenikiem podanym w kompocie. Papież Pius IX odezwał się w tej sprawie na prywatnej audiencji do ciotki otrutego biskupa, Róży Sobańskiej: „gratuluje ci, że masz w swym bliskim krewnym biskupa i męczennika zarazem. Nie mam co do tego, po ścisłym zbadaniu rzeczy przez umyślnego wysłańca, żadnej wątpliwości“.

Podobny los spotkał biskupa podlaskiego Kalińskiego, który również w drodze na wygnanie „zachorował i umarł“.

Wśród tych, którzy potępiali powstanie, wymienić tu wypada jeszcze jedno nazwisko wybitnego męża, który niebawem potem miał złożyć dostateczne dowody, jak umiał miłować Ojczyznę: ks. Mieczysław Ledóchowski, z rodziny arystokratycznej, wychowany za granicą a głównie w Rzymie, mówił, że pojąć nie może całego tego powstania. W liście do rodziny wyrażał zadowolenie z tego, że żyje za granicą, że nie ma nic do czynienia z krajem,

który wydaje takich szaleńców. Pragnął poświęcić się służbie dyplomatycznej papieskiej i rzeczywiście został nuncjuszem w Brukseli, chociaż nie miał jeszcze całych lat 40. Jakżeż świetnie zapowiadała mu się kariera dyplomatyczna na oczach całej Europy! Nie przypuszczał, żeby miał kiedykolwiek zamieszkać w Polsce, a miał wkrótce zostać polskim prymasem (o czym w rozdziale 33).

Czy kto był przeciwny powstaniu czy nie, wszyscy jednakowo byli braćmi powstańców, gotowymi nieść im zawsze pomoc. Były więc po całym kraju stacje zaopatrzenia ich w żywność, schronienia, szpitale i przytulki dla ozdrowieńców. Największa taka stacja była w Krakowie, oddalonym od granicy rosyjskiej zaledwie półtorej mili. Było to oczywiście niewieście pole pracy. Na czele zorganizowanej w Krakowie opieki nad powstańcami stała Wanda Malczewska. Pochodziła z Radomia, ur. w r. 1822, mieszkała następnie we wsi Klimontowie i stała się dobrodziejką ludu wiejskiego i wszystkich chorych i opuszczonych w całej okolicy. Z lekarstwami, odzieżą i pożywieniem w jednej, a koronką w drugiej ręce spieszyła do chorych lub ubogich, a „lekarz Frydrych z Mysłowic, który kontrolował jej lekarstwa i działalność, dziwił się nieraz nadzwyczajnym uzdrowieniom, dokonany przez Wandę“. Dziedzic Klimontowa, a jej brat cioteczny, Jacek Siemieński, wstąpił do powstania, dostał się do więzienia, a Wanda z krewnymi schroniła się przed zemstą Moskali do Krakowa. Tu zatopiona w modlitwie przemówiła do grona zebranych osób, którzy wszyscy dotknięci byli osobiście klęską upadłego powstania, w te słowa: „Straszne klęski spadną na Polskę, ale jej nie zgniotą. Polska ożyje pod opieką swojej Królowej, Matki Najświętszej, a jej wrogowie upadną, bo krew wytoczona z unitów woła o pomstę do Boga“. Wróciła potem do Klimontowa,

gdzie rozchorowawszy się śmiertelnie, zapadła po przyjęciu św. Sakramentów w głęboki sen, z którego zbudziła się zupełnie zdrowa. Lekarz, dr Kulski, ujrzawszy ją na drugi dzień, oświadczył: „To wyzdrowienie tylko cudowi przypisać można“. Spotkamy się jeszcze z tą świątobliwą Wandą.

Tu wspomnieć należy w związku z powstaniem o Franciszce Siedliskiej, ur. w r. 1842 we wsi Rożkowej w powiecie Rawskim na Mazowszu, z rodziców bardzo zamożnych. Będąc dziedziczką kilkunastu folwarków, bawiła się w wielkim świecie, a nie bardzo wierząca, zachowywała tylko pewną uczuciowość religijną. W r. 1861, podczas pobytu w Szwajcarii, obudziło się w niej po raz pierwszy pragnienie życia zakonnego. Tymczasem wybuchło powstanie, ojciec jej został uwięziony, podczas gdy ona z chorą matką bawiła nad jeziorem genewskim. Złożywszy gruby okup, wy dostał się Siedliski także za granicę. Powrócili wszyscy do domu w r. 1865, a Franciszka oddana wyłącznie Bogu, myślała już o powołaniu zakonnym. Miała stać się założycielką Nazaretanek.

Wiele imion świątobliwych związanych jest z powstaniem styczniowym pośrednio i bezpośrednio. Wiadomy nam Józef Kalinowski podał się do dymisji z armii rosyjskiej i przystąpił do powstania. Został komisarzem powstania na Litwę, urządził władze powstańcze w Wilnie, gdzie działał przez 8 miesięcy, a działał prawdziwie gorączkowo. Wykryty i aresztowany znosił przez trzy miesiące katusze rosyjskiego śledztwa. Modlił się przez cały ten czas żarliwie i śpiewał w celi więziennej litanię loretańską. Po dłuższym więzieniu skazano go na śmierć i wyrok miał być wykonany. Jakiś generał rosyjski zwrócił jednak uwagę, że nawet rosyjscy żołnierze uważają tego więźnia za „świętego Polaka“ i wszyscy Polacy

i nie-Polacy gotowi go czcić, jako świętego męczennika! Po co taki niepotrzebny kłopot? Więc złagodzano wyrok na dziesięć lat ciężkich robót fortecznych w Omsku i potem na dożywotni przymusowy pobyt na Syberii. Wraz z trzystu innymi zesłańcami musiał pracować przy warzelniach soli na odludnym ostrowie Usola na rzece Angorze. Tam oddał się jeszcze bardziej modlitwom, a bogobojność jego wzniosła się do takich wyżyn, iż go uważano za świętego, a do litanii dodali wygnańcy inkwokację: „Przez modły Kalinowskiego wybaw nas Panie“. A przy tym wszystkim był ten mąż człowiekiem „niewymownej słodyczy i uprzejmości, prawdziwie anioł dobroci“. On zaś miał z sobą obraz Najświętszej Panny Ostrobramskiej i przed tym obrazem ślubował, że wstąpi do surowego zakonu Karmelitów Bosych, jeżeli przywróconą mu będzie wolność.

Brał też udział w powstaniu 1863 r. 17-letni chłopczyzna, Adam Chmielowski. Urodził się dnia 20 sierpnia 1846 r. we wsi Igołomi nad Wisłą na samej granicy austriacko-rosyjskiej, po stronie rosyjskiej, w powiecie Miechowskim, na północ od Krakowa. Ojciec jego był tam urzędnikiem celnym. Mając osiem lat, stracił rodziców. Pod opieką ciotki, Petroneli Chmielowskiej, kończył szkołę średnią w Warszawie, a następnie wpisał się do szkoły wyższej rolniczej w Puławach. Wszyscy studenci poszli do powstania. Chmielowski wkrótce został ranny, a gdy się schronił na stronę galicyjską, żeby się leczyć, uwięziła go żandarmeria austriacka i zamknęto go w więzieniu w Ołomuńcu. Udało mu się zbiec. Przemycił się przez granicę i dalej walczył w szeregach powstańczych, aż mu granat strzaskał nogę po kolano na dwanaście kawałków. Dłużej już wojować się nie dało, a ponieważ zagrożony był zesłaniem na Sybir, więc rodzina wysłała go potajemnie do Paryża,

co mu się powiodło. Potem uczył się na politechnice w Gandawie, a jeszcze później poczuł w sobie ochotę do malarstwa i wyjechał do słynnej wówczas akademii malarzkiej w Monachium. Bardzo religijny zawsze, pragnął zostać malarzem religijnym, co mu się też powiodło. Malarstwo jego nie było zachcianką. Taka znakomitość, jak Leon Wyczółkowski, wyraził się o nim w te słowa: „Wywierał na nas ogromny wpływ. Był najpierwszym wśród nas kulturą, wiedzą, charakterem, a kto wie, czy i nie talentem“.

Ponieważ ze starszych rzadko kto wierzył w powodzenie tego powstania, wielu uważało sobie za obowiązek wstrzymać młodzież. Tak np. wybierał się do powstania wraz z kilku kolegami kleryk seminarium duchownego w Przemyślu, Józef Pelczar, pochodzący z drobnego miészczanstwa w Korczynie na Podkarpaciu. Zapaleńców wstrzymuje ks. rektor Skwierczyński wymownymi słowy: „Moi drodzy, cóż wy zrobicie w powstaniu, kiedy żaden z was nie miał dotąd karabina w rękę? Ofiara wasza pójdzie na marne. Tymczasem pracując całe życie po Bożemu, najlepiej przysłużycie się Ojczyźnie“. Pelczar odbywał następnie już jako kapłan wyższe studia w Rzymie w latach 1865—1868, gdzie poznał się z ks. Kajsiewiczem i ks. Semeneńką.

Rwał się do powstania w 1863 r. Bronisław Markiewicz (rodem z Pruchnika nad Sanem), lecz przebywając w Przemyślu na naukach miał tam cudowne widzenie anioła, zapowiadającego, że tym razem Polska niepodległości nie odzyska, lecz że nastąpi to później, podczas wielkiej i ciężkiej wojny powszechnej. Pobudzony tym widzeniem, które opisane było bardzo szczegółowo w r. 1904, na dziesięć lat tedy przed wojny tej wybuchem, wybrał sobie 21-letni wówczas Markiewicz stan kapłański.

Wyświęcony w r. 1867 pracował w kilku parafiach, oddając się obok prac zwykłych plebańskich, gorliwie pracy społecznej i oświatowej, a zwłaszcza opiece nad opuszczoną dziatwą.

Byli zaś i tacy, w dojrzałym już wieku, którzy nie poszli do powstania, a nikt im nie może odmówić odwagi wojennej, której dowody złożyli już przedtem; błyszczeli zaś cnotami obywatelskimi i przynosili chlubę społeczeństwu. Np. 39-letni wówczas Antoni Reichenberg z Gorlic, który kształcił się we Lwowie i Samborze, a nasiąknął podczas studiów wpływami masońskimi. Kiedy w r. 1848, podczas owej „wiosny ludów“ wybuchło powstanie węgierskie i powstały tam i polskie oddziały pod generałami polskimi (głównym był generał Bem), poszedł tam również Reichenberg, a po przegranej wojnie znalazł się w kilka lat potem w Monachium w r. 1855, żeby studiować malarstwo. Liczył już lat 31. Bawił tam wówczas również największy z polskich malarzy, sławny potem na cały świat Jan Matejko. Ten olbrzym talentu i ducha był jednakże bardzo religijny i dokonał nawrócenia Reichenberga. Skutek był taki, że w r. 1862 Reichenberg odbył pielgrzymkę do Częstochowy i zaraz rozpoczął studia teologiczne; w r. 1867 przyjmował święcenia kapłańskie, a w dwa lata potem wstąpił do zakonu Jezuitów. Nie mało jest jego obrazów po kościołach jezuickich. Zasłynął zaś ze świątobliwości, która w późniejszych latach miała się okazać w pełnej poświęcenia miłości bliźniego, gdy obrał sobie szczególną opiekę nad nędzą i chorobami.

Z drugiej atoli strony można by wyliczyć cały zastęp księży, którzy wzięli udział w powstaniu. Może to być miarą ich zapału.

Tajna organizacja żądała jednak od nich przysięgi na posłuszeństwo tajnemu rządowi i to tak dalece, iż kazano

im przysięgać, „że nie będą odmawiali rozgrzeszenia za grzechy popełnione z rozkazu tej władzy“. Jakżeż rząd jakkolwiek ma przepisywać kapłanowi, kiedy ma udzielić rozgrzeszenia? Władza świecka nad Sakramentami! Ależ to bizantyńskie pojęcia, wcale niepolskie!! Skoro do Rzymu nadeszły wiadomości o tym, zachodziła obawa, że Stolica Apostolska wystąpi z publiczną naganą. Arcybiskupi warszawscy i gnieźnieńscy udali się wtenczas z prośbą do ks. Kajsiewicza, żeby przemówił. Napisał wtedy „List otwarty do braci księży grzesznie spiskujących“, w którym nie tylko zgromił to, co było wykroczeniem przeciw prawu kościelnemu, ale też zwrócił uwagę, że powstanie urządzone nieroztropnie pogorszy położenie Polski i nie tylko nie przyspieszy niepodległości, ale cofnie jej odzyskanie. Ks. Kajsiewicz, zawsze wyraźny, pisał wyraźnie, „że pójdziemy na pośmiewisko ludzi, na pogwizd szatanom, że nam brakło cierpliwości w przeddobie zmiłowania Pańskiego i dobrowolnie dajemy wrogowi to, czego siłą i podstępem osiągnąć nie mógł“.

Pomimo wszystko Ojciec św. kazał całemu światu atolickiemu modlić się za Polskę, a we wrześniu 1863 r. urządził wielką procesję błagalną po Rzymie i jeszcze w kwietniu 1864 r. piętnował w publicznym przemówieniu silnie bezprawia rosyjskie.

Księża opamiętali się, i ani przysięg niestosownych nie składali, ani też nie szli do szeregów powstańczych z bronią w rękę, bo kanony nie pozwalały im przelewać krwi. Ale szli na kapelanów chętnie, a że przy tym w jednym odezwała się mocno i żyłka wojenna, łatwo zrozumieć.

Jakież to fakt znamieny, że ostatnim powstańcem, który dotrwał do końca, a raczej który przetrwał nawet i sam koniec powstania, był kapłan, kierujący (choć sam

bez broni) swym własnym oddziałkiem zbrojnym daleko na Żmudzi, aż do lata 1864 r. Był nim ks. Stanisław Brzóska, pochodzący z Podlasia, wikary w Sokołowie. Przez długi czas nie zdołali go Moskale ująć, a on ukrywał się po lasach i po chłopskich chatach, a nigdzie na długo, zmierzając potajemnie ku swemu Podlasiowi. Wreszcie dotarł z powrotem do swojej parafii i ukrywał się tym razem długo u jednego z mieszczan Sokołowa. Ten poradził sobie sprytnie. Przybudował do swego domu obszerne stajnie i chlewy, a w pewnym miejscu ustawił ściany podwójne, między którymi była przestrzeń wolna na trzy łokcie. W takiej kryjówce mieszkał ks. Brzóska razem ze swym przyjacielem, F. Wilczyńskim, który go nie chciał opuścić. Żywność podawano im umyślnym otworem pod podwaliną domu, zasłoniętym kufrem. Innym zaś sztucznym otworem mogli wychodzić w nocy. Gdy zbliżała się Wielkanoc, wyszli nocą do sąsiedniej parafii dla odbycia spowiedzi u wikarego ks. Lewandowskiego. Szpiegowano wtedy wszystkich jadących i idących; sołtysi byli pociągani do najsurowszej odpowiedzialności, żeby kontrolować każdego obcego, jaki się w gminie pojawi. Utrzymywano osobne straże od wsi do wsi, żeby przytrzymywać przybyszów. Pomimo wszelkich ostrożności ktoś podpatrzył, jak dwóch obcych wychodzi w nocy z plebanii; dał znać sołtysowi; ten nie tylko sam zarządził pościg, ale dał znać wójtowi, a wójt urzędowi powiatowemu w Siedlcach. Skończyło się to źle, aresztowano ks. Lewandowskiego, a gdy nie chciał wydać, kto u niego był, bito go bez miłosierdzia, a gdy nadal odmawiał wyjaśnień, bito aż i ubito go na śmierć, po czym zwłoki powieszono na szubienicy.

Zadajmy tu jedno pytanie: Czyż ten ks. Lewandowski nie jest męczennikiem świętej sprawy tajemnicy kon-

fesjonału? Nie mógł wydać penitentów, którzy przybyli do niego w tajemnicy i wyraźnie dla Sakramentów św. Nie mógł ich zdradzić przez honor swój, bo oni przyszli pełni zaufania; nie mógł tego zrobić ze względów patriotycznych, bo jakżeż wydać swoich wrogowi? Ale on był obowiązany do milczenia także ze względów religijnych, jako posiadający tajemnicę, powierzoną sobie w konfesjonałe. Czyż nie byłoby wskazaniem, żeby w tamtejszej krainie podjęto badania i dochodzenia co do osoby ks. Lewandowskiego, co do szczegółów jego życia i okoliczności popełnionego na nim mordu?

Po pewnym czasie wykryły kozackie patrole schronisko ks. Brzóska. Zdołał jeszcze spalić papiery, po czym wraz z Wilczyńskim wydostali się na tyły ogrodu i zmierzali do lasu. Pod lasem kozacy ich dopadli. Wilczyński zastrzelił kilku kozaków, ale ksiądz nie strzelał. Kiedy wypadło nabić rewolwer na nowo, wołał Wilczyński na księdza, żeby tymczasem on strzelał, lecz kapłan odmówił. Biegnąc dalej, potknął się ks. Brzóska o korzenie drzew, gdy tymczasem towarzysz jego był już w lesie. Odwróciwszy się, ujrzał, jak leżącego kapłana przytrzymali pikami, a potem podjęli go na pikach i odnosili. To widząc, wychodzi Wilczyński z lasu i sam oddaje się kozakom, żeby nie opuszczać duchownego przyjaciela i do końca dzielić jego losy. Dzielny to był zaiste człowiek, pojmujący swe obowiązki moralne wysoko.

Schwytanych zawieziono obu do Siedlec i tam powieszono. Pod szubienicą wyraził ksiądz ostatnie swe życzenie: „Pragnę, aby mego kolegę powieszono pierwej. Kat, jeżeli skróci mu mękę, otrzyma ode mnie złoty zegarek“. I tak się stało. Trupy obydwóch leżały przez cały dzień następny, świąteczny, po czym ciała ich złożono w prostą pakę. Ponieważ była za krótką na wysoki wzrost

księdza, więc mu odsiekano nogi do kolan. Pakę przewieziono do fortecy w Brześciu Litewskim i złożono tam na dnie wału.

Wzmogło się znowu prześladowanie Kościoła w zaborze rosyjskim i zabrano się do dalszej kasaty klasztorów. Doszło do tego, że w każdej regule pozostawiono tylko po jednym klasztorze, do którego zwieziono zakonników z całej Kongresówki; a klasztorowi temu zakazano nowicjatu. Po prostu skazano mnichów katolickich na wymarcie i rzeczywiście też w ciągu najbliższego pokolenia niejeden zakon wygasł i wymarł.

Skasowano też w r. 1864 nowo powstałe Zgromadzenie Sióstr Felicjanek. Rozproszyły się zakonnice, każda z osobna zmuszone szukać przytułku, gdzie się dało, a wszędzie poddane dozorowi policyjnemu. Założycielka, świętobliwa matka Truszkowska, popadła w chorobę, która ją całkiem ubezwładniła. Szczęściem dla przyszłości zakonu okazała się nadzwyczajna energia i dzielność w siostrze M. Borowskiej, która umiała podtrzymać ducha w rozproszonych towarzyszkach i sprawić, że jednak mimo rozproszenia nie zatracaly poczucia przynależności do zakonnej wspólnoty. A zaraz w roku następnym mogły się zgromadzić na nowo, bo oto w 1865 r. cesarz austriacki dopuścił je do Galicji. W rok potem zaczęły z pomocą dobrych ludzi stawiać klasztor w Krakowie przy ul. Smoleńskiej, który stał się odtąd ich domem macierzystym i jest nim dotychczas. Tam też zjechała w r. 1869 siostra Borowska i tam urządziła nowicjat. Wnet wybrano ją na generalną przełożoną i zajmowała to stanowisko do końca życia, z wielką chlubą dla siebie, a korzyścią dla zakonu. Gdyby nie były otrzymały wówczas dostępu do zaboru austriackiego, byłyby według wszelkiego prawdopodobieństwa wszystkie dostały się na Sybir.

Powiedziano, żeśmy dokonali kolonizacji Syberii i to nie byle jakiej, bo dostarczając temu krajowi inteligencji. A była to już kolonizacja stara. Rządy rosyjskie zsyłały bowiem na Syberię jeńców polskich od czasów konfederacji barskiej. Było ich już wtenczas kilkuset. Zasłynął na cały świat Maurycy Beniowski, konfederat barski, zesłany na Kamczatkę w r. 1767, skąd zbiegł przez Japonię i dotarł morzami do Madagaskaru, gdzie założył sobie państwo. Pierwszy opis Syberii spisał brygadier Józef Kopeć, jeńiec z bitwy pod Maciejowicami. Potem nastąpiły pamiętniki Karola Chojeckiego z r. 1790 i przeora Dominikanów wileńskich Ciecierskiego z lat 1797—1801 i odtąd długi szereg polskich książek o tym kraju, w czym nie mało dzieł naukowych. Inteligencja polska odkryła Syberię dla nauki europejskiej. Szli tam nasi jako zesłańcy polityczni, a stali się dobroczyńcami rozległych krajów azjatyckich, a to dla swojej przedsiębiorczości i wiedzy. Powstaniec z r. 1863, Benedykt Dybowski, sławny następnie na całą Europę wielki uczony, zbadał wraz z Wikto-rem Godlewskim świat zwierzęcy, potem opracował pierwszy naukowo największe z jezior, Bajkałskie i czynił odkrycia na Dalekim Wschodzie. Potem w latach 1879—1882 osiedla się dobrowolnie na Kamczatce, „roztaczając chlubną działalność humanitarną, ratując nieszczęsnych krajowców przed wymieraniem, aż w r. 1883 zostaje powo-łany na profesora zoologii w uniwersytecie lwowskim. Współdziałał zaś w Azji z licznymi Polakami, „których imiona stały się głośnie i niezapomniane“. Są tych imion setki całe! Ileż tam kryje się trudów i znojów polskiej, nie mogącej pracować we własnym państwie, bo go nie było? Iluż ich przepadło dla społeczeństwa polskiego?

Ale też był ten Sybir dla naszych zesłańców krajem najstraszniejszych katuszy. Powstańcy z r. 1831 i 1863

spotykali się, jako dwa pokolenia ofiar miłości Ojczyzny w tamtejszych rządowych kopalniach, jako przymusowi robotnicy pod ziemią, używani do najniebezpieczniejszych robót. Ażeby nie mogli zbiec, piętnowano ich na rękę, czasem nawet na twarz, a z reguły przykuwano łańcuchami do tacek. Noclegowiska i strawę mieli prawdziwie nieludzkie. Skazani na wyrąb lasów, wykonywali pracę drwalów często w kajdanach na nogach. A gdy po latach zwolniono którego z przymusowych robót, nie pozwalano mu jednak wracać do kraju! Na całe życie miał zostać na Sybirze, jako osadnik i starać się o utrzymanie własne w miejscu przez rząd wyznaczonym, wśród ludności turańskiej, w stosunkach prymitywnych nad wszelki wyraz. Sam jeden „jak palec“, obcy i opuszczony, cóż miał począć ze swoją osobą? Przede wszystkim chciał przestać być obcym tamtejszym mieszkańcom, chciał pozyskać sobie życzliwych pośród nich, a pragnął też mieć jakiś kąt własny, swój dom, choćby najuboższy. Żenił się więc z poganką, napół dziką, którą sam musiał dopiero doprowadzać jakoś do prawdziwej wiary, choćby tylko do słabego promyczka prawdziwego światła, tudzież do... używania wody do mycia. Któż mu dawał ślub? Kto potem chrzczył dzieci? Rząd dbał o to, żeby się znalazł łatwo jakiś pop prawosławny. I jest tam pełno rodów, które dotychczas utrzymują tradycję, jako pochodzą od „polskiego osiedleńca“, ale nie ma w nich ni śladu polskości ni katolicyzmu.

Zastanowiwszy się nad straszliwą dolą naszych rodaków na Syberii, rozumiemy dopiero trafność słów ks. Kajsiwicza, że staliśmy się „Jobem pośród narodów“. Nie rozwódźmy się już nad tym; przyjrzyjmy się tylko jeszcze dwom świetlanym postaciom, błyszczącym na tym tle: Józefa Kalinowskiego i Krzysztofa Szwerwickiego.

Czym był dawny inżynier wojskowy dla wielkiej grupy zesłańców naszych na Usole, dostrzeżemy najlepiej z opisu wigilii, urządzonej przez wszystkich rodaków tamtej okolicy w r. 1865. Obszerne wspomnienie tej rzewnej uroczystości sporządził jeden z uczestników, Wacław Nowakowski (późniejszy kapucyn w Krakowie, znany całemu miastu O. Wacław, który żył i umarł w opinii świętości). Oto zajmujący z opisu tego wyjątek:

„Kiedy wszystko we wilię zostało przygotowane i wszyscy wokół stołu stanęli, a księża wśród ciszy odmówili jakimś dziwnie wzruszającym głosem słowa modlitwy po łacinie, zaczęto się łamać opłatkiem i składać sobie życzenia. Nastal ruch ogromny i gwar przeszło trzystu osób. Każdy mówi głośno, żeby był słyszany. Wołają jeden na drugiego, szukają gdzie ten, z którym się pragnie przełamać opłatkiem. Najwięcej skupiano się koło Józefa Kalinowskiego, którego wszyscy nadzwyczaj nie tylko kochali, lecz i uwielbiali. Każdy chce koniecznie z nim się przełamać opłatkiem, w myśli, że to szczęście przyniesie. Kalinowski wykręca się na wszystkie strony, do każdego słodko się uśmiecha, każdego całuje. A tu na wszystkie strony chwytają, ściskają, aż go znowu panie proszą, żeby do nich przyszedł. Znowu księża od pań go odbierają. On księży w ręce całuje, a księża ręce chowają, albo za szyję go obejmują; i końca temu nie ma“.

Wyobraźmy sobie, że takich grup większych było na Syberii kilkanaście, mniejszych zaś kilkaset; ale tysiące i tysiące takich, którzy nie mieli rodaków w sąsiedztwie, a żyć też musieli...

Ponad wszystkimi, ponad całą tą niedolą unosiła się postać ks. Szwerwickiego, proboszcza całej Syberii, który dobrowolnie został tam, żeby służyć i apostołować. Odkąd przybyło po r. 1863 nowe a tak liczne osadnictwo pol-

skie, tym bardziej nie chciał ani słyszeć o powrocie do kraju. Jakżeż było mu wracać, gdy trzeba było nieść pociechę tym, którzy wracać nie mogli! Posiadając już całkowitą swobodę, nie dał sobie ni razu choćby urlopu, żeby odwiedzić tę Polskę, którą kochał nade wszystko. „Nie miał czasu; zawsze bowiem znaleźli się tacy, którzy w sam raz potrzebowali jego opieki, więc nie mógł wyjeżdżać“. Dobrze go scharakteryzowano w te słowa:

„Prawdziwie, żył on jedynie dla Boga i dla bliźniego, a o sobie zapomniał zupełnie. Wszystkie bóle, męki, nędzę, rozpaczę wygnańców objął sercem tklwym i szerokim; był przy śmierci każdego skazańca, a dom jego dla wszystkich stał gospodą otwartą. On był aniołem pocieszycielem, on ojcem i matką dla wygnańców“.

Ale też nie zajmował się ani na chwilę niczym innym, jak tylko kłopotami nieszczęśliwych swych owieczek; nie pozwalał sobie na żadne rozrywki, choćby niewinnego rodzaju i powszechnie przyjęte, bo on nigdy nie miał czasu dla siebie.

Wielki ten świętobliwiec wystawił w Irkucku własnym staraniem kościół katolicki i założył przy nim szkołę. Dwa razy miał sobie ofiarowane biskupstwo: raz w Mohilewie, drugim razem w Sandomierzu, lecz „sługa Boży przeniósł nad mitrę posługiwanie skazańcom w lodach Sybiru“. Nie chciał się od nich ruszyć. Mianował go więc papież Leon XIII misjonarzem apostolskim na całą Syberię. Kiedy w r. 1888 obchodził złote gody kapłańskie, otrzymał od Ojca św. pismo odręczne gratulacyjne, w którym nazwany jest „chlubą misjonarzy katolickich, ozdobą Marianów i radością serca papieskiego“.

Lecz co znaczy wszelkie dobro duchowe przeciw prostackiej sile fizycznej i czym największa zacność dla żywołowej nienawiści do katolicyzmu, właściwej rosyjskim

masom? W r. 1894 ten święty kapłan, czczony nawet przez wielu Rosjan, nawet przez zajmujących wysokie stanowiska rządowe, stał się jednak przedmiotem napaści i skatowany był niemal na śmierć przez szajkę Moskali, li tylko z nienawiści ku katolicyzmowi. Umarł z ran odniesionych w dniu 8 grudnia 1894 r., w opinii świętości.

Wyniesienie na ołtarze tego męża, pełnego cnót bohaterskich, jednego z największych synów Polski, stanowi dług wdzięczności, który spłacić winna Polska niepodległa; zwłaszcza, że uważał to za pewne inny mąż święty, którego beatyfikacji spodziewamy się niebawem; będzie jeszcze o tym mowa.

32. PODLASIE I CHEŁMSZCZYŻNA.

A teraz przenieśmy się myślą z Syberii do Polski, mianowicie do dwóch prowincyj pośrednich pomiędzy Polską zachodnią a wschodnią, na Podlasie i do Chełmszczyzny. Należały te krainy do Kongresówki i dlatego tylko utrzymały się tam resztki unii. Obecnie rząd przestał respektować tę granicę i zaczął postępować wobec unitów zupełnie tak samo, jak przedtem w Krajach Zabrzanych. Właśnie w roku 1863 został Siemaszko mianowany członkiem najwyższego („najświętszego“) synodu. Biskup unicki podlaski Szymański i chełmski Kaliński, obydwaj Polacy, zostali wywiezieni w r. 1866 w głąb Rosji. Kiedy ks. biskup Kaliński zmarł we Wiatce tego samego jeszcze roku, rząd szukał na jego miejsce stosownego dla siebie odstępcy. Sprowadził z Galicji wschodniej, z unickiej metropolii lwowskiej Rusina, Kuziemskiego, unickiego katechetę gimnazjalnego. Towarzyszył mu na prawosławną apostołkę kolega jego Popel (po polsku zwany Popielem) i grono innych, ciągle się powiększające, bo rząd carski sprowadzał ich coraz więcej, nie mogąc znaleźć odstępców na miejscu. Cóż za gorliwość schizmatycka wśród duchowieństwa galicyjskich eparchij?! Jeden z nich, Bobrjański, również katecheta, zapewniał wręcz o „silnym duchu prawosławnym między naszymi“.

Żyjącym na wygnaniu męczennikom poprzedniego prześladowania pogorszył się los po r. 1863. Np. marszałka Mężęńskiego wysłano w głąb Rosji za udział w powstaniu i majątek jego skonfiskowano; nie mógł tedy ks. Micewicz korzystać z jego gościny, lecz musiał od r. 1867 szukać sobie mieszkania. Siedział przez 19 lat w Szumsku w „pokątne”, tj. nie mając osobnej izby, tylko kąt w izbie wspólnej. Bardzo mu dokuczał pop tamtejszy, a tak chciwy, że odebrał biednemu unicie nawet skórę na obuwiu i kazał z niej uszyć buty dla siebie. A wśród urzędników rosyjskich był i taki, który „policzkując, fizycznie apostołował”.

Jeszcze gorsze stosunki nastąpiły na Podlasiu i Chełmszczyźnie, bo tam cały lud bronił katolicyzmu i to aż do męczeństwa.

Jak poprzednim razem ks. Micewicz odsłaniał nam położenie swymi pamiętnikami, podobnież do tych czasów użyć możemy pamiętników ks. Sieniewicza, proboszcza unickiego w Sworach pod Białą Podlaską, który miał sposobność patrzeć na same początki robót prawosławnych. Ciekawa jest jego notatka zaraz na początku, jako ks. biskup Kaliński zmarł na wygnaniu śmiercią nagłą, po wypiciu szklanki herbaty. Widział „ingres” Kuziemskiego do katedry w Chełmie. Kanonicy powitali go w katedrze chełmskiej po polsku; lecz kazanie wygłosił po rosyjsku ów ks. Popel, Rusin, i już żądało się od księży, żeby kazania wygłaszali po rosyjsku. Kazano im też w pewnych ustępach mszy św. śpiewać od ołtarza według mszału prawosławnego. Wkrótce kazali wygłaszać wszelkie nauki religijne po rosyjsku, a rugowano z cerkwi polskie śpiewy. Bractwa cerkiewne oświadczały, że nie chcą nauk po rosyjsku, a ks. Sieniewicz pisał do władzy w te słowa:

„Jeżeli by ks. biskup miał sumienie mi wskazywać, jakim językiem mam mówić, musiałby powiedzieć, że polskim; tym bowiem myślę i władam i w tym języku pobierałem wszystkie nauki. Prawda, że Ojcu św. nie zależy, jakim językiem mają mówić ludzie do jego owczarni należący, ale my sami, trwający we wierze, w której on nam przoduje, rozmawialiśmy z ludem, głosząc mu w polskim języku kazania, a lud je rozumiejąc korzył się przed majestatem Pana”.

Po pewnym czasie wezwał ks. Sieniewicza gubernator siedlecki Gromeka przed siebie. Ta audiencja odbywała się burzliwie, bo gubernator zachowywał się zupełnie według cywilizacji turańskiej i o mało co nie było prostej bójki. Doprowadził do tego, że kapłan prosił, żeby go od razu zakuć w kajdany i odwieźć do cytadeli warszawskiej. „Tam wolę się tłumaczyć prostemu żołnierzowi, aniżeli tu znajdować się”. Dopiero na te słowa uspokoił się rosyjski gubernator. Z rozmowy zaś długiej i pełnej połajanek warto przytoczyć następujący ustęp:

Gubernator zapytuje: „Czy nie wstydzicie się, że w Galicji wszyscy księża wasi mówią w ruskim języku?” — „Tak nie jest. Familie Kurytowiczów i Sarnickich przemawiają do ludu po polsku. Galicję znam, gdyż przez Galicję powróciłem do kraju”.

Gromeka: „Ja mam wypisanych z Galicji 50 księży i któryś z nich zastąpi Was tu”.

„Tak jest, bezwątpienia, ale ja nie radziłbym wchodzić z nimi w bliższe stosunki”.

Aresztowany później i za dobrą protekcją wypuszczony na wolność, po drodze do Swór odprawia nabożeństwo w Makarówce, wygłasza tam naukę po polsku i to samo powtarza we własnej parafii. Przez ten czas osadzono zaś w karnym klasztorze Bazyliańów jego teścia,

ks. Jana Welinowicza i teściowego spowiednika, ks. Wasilewskiego. Ks. Welinowicz raz po nabożeństwie w cerkwi bazylikańskiej zaintonował na stopniach ołtarza: „Pod Twoją obronę”, a gdy ją skończył... padł martwy z kielichem w ręku.

Księdzu Sieniewiczowi powiodło się wraz z kilkunastu innymi przedostać się do Galicji. Był we Lwowie namiestnikiem hr. Agenor Gołuchowski, dobry katolik i prawdziwy patriota polski (o którym będzie obszerniej w następnym rozdziale). Powiernikiem i przyjacielem uchodźców unitów był spowiednik Gołuchowskiego, ks. Otto Hołyński. Rada w radę, uradzono, że unickie grono kapłańskie powinno jechać do Rzymu, żeby tam Stolicę Apostolską poinformować o stosunkach. W Galicji i tak nie mieli co robić między „swoimi”, tj. między ruskimi księżmi unickimi. Przebywał natenczas we Lwowie ów rządowy biskup, Kuziemski, bo go sami Moskale wygnali z Chełma, gdzie tylko wstydu narobił rządowi; wolał wtedy powrócić do Lwowa, a mieszkał w pałacu arcybiskupim, „u św. Jura”, przy arcybiskupie ruskim Józefie Sembratowiczu.

Do Rzymu jadąc, Ks. Sieniewicz wstąpił najpierw do Krakowa. Tu sławny kaznodzieja, ks. Zygmunt Golian, dał mu list polecający do ks. Kajsiewicza w Rzymie. Ułożywszy memoriał o tym, co się dzieje w diecezji chełmskiej i oddawszy go właściwej kancelarii, otrzymali audiencję u Ojca św. Piusa IX we trzech (a czwartym był ks. Kajsiewicz). Kiedy wrócili do Lwowa, otrzymał unicki ks. Starkiewicz posadę wikarego w Belzie, ale przy kościele łacińskim, a ks. Sieniewicz podobnie w Milutyńie Nowym, gdzie się znajduje cudowny obraz Pana Jezusa. Tam przebywał przez cztery lata, po czym wielki kapłan narodowy, a późniejszy kardynał ks. Albin Dunajewski,

sprowadził go do Krakowa. Został spowiednikiem przy kościele mariackim i był nadto pisarzem Banku Miłosierdzia (fundacji Skargi).

Bawiąc we Lwowie „próbowałem — zapisuje ks. Sieniewicz — zbliżyć się do konsystorza greckokatolickiego, by mi wolno było mszę św. odprawiać tam, gdzieby to było pod władzą proboszcza ruskiego. Odpisano mi na to grażdżanką, że oni chcą widzieć, jak ja odprawiam nabożeństwo, a gdy mnie nakłonią do form, w jakich się u nich to odbywa, wtedy dopiero zgodzą się na mą propozycję. Już więcej o nic ich nie prosiłem”.

A tymczasem na Podlasiu i w Chełmszczyźnie dręczono lud w najokropniejszy sposób. W zimie wpędzano całą wieś na lody rzeki lub stawów i przez kilka dni o głodzie nie dawano wytchnąć. Wojsko kwaterowało po wsiach na egzekucji całymi miesiącami. Żołnierze bili ludzi do żywego mięsa, a obok stał pop schizmatyczny z hostią lub łyżką wina z kielicha mszalnego (bo w obrządku wschodnim komunikuje się pod obiema postaciami) czekając, aż bity zaczną krzyczeć; wtenczas do otwartych od krzyku ust wkładano mu hostię lub wlewano wino mszalne. Niczym więc dla tych popów znieważenie takie Najświętszego Sakramentu, skoro chodziło o politykę rządową! A kto przy takim biciu przyjął mimowolnie Sakrament od popa, zapisywali go zaraz na prawosławnego. Więc ludzie... wypluwali.

Tymczasem rząd ustanowił hierarchię schizmatyczną w całej Kongresówce, chociaż nie było prawosławnych innych, jak tylko urzędnicy i żołnierze. W Warszawie wystawili na Placu Saskim olbrzymią „cerkiew soborną”, tj. swoją katedrę i z początkiem r. 1875, dn. 25 stycznia, przybył do Białej Podlaskiej arcybiskup prawosławny z Warszawy z istnym tłumem zebranych z różnych stron

popów, żeby odprawić uroczyste nabożeństwo schizmatycko-rosyjskie. Po nabożeństwie szereg popów odstępców ucałował rękę siedzącemu na tronie archiepiskopowi, uznając w ten sposób jego zwierzchnictwo. Przyszła kolej na lud, który ani się nie ruszył. Policja przyciąga ich siłą do „carskich wrót” i wtedy odbyła się taka historyczna rozmowa: Archiepiskop zadaje im pytanie: „Więc czy przyjmujecie prawosławie? — a lud odpowiada chórem: „nie przyjmujemy”. Chwila ciszy, po czym odzywa się schizmatycki dostojnik w takie słowa: „Skoro nie chcecie przyjąć prawosławia, przyjmijcie te oto obrazki i krzyżyki, a może być, że one was oświecą i nawrócą”. Tego tylko trzeba było władzom urzędowym. Chociaż nie wielu przyjęło obrazki i krzyżyki, w oczach władz już to wystarczyło, by światu ogłosić, że unicy „dobrowolnie” przyjęli prawosławie.

Ówczesne prześladowanie unitów srogością swą przypomina czasy męczeństwa pierwszych chrześcijan. Od parafii do parafii ciągnęły hordy dzikiego kozactwa, nakładając lud do wydania kluczy od cerkwi, do odstępstwa od wiary. Podlasiacy wykazywali bohaterskie męstwo i nieustraszoną stałość, które drogo musieli okupić konfiskatą mienia, żywności, biciem, znęcaniem się, więzieniem, Sybirem, męczeńską śmiercią. Zdarzało się bowiem, że gdy lud otoczył cerkiew i bronił jej przed napastnikami, kozacy dawali do niego regularne salwy, tratowali po nim końmi. Lud wówczas padał na kolana, śpiewając pieśni pobożne! Wybitniejszych obrońców wiary bito na śmierć nahajkami. Bardzo wielu zmarło z otrzymanych ran, lub z nędzy, głodu, zimna w więzieniach i na Sybirze. Prześladowanie przeciągało się lata całe.

Postanowiono „opornych” wywozić z kraju w głąb Rosji. Z nienacka, w nocy zajeżdżały furmanki, a policja

kazała zabierać się w tej chwili, nawet nie dając się pożegnać z rodziną. „A w drodze, gdzie był krzyż święty, to nie dali się przed krzyżem schylić, a jak się schylisz, to biją po głowie. A jak nas do turmy przywieźli, to jeszcze nas rewidowali i poobdzierali z nas szkaplerze i książki i tylko w jednym odzieniu nas do maszyny (na kolej) gnali. A ludu były tysiące w Białej, i płakali nad nami”.

Okutych w kajdany wożono z więzienia do więzienia, z Białej do Smoleńska, stamtąd do Moskwy, do Niżnego Nowogrodu, skąd statkiem Wołgą do Kazania i Permu, lub przez Rjazań, Orenburg i przez góry Uralskie do Czelabińska, dużo pieszo, aż dotarli do miejsc, gdzie im wyznaczono nowe siedziby. W Orenburgu był jedyny na cały tamtejszy kraj kościół katolicki, ale najbliższych zesłańców umieszczano na dwieście kilometrów od tego miasta; a porozrzucano ich umyślnie po wsiach, posiadających cerkwie schyzmatyckie i ze wsi wychodzić zakazano. Jedna taka grupa miała aż 370 klm. do kościoła.

Zesłańcy nie chcieli przyjmować nowych sadyb. Często, gdy ich gwałtem chciano tam dowieźć, pokładali się na ziemię, a „naród się schodził i zjeżdżał na dziwy, co z nami będzie”. Więc protokoły i raporty, a oni siedzą cały tydzień na polu. „Więc stanowy (starszy z policji) kazał nas powiązać wszystkich, baby i mężczyzn za ręce i nogi i do drabi z wierzchu przywiązać i tak nas zawieźli do tych domów i tam rozwiązali i napisali na tablicach, czyja izba. Wreszcie mówili, że kto z nas pierwszy pójdzie, to sobie lepszą izbę wybierze, ale my wszyscy leżymy na ziemi pokrwawieni i nikt się nie odzywa. Kiedy odjechał od nas, wtedyśmy powstawali i idziemy w pole. Uszliśmy z pięć stań, kiedy stanowy posyła urjadników do nas i pyta się, gdzie idziemy? A my odpowiadamy: gdzie oczy poniosą!”

I znowu wartują ich przez dwa tygodnie; i zerwali most, żeby nie mogli ujść za rzekę, a dla pewności na nowo ich powiązali, aż w końcu „rozbili nas po całym świecie osobno”.

Prześladowanie takie trwało 20 lat i wywieziono unitów około 20 tysięcy.

Dochował się szczęśliwie szereg listów od tych ofiar, przemycanych „pocztą pantoflową” przez dobrych ludzi aż do Krakowa i Poznania, gdzie utworzyły się komitety opiekuńcze. Ciekawe są prośby, jakie zanoszą w tych listach. Proszą tedy „choć o pięć różańców i parę katechizmówek”. Z wdzięcznością potwierdzają odbiór książek „O Naśladowaniu Chrystusa” i „Droga do zbawienia”, a proszą o „Zbiór nabożeństwa św. Franciszka trzeciego zakonu”. Dużo im trzeba obrazków i szkaplerzy. Inny prosił o „parę książek, a chciałbym śpiewnika krakowskiego i kancjonał i kilka różańców, a nawet parę obrazów”.

Ciekawa ta wzmianka o śpiewniku krakowskim... Znaczyło to, żeby był w Krakowie drukowany, żeby mieli pewność, że będzie dobry, katolicki na wskroś. Były bowiem druki niby katolickie, ale przemycające zręcznie schyzmę, drukowane staraniem władzy rosyjskiej. Jak były dla księży mszały drukowane w Moskwie, podobnie dla ludu rozmaite druki podejrzaney natury. Co krakowskie, to przynajmniej pewne — tak sobie powiedzieli.

Zaufanie do Krakowa i miłość do prastarej stolicy królestwa polskiego miały źródło w innych jeszcze sprawach: Pomocą i ostoją w czasach prześladowań byli unitom kapłani polscy łacińskiego obrządku, którzy przeprowadzili całą organizację w tym celu. Jeździli pomiędzy lud prześladowany, pozbawiony własnych pasterzy; z narażeniem życia sprawowali nocami po lasach funkcje ka-

ślańskie, chrzcili dzieci, spowiadali, nauczali, pocieszali. Ażeby brać śluby małżeńskie, przekradali się unicy często przez kordon austriacki do łańskich polskich kapłanów w Galicji, czasem docierali aż do Krakowa; nazywano to też „ślubami krakowskimi“. Groziła za nie najcięższa kara, zesłanie na Sybir i rozłączenie przymusowe małżonków; lud jednakże wierny Bogu i Kościołowi nie dbał o to. W pomocnej organizacji polskiego duchowieństwa nieszczęsnemu ludowi odznaczyli się najbardziej Wielkopolanin, ks. prałat Chotkowski, profesor teologii w Krakowie, tudzież ks. Jan Urban, jezuita krakowski, uczony teolog i gorący misjonarz.

Unii na Podlasiu i w Chełmszczyźnie bronili tedy sami tylko Polacy, nie unicy, lecz łaćinnicy. Unicy zaś ruscy z Galicji dostarczali właśnie zbirów i katów przeciw temu ludowi.

Stwierdźmyż, że chociaż obrządku greckokatolickiego, był to jednak lud polski. Mamy dowody polskości w ich listach. Jeden np. pisze do dawnych sąsiadów: „Wy bracia kochani, żadnej biedy nie znacie, bo w Polsce żadnej biedy nie ma, ale między nami bieda“. Drugi pisze: „O bracia i siostry zostający w Polsce!“ Trzeci składa życzenia: „i polecamy was Sercu Jezusowemu, co daj Boże widzieć się z wami na rodzinnej ziemi polskiej“. Innym razem czytamy takie słowa: „Oto my nieszczęśliwe wygnańce z kraju polskiego“, a jeden z nich kończy list do pewnego zakonnika polskiego tymi słowy: „Przepraszam Ojca, że zadaję Ojcu na głowę kłopoty, i całuję Ojcu rękę, jako syn i rodak Polski“. Zresztą wszystkie te listy pisane są po polsku, a przysyłali też długie opisy wierszowane, także w polskim języku.

A zatem można być nie koniecznie obrządku łańskiego, lecz również unickiego z liturgią w języku staro-

słowiańskim — a jednak być Polakiem! Tak bywa do-
tychczas do dnia dzisiejszego i tak bywało też dawniej.
Po wyjaśnienie zajrzy czytelnik z powrotem na str. 44
niniejszej książki. Przodkowie ich przyjmowali chrzest
bizantyński i potem wraz z Bizancjum popadli w schyzmę.
Lachowie wracali następnie do polskiej Korony, ale pra-
wosławnymi, i dopiero później nawracali się do katolicy-
zmu, ale pozostali przy obrządku cerkiewnym. Tym tłu-
maczy się istnienie Polaków unijatów.

Tym się też tłumaczy odmienność charakteru. Ludność
ruska nie broniła katolickiej wiary aż do męczeństwa!
Sami tylko Polacy nastawiali pierś na rosyjskie strzały
za wiarę.

Najwięcej takich strzałów padło do ludu we wsi Pra-
tulinie. Trzynastu unitów oddało tam życie w r. 1874 za
wiarę św. Obecnie właśnie toczy się ich proces beatyfi-
kacyjny. Lecz w innych wsiach Podlasia i Chełmszczyzny
przeszło stu takich samych męczenników przypieczętowało
krwią własną wierność wierze św. Wiedzą o tym władze
kościelne i u nas i w Rzymie. Na wiosnę 1939 r. posta-
nowiono też przystąpić do wstępnej akcji beatyfikacyjnej
także w Drełowie, gdzie padło również dziesięciu mę-
czenników. W r. 1887 doszło do najokrutniejszych gwał-
tów w Przegalinie i w Rudnie; zaburzenia wybuchły także
w Łomarach i Polubiczach, a nigdzie nie brakło ofiar.

Odbywały się atoli rosyjskie misje z kazaniami i na-
hajkami także jeszcze w krainach z poprzedniego (1839)
prześladowania, bo i tam trwali „oporni”.

Godną szczególnej pamięci jest też wieś Niedźwiedzi-
ca w powiecie słuckim w gubernii mińskiej (a więc na
Białej Rusi), o kilka kilometrów od stacji Lachowicze kolei
żelaznej poleskiej, a przy szosie wiodącej z Brześcia do
Moskwy. Parafia obejmuje kilkanaście wsi, zaludnionych

osadnikami z Mazowsza jeszcze z czasów króla Jana Olbrachta; o polskim pochodzeniu świadczą takie nazwy wsi, jak Lachowicze, Mazurki itp. Dzieje męczeństwa tej parafii zaczynają się w r. 1866. Dookoła kasowano szereg parafii katolickich, kościoły zamieniano na cerkwie, a księży wywożono. Niedźwiedzicę zachowało sobie czynownictwo na ostatek. Najpierw postarano się o zmianę wójta, potem przysłano komisję rządową do nawracania. Ci rozkazali, żeby ludność wybrała dwóch delegatów, którzy by się porozumiewali z komisją. Na zachętę, żeby przejść na prawosławie, odparli delegaci w imieniu całej wsi: „Myśmy się naradzili tak: ciało nasze możecie wziąć, ale duszy swej w wasze łapy nie damy”. Zaczęło się prześladowanie, nakładanie ciężarów na gminę, ciągle nawiedziny żandarmów i rozmaite podstępny. Np. objeżdżano wioski i spisywano ludzi pod pozorem, że to rewizja spisu ludności; potem wezwano z kilku wsi starostów (sołtysów), ale takich tylko, którzy byli nie piśmienni i kazano im niby potwierdzić owe spisy przyłożeniem pieczęci. Mniemany spis był jednak prośbą o przyjęcie na prawosławie. Czynownictwu to wystarczało i Niedźwiedzica była uznana za prawosławną; proboszcza ks. Łazarewicza wywieziono, a sąsiednią parafię zawiadomiono, że pod ciężką odpowiedzialnością nie wolno Niedźwiedziczom przyjmować do kościołów i sakramentów.

Prześladowanie coraz gorsze, bo Niedźwiedzica ani myśli o prawosławiu. Jednego z owych delegatów, Kolańskiego, dostawiono gwałtem do popa w okolicy dalszej, w Cimkowiczach, na kurs nawrócenia. Kurs trwał 7 dni, a odbywał się w zamkniętej piwnicy o głodzie. Z trzech innych wsi niedźwiedzickiej dawnej parafii, z Horodyszcz, z Kuleniemów i z Jurzdyki wybrano 50 osób i wywieziono do Potapowicz do urzędu gminnego, gdzie zam-

kniętych w chlewie strzegł liczny zastęp policji i kozaków. Po dwóch dniach daremnych namów użyto nahajów i używano ich przez 5 dni. Gdy i tak nie zgadzali się na prawosławie, zagnano ich przed cerkiew prawosławną w pobliskim Podlesiu, popychając, tłukąc w plecy pięściami i waląc nahajkami. Lecz za nic nie chcieli wejść do cerkwi. Szewc Józef Anikej bity nahajkami upadł na ziemię, wówczas chwycono go za nogi i w ten sposób wciągnięto do cerkwi. Od straszego bicia skórę zdarto Piotrowi Andruszewiczowi.

Ostatecznie wtłoczono wszystkich do cerkwi. Odbyły się modlitwy i ceremonia przyjmowania na łono prawosławia. Ludzie wyrwali się płacząc i łkając, ale dwóch żołnierzy brało kolejno każdego pod rękę i przytrzymało, podczas gdy trzeci ciągnął w tył za włosy.

Po odbyciu tej misji uznano ich wszystkich, jako rzeczystych prawosławnych i odprawiono do domu.

Nieszczęśliwi postanowili jednomyślnie nie poddawać się gwałtowi i bronić się wedle możliwości.

Niebawem przysłano do Niedźwiedzicy całą setkę kozaków, którzy we dwa tygodnie ogłodzili całą wieś, a jakich nadużyć dopuszczali się w każdej chacie, trudno pisać. W takich warunkach zdołał jednak Kolasiński wyrwać się i uciec, a korzystając z przyjaźni dobrych ludzi po drodze, dotarł aż do Wilna do generał-gubernatora; Kozaków wycofano wprawdzie, ale wkrótce uwięziono na nowo Kolasińskiego z trzema braćmi i dwoma przyjaciółmi. W więzieniu w Słucku przebyli cały rok, trzymani w jednej celi w osiem osób (bo żona jednego z więźniów towarzyszyła mu dobrowolnie z dzieckiem); spędzali czas na wspólnej modlitwie i na śpiewaniu pieśni nabożnych. Na wszystkie namowy i groźby odpowiadali zawsze jednako: „Naznaczcie nam roboty, jakie chcecie, ale zostaw-

cie swobodę modlenia się, jak chcemy!“ Zmarł tam wycieńczony Stefan Kolasiński. Nie dopuszczono księdza na pogrzeb, a ojcu rodzonemu pozwolono ledwie stanąć nad grobem i krótko się pomodlić; przyprowadzono go pod silną strażą także z więzienia i zaraz po modlitwie na powrót do więzienia odstawiono. Znów nowi żandarmi i popi najeżdżają Niedźwiedzicę i próbują po swojemu „nawracać”, ale ówczesny starosta Karol Andosewicz odpowiada wciąż za wszystkich: „Ciało wasze, ale dusza moja“. Jednego z gospodarzy, Pawła Kiełbase, obito wtenczas różgami do krwi.

Nie dali się, ale co za życie mieli! Dla chrztów i ślubów udawano się zrazu do Nieświeża, do klasztoru Benedyktynek, dopóki istniał. Tam nie prowadzono ksiąg parafialnych i kapelan po odebraniu przysięgi, że zdradzonemu nie będzie, udzielał sakramentu, lecz metryk nie wydawał. Toteż policja pospieszyła rozpędzać nowo zaślubione pary, dopytując się o to, kto ślub dawał i gdzie metryka ślubna. Odpowiadano: „Połączyli nas rodzice nasi“. Dzieci nie chrzczono po dziesięć lat, a metryk prawnych nikt z młodszych nie posiadał. Do wojska więc brano wszystkich, nawet jedynaków. W wojsku chrzczono gwałtem na prawosławie, wciągano przemocą do cerkwi dla złożenia przysięgi. Do spowiedzi nie chodzono po lat kilka i kilkanaście. Groziło to zbyt wielkim niebezpieczeństwem. Za pogrzeby bez obecności popa wzywano na sąd, kazano płacić kary. Grzebać trzeba było tajnie.

Tak upłynęło lat całych dwadzieścia. Całą pociechą było, gdy kto przedostał się ukradkiem do kościoła łacińskiego, aż w sierpniu r. 1886 kazano ten kościół zamknąć. Dużo władza miała o to kłopotu. Kiedy organista zamknąwszy kościół, wyszedł na cmentarz, otoczyły go kobiety, obaliły na ziemię, i klucze odebrały. Czuwano

przy kościele przez całą noc i dzień następny; podzielono się na kolejki wygodnie, bo nadciągnęła też ludność ze wsi sąsiednich. Na próżno zjeżdżały komisje rozmaite, na próżno bito, krzywdzono, lżono, a czasem proszono; ludność wołała głośno, że kościoła nie odda. „Nigdy i za nic, raczej umrzemy“. A pozostała była w kościele jedna Hostia. Ksiądz rządowy zamierzał ją spożyć i prosił, żeby go wpuścić do kościoła, przedstawiając ludowi, że Hostia może ulec zepsuciu. Nic nie pomogło! Klucze przepadły, Trzeba by gwałtem wdrzeć się do kościoła (żeby go przerobić na prawosławny), ale tłum kilkudziesięcny zagradzał drogę. „Stał przed kościołem milczący, ale gotowy na wszystko, niezłomny w swej woli; drzemiąca potęga, którą każdy niebaczny akt gwałtu mógł pobudzić do czynów nieobliczalnych“. Dalsze aresztowania nie zdały się również na nic. Ileż o te klucze było jeszcze gwałtu i gwałtów! Wszystko na nic. I tak trwało to przez całych lat 19. Tajemnica kluczy nie dała się rozwiązać, żadne śledztwa policyjne nic nie wskórały.

Takim było życie w zaborze rosyjskim. Rząd zapędzał się coraz dalej i nie krył się w ogóle z tym, że prowadzi z całą świadomością celową walkę z całym Kościołem katolickim, już nawet bez względu na obrządek. Kiedy w r. 1884 uskarżał się metropolita mohilewski, ks. Gintowt, oświadczył mu rosyjski minister, że zarząd rzeczywisty diecezji katolickich należy do władz świeckich, a biskupi mogą tylko kontrolować samo ściśle religijne życie.

Nie doczekali się więc niczego lepszego dwaj męczennicy z poprzedniego pokolenia unitów, chociaż im Bóg dozwolił długo żyć. Ks. Andruszkiewicz mieszkał przez 42 lat w Zasławiu, ukryty przed światem, a wpatrzony w zaświaty. Wszystkie wspomnienia o nim świadczą, jako zmarł „śmiercią świętych“. Dokończył pielgrzymki ziem-

skiej w r. 1884, w tym samym czasie, kiedy ministerstwo petersburskie oświadczyło urzędowo, że chce Kościołem samo rządzić. Ks. Sołtanowicz, osiadły w Niżynie, przeżył go jeszcze o pięć lat.

Ale roku 1900 stało się coś dziwnego, co poruszyło wszystkich, którzy się o tym dowiedzieć mogli. A gruchnęła wieść wszechpotężnie i szła daleko. Oto w Niedźwiedzicy pewnego wieczora w r. 1900 odezwały się niespodzianie dzwony. Ale jak, i dlaczego, to już opowiemy w rozdziale przedostatnim, w 34; tu bowiem zanadto zapędziliśmy się naprzód i musimy się cofnąć, żeby się zrównać z opowiadaniem poprzednim.

33. SIŁA A PRAWO.

Ostatnie rozdziały nasuwały nieraz bolesne rozpamiętywania, jak bezprawie silniejsze nad słuszość przygniatać może całe pokolenia. Albowiem mieć po swojej stronie słuszość znaczy tyle tylko, co posiadać zdrowe ziarno; ażeby zaś słuszości towarzyszyło powodzenie, trzeba jeszcze wielu przymiotów, które by z ziarna zrobiły chleb. Lecz czemuż dobrzy nie mają być silniejsi od złych? Trzeba więc, by sprawiedliwość posiadała odpowiednią siłę. Mieliśmy zaś nieraz sposobność w tej książce stwierdzić, jak Polska dbała o moralność w polityce i wybijała się pośród narodów. Siłami swymi wzmagała siłę katolicyzmu i cywilizacji łacińskiej. Dając prawo pierwszeństwo przed siłą, uważała Polska tym bardziej za obowiązek, żeby sił własnych nabyć jak najwięcej, żeby móc oddać siłę na obronę prawa. Potem przestaliśmy niestety o tę siłę dbać, staliśmy się narodem słabym i państwem bez znaczenia. W końcu przestaliśmy nawet być państwem, a naszym prawom narodowym urągała siła obca. Doczekaliśmy się tego, że ów Bismark, wszechwładny minister pruski, oświadczył w parlamencie berlińskim głośno, publicznie, bez ogródek, nie krępując się żadnym wstydem, że on nie dba o niczyje prawa, bo u niego siła przed pra-

wem (Kraft vor Recht). Te trzy wyrazy weszły odtąd jakby w przysłowie w całej Europie.

Rozdział niniejszy obejmie czasy zwane „erą Bismarcka“. Deptał wszystko, co mu stało w drodze, a jednak trafił na coś, czego zgnieść nie zdołał, co okazało się silniejszym od niego. Ten fakt wzbudził zdumienie u współczesnych, a nam posłużył za naukę, na jakim mamy się opierać fundamencie. W erze Bismarcka chodziło o to, czy nasze moralne odradzenie się wytrzyma napór siły przeciwnej, czy się nie dały złamać. Wejdźmy więc pomiędzy zdarzenia i czyny owego pokolenia.

Zaraz po wybuchu powstania styczniowego powziął Bismarck postanowienie, żeby biskupstwa na ziemiach polskich obsadzać Niemcami. Zdarzyło się, że w tym samym właśnie roku 1863 zawakowała stolica arcybiskupia gnieźnieńska. Kandydatem rządowym był biskup moguncki Ketteler. O ile by chodziło o zalety osobiste, nikt nie mógł być godniejszym; ks. Ketteler zasłynął następnie jako twórca chrześcijańskiego ruchu społecznego, stał się filarem Kościoła i cywilizacji łacińskiej; o wartości zaś jego charakteru świadczy wymownie ten fakt, że obecnie toczy się jego proces beatyfikacyjny. Ale właśnie dlatego, że stał moralnie tak wysoko, odmówił, bo jego zdaniem, w Gnieźnie, na stolicy św. Wojciecha, powinien zasiadać Polak. Wtedy papież Pius IX okazał się szczególnym znawcą ludzi i zaproponował Ledóchowskiego, nuncjusza w Brukseli. Ten wcale się nie rwał do Poznania, ale gdy mu papież kazał, poddał się bez szemrania woli Stolicy Apostolskiej. Bismarck zaś zgodził się na niego, mniemając, że ten kandydat, Polski niemal nie znający, a stanowczy przeciwnik powstania, jest Polakiem tylko z rodu, ale nie z serca. Tylko na Ledóchowskiego przystawał Bismarck; inaczej Niemiec! Dwa lata ciągnęły się układy, bo ostrze-

gały Bismarka pruskie urzędy z Poznania, czy się nie myli co do kandydata. Kapituły zaś obie, gnieźnieńska i poznańska, nie chciały Ledóchowskiego w obawie, że nie będzie miał dość polskiego ducha. Trzeba było na kanoników wywierać nacisk z Rzymu, zanim ostatecznie w r. 1865 ks. Ledóchowski został naszym prymasem.

Bismarkowi pilno już było, żeby tę sprawę zakończyć, bo zajęty był przygotowaniem do wojny z Austrią. Chodziło o to, żeby Prusom zapewnić przodownictwo w Rzeszy Niemieckiej, żeby protestanckich Hohenzollernów wynieść ponad katolickich Habsburgów. Odkąd w r. 1863 (z racji powstania polskiego) miał zawarty z Rosją ścisły traktat, będąc pewny rosyjskiej życzliwości dla Prus, mógł uderzać śmiało. W r. 1866 zgniół Austrię w walnej bitwie pod Sadową i potem wyrzucił ją całkiem ze związku Rzeszy. Cesarz austriacki (od r. 1848) Franciszek Józef spieszył się zawrzeć pokój, bo poddani jego okazali się niepewnymi. Nauka nie poszła w las; w Wiedniu uznano wreszcie, że trzeba zmienić metodę rządów wobec ludów podległych berłu habsburskiemu, że lepiej może będzie uznać prawa narodowe, a siłę państwa oprzeć na prawie.

Nastąpiły skutkiem tego wielkie zmiany, dla nas korzystne, bo od r. 1867 Austria stała się nareszcie państwem na prawdę konstytucyjnym, a przy tym Habsburgowie zaczęli się starać o sympatię narodu polskiego. Znalazł się natenczas we Lwowie polityk na wielką miarę, hr. Agenor Gołuchowski. Był to drugi Wielopolski. Jak tamten w Petersburgu, tak ten w Wiedniu umiał zbierać zdobycze dla polskiego rozwoju narodowego; w tym atoli szczęśliwszy od tamtego, że w Galicji nikt nie urządził spisku przeciwko jego planom. Gołuchowski, zostawszy namiestnikiem w Galicji, wprowadził język polski, jako urzędowy, do szkół, sądów i urzędów; cała chmara nie-

mieckich urzędników musiała opuścić polską ziemię. Przywrócono polskość uniwersytetom w Krakowie i we Lwowie, a w r. 1873 powstała w Krakowie polska Akademia Umiejętności. Rząd uznał samorząd miejski i wiejski, który rozszerzano coraz bardziej. Od nauczyciela wiejskiego aż do namiestnika urzędowali sami tylko Polacy, pracujący dla przyszłej Polski gorliwie. Hasłem ich było, żeby podnieść kraj pod każdym względem. Bardzo zwracano uwagę na oświatę ludową. Pokazało się, że polskość, to nie sama szlachetczyzna tylko, co zresztą sama szlachta rozumiała doskonale. A gdy w narodzie przybywało światła, byliśmy już na dobrej drodze.

Rządaliśmy się w Galicji zupełnie sami, otrzymawszy autonomię. Niemieckiego urzędnika nigdzie ani na lekarstwo! Odczuwaliśmy ambicję narodową w tym, żeby pokazać, co potrafimy sami, o własnych siłach. Galicja stała się ostoją sprawy narodowej dla całej Polski i była nią do ostatniej chwili.

Nie doczekał tych lepszych czasów ks. Błaszyński w Sidzinie, porwany nagłą śmiercią w sam raz rok przed nadaniem konstytucji i swobód narodowych (1866 r.).

Zupełnie inny typ świętobliwości, uciekającej od świata, widziano w tych latach, 1869—1872 na Bielanych pod Krakowem. Można pan, Wiktor Ożarowski, ur. w r. 1799 w Małopolsce wschodniej, całe życie był pokutnikiem. Przyjąwszy w Rzymie święcenia kapłańskie, przeszedł w Polsce przez cztery zakony: Marianów, Jezuitów, Kapucynów, Misjonarzy, aż wreszcie w 70 roku życia wstąpił do Kamedułów, przyjmując imię Damiana. Podobno nikt tak się nie zdołał zapamiętywać w modlitwie, jak on. Sławny O. Prokop Leszczyński, Kapucyn, powiedział o nim, że to była „dusza najświętsza, jaką w życiu swym spotkał”. Pochowany w grobach zakonnych na Bielanych,

ukrytych przed światem podobnie, jak cały jego żywot. Nie za swoje pokutował on winy, lecz chciał uczynić Bogu zadość za winy swych przodków; ci zaś byli winowajcami nie prywatnego życia, lecz Ojczyzny. Magnacki to był ród, hetmański, który nie zawsze wnosił w życie publiczne cnotę obywatelską.

Czy ks. Ożarowski, czy ks. Błaszyński, czy ks. Kajsiewicz, wszyscy zmierzali do jednego celu, ofiarując swe życie na chwałę Boską i pożytek Ojczyzny. Każdy z nich działał inną metodą. Może tym szybciej dokonało się religijne odrodzenie narodu, ponieważ pracowano nad nim wszelkimi metodami, każdy według swych zdolności i możliwości.

Weźmyż pod uwagę czwarty jeszcze typ z owych lat: Bojanowskiego, założyciela pierwszych ochronek. Czyż będziemy działalność jego uważali za niższą, mniej zbożną? Niestety, wśród jego „Służebniczek” nastąpiło po 1863 r. rozbitcie i trzeba było je na nowo organizować.

W świątobliwości związanej z życiem publicznym przybył nam wielki pracownik nowy, bardzo wybitny. Działał podobnie, jak Bojanowski, w pruskim zaborze.

W r. 1869 wystąpił na publiczną widowień zacy, a wielce rozumny i świątobliwy ksiądz Radziejewski. Dopomagał staraniami i funduszami, by na Górnym Śląsku założyć pismo polskie i tak powstał „Katolik”, wydawany najpierw w Królewskiej Hucie, następnie w Mikołowie, potem w Bytomiu. Redaktorowie „Katolika” odsiadawali często pruskie więzienie i ks. Radziejewski również. Włożył on w to pismo polskie cały swój osobisty majątek. Dzielną pomocnicą stała mu się siostra, Ludwika Radziejewska, która do końca dni swoich na tym posterunku narodowym wytrwawszy, o niczym innym nigdy nie myślała, niczym innym nigdy nie była zajęta, jak pilnowa-

niem ładu i porządku w „Katoliku” w Bytomiu, aż wydawnictwo to stało się zamożnym. Ona zaś sama pozostała zawsze osobiście ubogą. Była gorliwą katoliczką, bogobojną i przejętą zapalem religijnym; wielka dusza w pełnym tego słowa znaczeniu. A tak skromna, usuwająca się w cień, i nie pragnąca, by się o niej mówiło, iż kto stosunków bliżej nie znał, mógł nawet nie wiedzieć o jej istnieniu. Księżdz brata przeniesiono na piaski brandenburskie, a w r. 1886 skazano go na całoroczne więzienie. Siostra wtedy jakby się zdwoiła duchem. Działała w administracji, w redakcji, w korespondencji, w buchalterii i w ogóle zarządzała wszystkim, a przy tym pozyskiwała do roboty narodowej inne panie i zakładała towarzystwa nowe, a pilnowała, żeby dawne nie upadały. „Katolik” stał się kierownikiem ruchu religijnego, narodowego i społecznego. Bez poświęceń i ofiar rodzeństwa Radziejewskich nie byłibyśmy odzyskali Górnego Śląska. Oboje pobożni i wciąż doskonalący się, wiodli żywot prawdziwie świątobliwy i w tej książce należy się im miejsce.

Tymczasem nastąpił dalszy triumf Bismarka, tym razem nad Francją. Tam po upadku Napoleona przywrócono królestwo, ale trwało ono tylko do r. 1848. Wtedy nastąpiła powtórnie republika. Prezydentem wybrano atoli Ludwika Napoleona, który był synowcem Napoleona I., owego „bożka wojny”. I stryj i synowiec zaczęli od republikanizmu! W r. 1852 synowiec zrobił się także cesarzem, jako Napoleon III. Spędziwszy na tronie lat 18, stał się we wrześniu 1871 r. jeńcem pruskim po klęsce pod Sedanem. Bismark pewny nadal życzliwości Rosji, zgniótlszy Habsburgów, zabrał się do Francji i rozgromił ją. Niemcy zabrały wtenczas Alzację i Lotaryngię, a król pruski ogłosił się cesarzem niemieckim. We Francji zaś przywrócono po raz trzeci republikę i ta trwa dotychczas.

Po wojnie francuskiej 1871 r. zrywa się w Prusiech istny huragan prześladowania polskości. Pospiesznie usuwano ostatnie resztki polszczyzny ze szkół i z niższych urzędów. Równocześnie zaczął się osławiony „kulturkampf” Bismarka. Była to otwarta wojna z Kościołem katolickim, z ostrzem zwróconym szczególnie przeciw prowincjom polskim. Rządowcy wołali, że kultura możliwa jest tylko w protestantyzmie. Chciał więc rząd zaszcześcić Kościołowi katolickiemu jak najwięcej z tej protestanckiej kultury tj., żeby księża byli sługami państwowymi we wszystkim, co rząd rozkaże, nie oglądając się na swych zwierzchników. W duchu pojęć protestanckich parafia stanowiłaby o jeden urząd państwowy więcej. Wołano na wszystkie strony, że katolicyzm jest sprzeczny z postępem, z kulturą w ogóle, że tedy zwalczając Kościół, podejmują „walkę o kulturę”. Nazwa ta została w historii, ale jako szydercza, na oznaczenie walk podejmowanych przez państwo z Kościołem. Wydano szereg ustaw, narzucających duchowieństwu rozmaite przepisy sprzeczne z prawem kanonicznym. Poddano je pod dozór policyjny, a zwłaszcza kazania. Bismark używał gwałtu, osadzał kapłanów po więzieniach, odbierał probostwa i próbował obsadzać je według własnego uznania, zupełnie jakby urzędy państwowe. Atoli na 800 kapłanów archidiecezji gnieźnieńsko-poznańskiej znalazło się zaledwie czterech posłusznych rządowi. Zamknął więc rząd pensje całemu polskiemu duchowieństwu, pozamykał parafie — i nic nie wskórał. Lud trzymał się dzielnie, tak dalece, iż wołał, iżby trupy leżały po tygodniu nie grzebane, niż ugiąć się. Szukał rząd „swoich” kandydatów na parafie, lecz ich nie znalazł. Władza duchowna po cichu poprzenosiła proboszczów na inne plebanie. Każdy wieśniak wiedział doskonale, kto jego proboszczem i gdzie jego szukać i nigdy się nie

zdarzyło, żeby kto zdradził. Starsze dzieci były gońcami, nosiły tajną pocztę itp. i ani razu żadne z nich nie wygadało się. A kiedy w r. 1874 uwięziono arcybiskupa Ledóchowskiego, nie stanęło mimo to ani jedno kółko w administracji kościelnej, bo już przedtem wszystko było umówione. Arcypasterz przebył dwa lata w więzieniu wojennym w Ostrowie, a pozbawiony przez rząd swej godności, zyskał wyższą. Wyjechał do Rzymu, gdzie w marcu 1875 r. Ojciec św. mianował go kardynałem.

Kulturkampf z największą zaciekleścią zwracał się przeciw zakonom; niektóre klasztory wielkopolskie przeniosły się wtenczas do Galicji. Między innymi postąpił tak klasztor Karmelitanek w Poznaniu, o czym wspominały osobno, ponieważ mieścił w sobie zakonnicę o wielkim szczeblu świętobliwości. Maria z Grocholskich Witoldowa Czartoryska, ur. 1833 r., wdowa, wstąpiła do poznańskich Karmelitanek w r. 1873, przybierając imię Marii Ksawery od Jezusa. Wygnane przez kulturkampf zakonnicze osiadły potem w Krakowie, gdzie na końcu ul. Łobzowskiej urządziły sobie nowy klasztor. Tam Maria Ksawera była mistrzynią nowicjatu, następnie przełożoną klasztoru. Znamienną wygłaszała zasadę: „Trzeba się uśmiechać, by wywołać uśmiech Boży”. Uchodziła już za życia za świętą, a wielkie zalety jej serca i umysłu jaśniały tym widoczniej, gdy spadło na nią kalectwo, które znosiła z chrześcijańskim prawdziwie heroizmem.

Fatalnie skrupił się ucisk katolicyzmu na Służebniczkach; urzędy pruskie zawzięły się, żeby je wytępić. Z powodu tej nadmiernej dokuczliwości nastał u nich okres rozproszenia, obosieczny dla zgromadzenia jeszcze nie ustalonego, nie związanego regułą jednolitą, dla zrzeszenia religijnego dopiero się tworzącego, które nie doszło jeszcze ani nawet do urzędowego zatwierdzenia przez Ko-

ściół. Według wszelkich ludzkich obliczeń i względów mogło się здаwać, że sprawa Służebniczek przypadła. Nie patrzył na ten przykry stan rzeczy świętobliwy Bojanowski, gdyż przeniósł się do lepszego żywota w r. 1871.

W następnym roku ubyła Kościołowi polskiemu i sprawie polskiej wielka postać ks. Kajsiewicza. Ostatnie lata życia spędził w ciągłych podróżach. Stany Zjednoczone, Kanada, Gdańsk i Paryż stawały się dla niego kolejno wielkimi pracowniami. W rzymskim nowicjacie studiowali natenczas teologię Kalinka, Zbyszewski i Smolikowski, którzy mieli niebawem rozślawić zakon i nadać mu nadzwyczajną powagę. W Rzymie też zastała śmierć ks. Kajsiewicza. Wygłosiwszy dnia 26 lutego 1872 r. wspomniał naukę „o szczęśliwej śmierci”, sam jej zaznał w kilka godzin tego samego dnia, tknięty na ulicy paraliżem, który szybko przeciął mu życie.

W sam raz tego samego roku poczyna się wysoki szczebel mistyki w świętobliwości Wandy Malczewskiej — jakby Opatrzność chciała wynagrodzić Polsce na drugiej szali, co jej na tamtej szali ubyło.

Przeniosła się w r. 1870 z krewnymi do Żytna, gdzie znalazła w proboszczu, ks. Tomaszu Olkowiczu, długoletniego, a doskonałego przewodnika duchownego. Zorganizowała tam rozległą działalność religijną, dobroczynną i oświatową. Stosunki z ludem wiejskim pociągały za sobą nieraz nieprzyjemności, a nawet przykre doświadczenia; ona zaś stawała się coraz wyrozumialszą, cierpliwszą. Od r. 1872 poczęła doznawać szczególnych łask Bożych, bo dar wyższej kontemplacji mistycznej, dar zachwycenia, a nawet prorocтва. „W zachwycie widziała Malczewska całą mękę Pana Jezusa i to w obecności wielu osób, a nieraz i policji rosyjskiej, która słysząc o nadzwyczajnych rzeczach, przychodziła do dworu i pilnie pannę

Wandę śledziła". Takie to tam były czasy! Pozostało też po niej wiele prorocत्व tyczących Kościoła i Polski.

Nie dziwi nas, że przepowiedziała odzyskanie niepodległości (bo każdy Polak święcie w to wierzył), ale ona przepowiedziała najazd bolszewicki i odparcie go. Innym razem ostrzegła ją Najświętsza Panna w widzeniu, że chociaż wolni już będziemy od wrogów zewnętrznych, gnębieni będziemy przez wewnętrznych, którzy rozpoczną walkę z katolicyzmem, a zaczną od szerzenia bezbożnictwa w szkołach, że będą usuwać krzyże ze ścian szkolnych i utrudniać naukę religii. „Jeżeli naród uwierzy temu i pozbedzie się wiary, straci przywróconą Ojczyznę... Nauka bez wiary nie zrodzi świętych, ani bohaterów narodowych. Zrodzi szkodników. Módl się o chrześcijańską szkołę”.

W dniu Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w r. 1873 objawiła jej Matka Boża, że dzień ten stanie się świętem narodowym, bo „w tym dniu odniesiecie świetne zwycięstwo nad wrogiem”. Spełniło się 15 VIII 1920 r. pod Radzyminem. Podobnie przepowiedziała potem w r. 1893 wymordowanie rosyjskiej rodziny carskiej przez własnych poddanych.

Jak widzimy, cała era kulturkampfu i cała Bismarkowska era siły przed prawem wypełnione były w Polsce wzrastającą coraz bardziej świątobliwością. Przeciwno sile fizycznej nabieraliśmy sił duchowych, moralnych. Cały naród mógł być wołać do wroga za Podlasiakami: Ciało masz, lecz duszy nie weźmiesz! Wzmóżona zaś dusza wyda z siebie z czasem przymioty inne także, potrzebne do skutecznej obrony ciała. Albowiem z fizycznej siły duchowa nigdy się nie zrodzi, lecz z duchowej mogą wyrósć także fizyczne, żeby prawu dodać siły.

W tych właśnie latach zaczyna się przejawiać wielka twórczość religijna, co okazało się w nowej serii zakonów

polskich. Pierwsze hasło wyszło od Marii Siedliskiej, o której była już mowa. Zwierzywszy się spowiednikowi swemu, O. Leandrowi zakonu kapucyńskiego, myślała coraz częściej o habicie zakonnicy, chociaż okoliczności życia zaliczyły ją do wielkiego, bogatego świata uciech. Ten kapucyn był jej pierwszym nauczycielem religii i został potem jej kierownikiem sumienia.

Zupełnie jakby równolegle ze wzmożonym życiem wewnętrznym, religijnym, wzmagał się też w młodej Marii Siedliskiej patriotyzm. Ważnym momentem stał się pobyt w Krakowie. Sama pisze o tym te słowa: „Najwięcej mię zajął kościół katedralny, gdzie są relikwie św. Stanisława biskupa i groby królów polskich. W Krakowie rozbudziło się we mnie uczucie miłości Ojczyzny, bo tam takie wszystko polskie; nawet muzyka wojskowa grała „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Chorowała kilka razy, a z każdej choroby wychodziła ze zwiększoną świątobliwością. Oddalała się od świata, a w 31 roku życia składała w kościele PP. Kanoniczek w Warszawie dnia 3 lipca 1873 śluby zakonne. Myślała o założeniu nowego zgromadzenia, na co przeznaczyła przypadający jej majątek. Miał to być zakon Najświętszej Rodziny z Nazaretu. Na miejsce domu macierzystego wybrała Lublin, lecz rząd rosyjski nie dopuścił. Wtedy zdecydowała się w r. 1875 przenieść do Rzymu i tam zakupiła dom (przy ul. Merulana), w którym miał się zorganizować zakon Nazaretanek. Łączyło się z tym wiele kłopotów i trudu, a nawet przykrości. Chorując dużo i tak dalece, iż miesiącami całymi nie mogła podnieść się z łóżka, nie byłaby sama podołała temu zadaniu, gdyby nie dzielne towarzyski: najpierw Eleonora Rembiszewska, a wkrótce potem trzy Lubowickie (Wanda, Laura i Felicja).

Równocześnie wracał do kraju z Syberii Józef Kalinowski. Po dziesięciu latach dzięki staraniom rodziny i osób wpływowych odzyskał wolność i wyjechał do Krakowa. Tam przebył trzy lata, bo książe Władysław Czartoryski uprosił go na nauczyciela swego syna, Augusta. Ten, urodzony w Paryżu w r. 1858, natenczas 16-letni, celował od dzieciństwa wielką bogobojnością, a pod przewodem Kalinowskiego pogłębiał ją i odczuwał coraz bardziej powołanie zakonne. Sam nauczyciel nie zapomniał ślubu swego z czasu niewoli i wiadomym było, że skoro tylko wywiąże się z obowiązków przyjętych wobec księcia, pójdzie szukać Karmelitów Bosych. Zwłoka trzechletnia nastąpiła, jakby sama Opatrzność go zatrzymała, by wpływem swym na młodego Augusta przysporzył Polsce jeszcze jednego świętego. Na razie młody Czartoryski poszedł w świetny wielki świat w stolicach europejskich, gdy dawny kapitan inżynierii jechał do Gracu w Styrii, żeby tam odbyć nowicjat, przy czym otrzymał imię zakonne Rafała. Śluby zakonne składał w r. 1878, po czym studia teologiczne odbywał jeszcze przez trzy lata w Raab na Węgrzech.

Gdy miał otrzymać święcenia kapłańskie, uprosił sobie, żeby to mogło nastąpić w Krakowie. Wyświęcał go w styczniu w 1882 r. biskup krakowski Albin Dunajewski, kapłan także niezwyklej świątobliwości, na którego również należałoby zwrócić uwagę, jako na posiadającego wszelkie dane, by uprosić Stolicę Apostolską, by był zaliczony pomiędzy świętych Pańskich. O dalszym zaś życiu O. Rafała trzeba powiedzieć, jako „wszystkim przyświecał przykładem cnót bohaterskich i światłą radą“. Przebywał w Polsce w klasztorze na Czerny (o cztery mile od Krakowa).

Ten rok 1882 pamiętny jest szczególną obfitością zdarzeń z naszego życia religijnego. Kiedy ks. Kalinowski

otrzymywał w Krakowie święcenia kapłańskie, powstawał pod Wawelem drugi Nazaret. Matce Siedliskiej powiodło się założyć klasztor w samym Krakowie i odtąd nowy zakon począł rozkwitać. W trzy lata potem udała się do Ameryki i szczęśliwą ręką otworzyła klasztor w Chicago. Ten stał się prawdziwie ziarnem gorczycznym, bo z niego wyszło sto dwadzieścia ochronek, szkół i szpitali. Mimo słabego zdrowia jeździła „mateczka“ Siedliska kilka razy do Ameryki. Przyjmowała do swego zgromadzenia postulantki wszystkich narodowości. Domy swe fundowała na całym świecie, choć oczywiście sercem często przebywała w Polsce i o nią najwięcej dbała.

Tegoż samego roku 1882 zaczęły się lepsze czasy dla Służebniczek. Rząd pruski nie zezwalał im zebrać się z rozproszenia na nowo w klasztor, pod pozorem, że zakonnice zupełnie nie są, a zajmują się jakąś agitacją ogólnopolską, skoro także w drugim państwie wyszukują sobie zajęcia. Chcąc istnieć, musiały ostatecznie rozdzielić się na poznańskie i galicyjskie. Wielkopolanki doznawały jednak nadal pruskich szykan, a urzędy wysilały się, żeby wymyślać dla nich uciążliwe formalności. Odetchnąć swobodniej można było tylko w zaborze austriackim. Tam też zorganizowały się Służebniczki na nowo, zakładając w r. 1882 główny swój dom w Dębicy (pomiędzy Krakowem a Tarnowem).

Tegoż r. 1882 został profesorem teologii pasterskiej w seminarium duchownym w Przemyślu ks. Bronisław Markiewicz, o którym była już raz mowa. Zostawszy proboszczem wiejskim, zajął się specjalnie zbieraniem opuszczonych dzieci w parafiach w Gaci i w Błażowej. Na profesurze zaś w Przemyślu wytrwał tylko cztery lata, gdyż ciągnęła go sława nowego zakonu we Włoszech, Salezjanów, poświęcających się właśnie wychowywaniu

młodzieży do zajęć głównie mieszczańskich. Ciągnęło go tam i nie spoczął, aż otrzymał pozwolenie i 1886 r. pojechał do Włoch. Należał tam do grona uczniów sławnego na cały świat ks. Bosko, dziś już kanonizowanego. Przebywał we Włoszech przez siedem lat, ucząc się praktyki salezjańskiej około dusz chłopięcych i około materialnego ich powodzenia, żeby każdy wychowanek miał na przyszłość chleb w rękę.

W rok po przyjeździe do Włoch, przebywając w nowicjacie w San Benigno Caravanesi, zetknął się tam ze świeżo przybyłym młodym rodakiem, księciem Augustem Czartoryskim. Z radością dowiadywał się o tym postanowieniu swego dawnego ucznia O. Rafała Kalinowski, pędzący świątobliwy żywot na Czerny. Młody Czartoryski natrafiał jednak na takie trudności co do swego przyjęcia do salezjańskiego nowicjatu, iż wypadło mu prosić samego Ojca św. papieża Leona XIII o wstawiennictwo u władz zakonu. Obawiano się, że książe może wprowadzić jakieś rozluźnienie w karność zakonną i nie dowierzano, żeby „książe-pan” miał na trwałe pokochać się w regule klasztornej. Jednakże książe odznaczał się cichością, nadzwyczajną pokorą i posłuszeństwem zakonnym, doprowadzonym do heroizmu, a pobożność jego była dla wszystkich budującą od samego początku. Cały nowicjat był dla niego pełen uznania, a zwłaszcza rodacy, których było tam około setki w Turynie. Ze szczególną bowiem szybkością ogarniał zakon salezjański wszystkie narody świata.

Wzmagał się ciągle nasz ruch religijny. W r. 1883 wracają Redemptoryści, a wracają oczywiście do austriackiego zaboru pod ochronę konstytucji i autonomii. W Mościskach pod Przemyślem zakładają małe seminarium, z którego miało wyjść odrodzenie zakonu.

Ten sam rok 1883 wzbogacił zapas polskich sił mo-

ralnych dwoma nowymi zakonami żeńskimi. Założycielem jednego z nich stał się mąż wielkiej świątobliwości, ks. Józef Pelczar. Ów niegdyś niedoszły powstaniec, był już profesorem wydziału teologicznego w Krakowie i wsławnym pisarzem, kiedy w roku 1883 zakładał w Krakowie „zgromadzenie Służebnic Najświętszego Serca Jezusowego”, zwanych krótko: Sercankami, a nawet Pelczarkami. Głównym ich zadaniem, piecza nad biednymi sługami i opuszczonymi chorymi po domach. W r. 1896 wystawił ks. Pelczar (wkładając w to zgromadzenie cały swój majątek) obszerny „dom macierzysty” z pięknym kościołem przy ulicy Garncarskiej w Krakowie. Kiedy wkrótce potem w r. 1899 został biskupem przemyskim, rozwinął nieustrudzoną działalność w seminarium, w ochronkach i szkołach, urządza kongres Mariański, odnawia kościoły, a przy tym wszystkim poświęca wiele czasu modlitwie. Nadzwyczaj energiczny, z wielką rzutkością i przedsiębiorczością, ale dziwnie spokojny, nadzwyczaj zrównoważony i tak miły w obcowaniu, że chyba w całej Polsce nie było milszego człowieka. Z dzieł jego doczekało się ośmiu wydań „Życie duchowne czyli doskonałość chrześcijańska”. Żył długo, lat 82, doczekawszy się 35 domów Sercanek w Polsce i we Francji.

Drugim zakonem z tego samego roku 1883 były Zmartwychwstanki, dzieło wdowy Celiny z Chludzińskich Borzęckiej. Urodzona r. 1833 na Litwie w Ontowilu, szlachcianka polska, bogata z rodu i po mężu, owdowiawszy 1874, usunęła się od świata i marzyła o życiu zakonnym. Kierownikiem jej duchownym stał się następnie sławny a świątobliwy Zmartwychwstaniec, ks. Semeneńko. Cenił go wysoko papież Pius IX i zlecał mu nieraz misje poufne. Również Leon XIII považał go nadzwyczajnie, tak iż „tylko względy politycznej natury powstrzymywały

go od wyniesienia Semeneńki do godności kardynalskiej“. Pod jego wpływem postanowiła Borzęcka powołać do życia zakon Zmartwychwstanek, zakon siostrzany, jak bywa u wszystkich nieomal zakonów. Pierwsza fundacja powstała w Rzymie w 1883 r., ale zanim zdołała się ustalić, nastąpił zgon ks. Semeneńki w r. 1886, a ciosu tego młode zgromadzenie nie wytrzymało; po większej części rozpierzchło się. Resztki podtrzymywali jednak kardynał Parocchi i prałat rzymski della Chiesa, później sży papież Benedykt XV. Kardynał oświadczył strapionej fundatorce i jej córce Jadwidze, która wraz z matką przywdziała habit zakonny, opinię swą w tych słowach: „Reguła wasza jest wspaniała i praca w parafiach jest bardzo na czasie“. Ci dwaj księżęta kościoła zajęli się Zmartwychwstankami i doprowadzili zgromadzenie do takiego stanu, iż w r. 1892 mogły już założyć sobie klasztor na ziemi polskiej, w Kętach.

Kiedy zaś August Czartoryski wstępował do Salezjanów, w tym samym r. 1887 powstają w Krakowie Albertyni. Było to dzieło Chmielowskiego, owego malarza, który w chłopięcym wieku wstąpił do powstańców, a potem szukał sobie miejsca na szerokim świecie, aż odnalazł je we własnym życiu wewnętrznym.

W r. 1880 próbował się w nowicjacie Jezuitów w Starejwsi, lecz nie poczuł się tam w swoim żywiole. Ciągnęło go coś, żeby wyłącznie poświęcić się nędzarzom. Został tercjarzem franciszkańskim, objechał polskie dwory na Podolu i Ukrainie, wreszcie znalazł się na swoim miejscu, gdy powróciwszy do Krakowa, postanowił żyć z nędzarami, by tym skuteczniej nimi się opiekować. Stało się to po naradzie z biskupem krakowskim, natenczas już kardynałem Dunajewskim. Chmielowski przybrał imię Alberta. Urządzał schroniska i o-

grzewalnie, najpierw w Krakowie, a następnie po miastach prowincjonalnych.

Tak odradzaliśmy się moralnie, kiedy Bismark rósł coraz bardziej w siłę, której dawał pierwszeństwo przed wszelkim prawem. Miarą jego znaczenia w Europie był kongres berliński w r. 1878. Dwa lata przedtem wybuchły powstania serbskie, czarnogórskie i bułgarskie przeciw panowaniu tureckiemu. Byli to Słowianie prawosławni, więc Rosja ruszyła im na pomoc w r. 1877, a takie miała powodzenie, iż stała się prawdziwą władczynią na półwyspie bałkańskim. Serbia i Bułgaria stawały się państwami zależnymi od Rosji pod każdym względem, a granice ich sięgały aż poza Adrianopol. Nadmierny wzrost potęgi rosyjskiej pobudził do sprzeciwu Anglię i Austrię, a gdy także Bismark do nich się przyłączył, car Aleksander II uważał za stosowne cofnąć się, chociaż miał już zawarty pokój z Turcją i sułtan przystał na wszystkie warunki rosyjskie. Zwołany do Berlina kongres pozmieniał granice państw bałkańskich korzystniej dla Turcji, pomniejszył znaczenie polityczne Rosji na Bałkanie, i nadto oddał Austrii w okupację dwie prowincje bałkańskie, oderwane od Turcji: Bośnię i Hercegowinę.

Przed Bismarkiem korzyli się wszyscy monarchowie; jeden tylko mocarz okazał się silniejszym od Bismarka: ten, który wojska wcale nie posiadał, Ojciec św. w Rzymie. Papięstwo dawno już przestało być państwem świeckim; zostało papieżom samo tylko miasto Rzym z okolicą, lecz i to utracili w r. 1871 na rzecz królestwa włoskiego. Ojciec św. nie wychodził odtąd z obejścia Watykanu, stał się „więźniem watykańskim“ i nastąpiły przykre stosunki z królestwem włoskim, załagodzone dopiero za następnymi dniami. A jednak przed tym więźniem musiał się Bismark cofnąć i zaprzestał swojego kulturkampfu, widząc,

że nie da rady i że na próżno zmusza połowę narodu niemieckiego do opozycji.

Dla nas kulturkampf wydał jeden dobry skutek polityczny, że zbliżył ogromnie Śląsk Górny do Wielkopolski. Prace ks. Radziejewskiego znajdowały też coraz więcej poparcia od rodaków Wielkopolan, a niebawem zainteresowała się także Małopolska losem Ślązaków pod pruskim panowaniem. Ludwika Radziejewska zajeżdżała coraz częściej do Krakowa.

Ale dla Polaków kulturkampf się nie kończył. W prowincjach polskich nie wycofywano się jeszcze i każdej chwili mogły urzędy powołać się na owe ustawy, ilekroć chciano przerwać działalność jakiego patriotycznego proboszcza. Prześladowanie narodu polskiego bowiem nie tylko nie umniejszało się w Prusiech, lecz jeszcze bardziej przybierało na sile:

W r. 1886 przeprowadził Bismark w sejmie pruskim wywłaszczanie polskich dóbr ziemskich, ażeby je parcelować dla sprowadzanych z Niemiec osadników. Ustawa ta obowiązywała już do końca. Co więcej, zakazano następnie Polakom stawiać po wsiach nowe domy mieszkalne. Doszło do takich wypadków, jak np. sławny „wóz Drzymały“, który kupił sobie od cyganów stary wóz mieszkalny na kołach i w tej budzie lata całe borykał się z pruską żandarmerią. Urządzano sobie mieszkania nawet w wydrążeniach ziemnych, po prostu w jamach.

Lecz mimo wszystko sprawa polska ruszała się i to swoją własną siłą. Pierwsze oznaki widziało się na Górnym Śląsku, gdzie na 20 lat przedtem nikt nie byłby o tym zamarzył.

Owoce prac i zabiegów rodzeństwa Radziejewskich poczęły okazywać się dobitniej od r. 1890. Dzielnego pozyskali pomocnika w Adamie Napieralskim, któremu po-

wierzono redakcję „Katolika“. Był to mąż niezmiernej pracy, ogromnie przedsiębiorczy i rzutki, a obdarzony wybitnym zmysłem politycznym i wielkim darem organizacyjnym. W r. 1890 urządzili górnośląską pierwszą gromadną wycieczkę religijno-narodową do Krakowa, zwanego nie próżno „małym Rzymem“. Śląscy nasi bracia przywykli byli, że duchowieństwo jest po większej części niemieckie, a wyższe duchowieństwo tylko niemieckie, cóż dopiero biskup wrocławski (w sam raz był germanizatorem), a tymczasem w Krakowie od ołtarza w kościele Franciszkanów przemówił do nich w stroju pontyfikalnym po raz pierwszy prawdziwy biskup polski i już desygnowany kardynał, ks. Dunajewski, a przemówił nie tylko po polsku, lecz i w duchu polskim. Już przy wejściu biskupa do świątyni rozrzewniające rozgrywały się sceny. A gdy z ust tego księcia Kościoła o postawie apostołskiej i apostołskiej wymowie padły słowa nigdy jeszcze przez ten lud biedny i opuszczony z takich ust nie słyszane, rozrzewnienie zamieniło się na uniesienie. Z głośnym płaczem rzucili się do nóg biskupa, całując jego szaty i ręce, błogosławiące ich już nie tylko na dalszą walkę życiową, lecz i narodową... A potem jeszcze „w kościele Dominikanów, braciom odzyskanym dla macierzy polskiej dawał do pocałowania głowę ich ściślejszego patrona, św. Jacka, ksiądz Ślązak, rodowity Raciborzanin O. Kruczek, sam płacząc z rozrzewnienia“.

Tak wkraczał Kraków w nowy okres świątobliwości, jakby Opatrzność wskrzeszała temu miastu czasy króla Kazimierza Jagiellończyka. W Krakowie była skarbnica uczuć narodowych, w Krakowie szkoła patriotyzmu i szkoła użyteczności dla narodu — czy nie dlatego, że w Krakowie grunt był najbardziej religijny? Wciąż narzuca się myśli spostrzeżenie, że nasze odrodzenie polityczne znalazło fundament w odrodzeniu religijnym.

Jeszcze jedno zgromadzenie zakonne i znowu w Krakowie: Dla kobiet bezdomnych i wykolejonych powstało pierwsze przytulisko także w Krakowie. To wielkie dobrodziejstwo spłynęło z przezacnych rąk Anny Lubańskiej (z Białej Podlaskiej), która w r. 1891 przywdziała wraz z siedmioma towarzyszkami habit albertyński. Jest to habit najgrubszy, najbardziej prostacki i najmniej „skrojony”, najpodobniejszy do worka habit szarobury. Mamy więc po malarzu Chmielowskim dwa zgromadzenia: Albertynów i Albertynki.

Podczas gdy Albertyni służyli z reguły nędzarzom dorosłym, inni specjalizowali się do chłopców nędzarzy. Zagaił to prawdziwie wielkie powołanie ks. Siemiaszko z Litwy, członek zakonu Misjonarzy na Kleparzu w Krakowie. Mężczyzna wielkiej postawy, siłacz, a łagodny, chodząca dobroć i zawsze próbujący najcierpliwiej załatwiać sprawę najpierw „po dobremu”, choćby z najkrnąbrniejszym chłopcem; lecz gdy nie widział innej rady, umiejący trafnie karcić i karać. Chodził po ulicach Krakowa w dużym kapeluszu z szerokimi skrzydłami i zbierał dzieci żebrzące — jak twierdził — do tego kapelusza, dodając, że to nie jego pomysł, lecz że tak robił św. Wincenty à Paulo. Kapłan pod każdym względem światobliwy, zawsze rozmodlony, doprowadził do tego, że z jego łowów za ulicznikami wyrósł duży zakład wychowawczy, z nauką kilku rzemiosł. Dwupiętrową kamienicę kupił za pieniądze „wymodlone”; potem dopomógł mu magistrat do wzniesienia budowli stosowniejszej.

Ks. Siemiaszko żył i działał na miejskim bruku; wkrótce miał rozpocząć swe prace ks. Markiewicz, pragnący zbierać wychowanków po wsiach i wychowywać ich na wsi. Praktykował u Salezjanów w tej myśli, żeby podobny zakon utworzyć w Polsce z uwzględnieniem polskich

stosunków. Wieś polska jest całkiem czymś innym od wsi włoskiej i ogólne podłoże społeczne wcale odmienne. W r. 1892 władza duchowna poruczyła mu obowiązki plebańskie w najnędniejszej wiosce z całej diecezji, w Miejscu, które potem obdarzono przydomkiem „Piastrów”. Kilka naście lichych chat, kościółek ubożuchny, a plebania w takim stanie, że z początku całe umeblowanie proboszcza składało się ze siennika, który się kładło prosto na podłogę. I tym siennikiem dzielił się z osieroconym chłopczyką, Franusiem. Franusiów przybywało, zgodził więc ks. Markiewicz szewca i krawca, żeby uczyli rzemiosł najpilniejszych. Po kilku latach miał całą setkę chłopców. Sprowadził tedy do Miejsca grono Polaków zakonu salezjańskiego z Włoch. Ci jednak opuścili go, nie chcąc słyszeć o żadnych odmianach w stosowaniu reguły. A kiedy znaleźli się nowi pomocnicy, już nie Salezianie, władza duchowna zakazała mu tworzyć zgromadzenie zakonne.

Nie gorszymy się tym, nie samym tylko Michalitom wydarzyło się coś takiego. Początki niejednego zakonu przechodzić musiały przez przykre nieraz doświadczenia, jakby przez lata próby. Władze duchowne mają rozmaite obowiązki, a wśród nich niepoślednie miejsce zajmuje... ostrożność. Trzymają się zaś te władze prawidła, że w ostrożności lepiej przesadzić, niż czego nie dopatrzeć. A zakon ks. Markiewicza nie przepadł i będzie tej rzeczy ciąg dalszy w następnym rozdziale.

Salezjanin zaś polski, świętobliwy uczeń świętobliwego O. Rafała Kalinowskiego, August Czartoryski, otrzymał święcenia kapłańskie w r. 1892, lecz cieszył się tą godnością rok jeden za ledwie. Zgasł w kwietniu 1893 r. w opinii świętości. Ciało jego przewieziono do grobów rodzinnych w Sieniawie.

A nad tym wszystkim unosiły się w spokoju modły dwóch znanych nam już świętobliwych mężów, wiodących przez te lata żywot na zewnątrz jednostajny. Ks. Reichenberg uważał, że malowanie obrazów religijnych stanowi dla niego miłą rozrywkę, szukał tedy umartwienia, poświęcenia. Poszedł do szpitalnej służby w Tarnopolu i tam przez dwadzieścia siedem lat pielęgnował chorych. Czasem sam dokonywał uleceń, nad którymi zdumiewali się lekarze. Wystawiwszy baraki, zaopatrywał nędzarzy Tarnopola i okolicy w posiłek, pieniądze, odzież i lekarstwa. Gorliwość jego i zapał nie zmniejszyły się wcale wobec niewdzięczności i grubijańskiego obchodzenia się z nim ubogich.

Na pielęgniarsza wyszedł też drugi Jezuita, znany nam już również O. Beyzym. Z razu nauczał w zakładzie wychowawczym jezuickim w Tarnopolu, następnie wyznaczono go na kierownika wielkiej lecznicy przy gimnazjum w Chyrowie (10 sal). Cichy, spokojny, a pod najłagodniejszą formą stanowczy, gdy trzeba, nadawał się doskonale na opiekuna chorych młodzieńców. Posiadał nadto tę zaletę, że umiał rozweselać chorych: zabawne opowiadanka sypały mu się, jak z rękawa. Pobożnością zaś odznaczał się w takim stopniu, iż poruczano mu nieraz przewodnictwo w rekolekcjach osób zakonnych. Młodzież chyrowiecka przepadała za nim.

Takie są dzieje i sprawy świętobliwe pokolenia polskiego „ery Bismarka“. Gromadził się w Polsce zapas sił do stoczenia walki z antychrześcijańskim hasłem o sile przed prawem. Zbieraliśmy w sobie siły na rzecz prawa. W ślad za siłą najwyższą, religijną, postępowały i rosły w nas inne duchowe siły w nauce, w literaturze, w sztuce, w szkolnictwie, tudzież w opiece społecznej śladami wielkich encyklik Leona XIII. Około r. 1890 Polska sta-

wała się już krajem świadomie katolickim, nie tylko ze chrztu i z nabożeństwa, lecz pragnąca ogarnąć moralnością katolicką wszystkie a wszystkie dziedziny życia.

Takimi nas zastał przełom dwóch stuleci: koniec XIX i początek XX-go.

34. NA PRZEŁOMIE WIEKÓW XIX i XX.

Przechodzimy do ostatniego pokolenia spędzającego życie w niewoli rozbiorów. Nie przerwała się żyzność gleby Pańskiej, a zbożne polskie zabiegi przenosiły się już daleko poza Polskę. Wchodziliśmy na nowo w powszechność, jak to bywało za dawniejszych czasów. Probiierzem tego są w Kościele misje zewnętrzne.

Wprowadziła nas na nowo w szeroki świat Maria Teresa Ledóchowska, siostrzenica więzionego przez Prusaków kardynała. Urodziła się w r. 1863 za granicą, lecz rodzice jej osiedli niebawem w Polsce, kupiwszy dobra ziemskie w Lipnicy Murowanej koło Bochni. Należała z rodu, z wychowania, z majątku do wielkiego świata, była damą dworu Wielkiej Księżnej Toskańskiej, podróżowała po całej Europie. W Londynie poznała kardynała Lavigerie, prymasa Afryki, wielkiego misjonarza i opiekuna murzynów (wówczas kwitnął jeszcze handel niewolnikami). Kardynał francuski odznaczył się potem założeniem zgromadzenia „Białych Braci“, misjonarzy wyłącznie dla Afryki. Ledóchowska zapragnęła być pożyteczną w „akcji murzyńskiej“, a wkrótce zdecydowała się poświęcić temu całkowicie, zwłaszcza gdy stryj pochwalił jej zamiar.

Obdarzona zdolnością literacką, zabrała się do propagandy misyj murzyńskich i wstąpiła do zarządu międzynarodowego towarzystwa przeciwniewolniczego. Pisywała artykuły i broszury w rozmaitych językach, nawet utwory sceniczne o treści zaczerpniętej z murzyńskiego niewolnictwa. W r. 1890 zaczęła wydawać własny polski drobny miesięcznik pt. „Echo z Afryki”, a w r. 1893 powzięła zamiar niemały, żeby założyć osobne stowarzyszenie pobożne dla misyj afrykańskich, które nazwała „Sodalicią św. Piotra Klawera”. Potwierdził je Leon XIII następnego roku, a stowarzyszenie ściągało liczne zwolenniczki i wyrósłszy ponad spodziewanie, zamieniło się w nowy zakon. W krótkim czasie powstały klasztory w Krakowie, w Wiedniu i Salzburgu, a „Echo z Afryki” zaczęło wychodzić w dziewięciu językach. W różnych krajach Europy urządzała wystawy misyjne, zjazdy, kongresy, zakładała koła „Związku mszalnego” dla Afryki, „Ligi dzieci dla Afryki”, tudzież „Chleba św. Antoniego dla Afryki”. Zebrała na murzynów 17 milionów franków francuskich (przedwojennych). Cała pochłonięta swym dziełem apostolskim „w najzupełniejszym zapomnieniu o sobie samej, nie żyła ani chwili dla siebie; jej myśli, jej modlitwy, uczucia, jej czynności, jej życie było najzupełniejszym wyzuciem i zaparciem się siebie, opuszczeniem, zapomnieniem, zaniedbaniem się; własne ja nie istniało w niej w żadnej jakiegokolwiek formie; istniał tylko Bóg i Jego służba”. Biskupi afrykańscy nadali jej tytuł „matki misyj afrykańskich”. Mieszkała stale w Rzymie, jako najwyższa przełożona swej sodalicii. Czynności jej i stosunki obejmowały cały świat, ale czuła się Polką i gdy przez niewiadomość zaliczano ją kiedy do jakiej innej narodowości, zawsze się zastrzegła, oświadczając wyraźnie: „Jestem Polką z krwi i kości”.

Śledząc drugą nową postać świątobliwą tego pokolenia, wypadnie nam z arystokratycznych pałaców wejść pod niską strzechę krawca wiejskiego, którego synem był ks. Aleksander Pawłowski.

Urodził się w r. 1865 w Dębowcu pod Jasłem na Podkarpaciu. Nędza w domu była „nie do opisania”; nawet krowy własnej nie mieli. Mały Oleś pasał krowy wujowi, za co czasem dostawali trochę mleka. „Mama nasza — opowiada siostra ks. Pawłowskiego — była taka biedna, iż do kościoła nieczęsto chodziła, bo nie miała w czym; ani obuwia nie miała, ani ubrania odpowiedniego. W dzień powszedni częściej poszła”. Ojciec rozpił się z rozpacz, gdy powódź zabrała mu cały majątek w płótnie, którym handlował. Wspomagał tę rodzinę, jak mógł, zacny proboszcz, ks. Kopestyński, i dzięki niemu dostał się chłopczyzna do gimnazjum w Jasle; pomagał też sam sobie udzielaniem lekcji. W lutym w r. 1887 objął posadę nauczyciela ludowego w Dębowcu, ale jesienią tego samego roku wstąpił do seminarium duchownego w Przemyślu. Wyświęcony w r. 1891, był przez osiem lat wikarym w Rokietnicy pod Przemyślem, pracując z iście apostołską gorliwością. „Zwłaszcza bardzo pięknie i podniosłe przygotowywał dziatwę do pierwszej Komunii św”. Był potem wikarym w sąsiednim Pruchniku, z obowiązkiem obsługiwania kościółka filialnego w Jodłówce. Tam miał zająć wysoko w Bogu.

Ubogim też był młodzian, który wpisał się do małego seminarium Redemptorystów w Mościskach w r. 1895, szesnastoletni Andrzej Bieda, syn wieśniaczy z okolicznej wioski Rządkowic. Od początku rozwijało się w nim silnie życie wewnętrzne. Uczył się łatwo, a rozumiał, że nauka może być także formą modlitwy. Jak świadczy jeden z ówczesnych kolegów Andrzeja, „charakterystyczną

cnotą było głębokie skupienie i duch modlitwy". Znamionowały go „niewinność serca, zapał, wraz z zamilowaniem do umartwienia". A był obok tego kolegą jak najmilszym, kochającym i kochanym przez wszystkich: „wprost podbijał serca kolegów swym jednostajnym a pogodnym humorem". Porwała go wcześniej gruźlica. Na łożu śmierci składał śluby zakonne, bo chciał umrzeć Redemptorystą. Umarł w r. 1898 w szpitalu we Lwowie, pochowany tamże na cmentarzu Janowskim. Dożył zaledwie 19 lat. Umarł w opinii świętości, a w zakonie Redemptorystów polecają się jego modlitwom. Andrzej Bieda „stał się rzeczywiście kamieniem węgielnym juwenatu czyli małego seminarium OO. Redemptorystów polskiej prowincji". Juwenat w Mościskach liczył w r. 1930 już 150 wychowanków, a okazały nowy gmach w Toruniu mieści ich 200.

W tym samym roku, kiedy Andrzej Bieda pukał do furty Redemptorystów w Mościskach, w r. 1895 poczyniała rozchodzić się sława, jako nie daleko stamtąd zsyła Bóg objawienia na służkę Swą wybraną, na wiejską służącą. Ogarnia nas wzruszenie na wiadomość, jako Maria Cieślanka, skazana od najmłodszych lat na zarabianie służbą, oddaje trzecią część swych zarobków na msze św. za dusze w czyśćcu cierpiące. Urodzona w r. 1855 w Siemichowie powiatu tarnowskiego, z niezamożnych włościan, spędzała następnie niemal całe życie w Faściszowej, wiosce parafii zakliczyńskiej. Przez wiele lat posiadała dar kontemplacji i miewała jakby objawienia o duszach czyśćcowych. Od 40 roku jej życia powtarzały się one regularnie co tydzień, nieraz nawet dwa razy na tydzień. Schodziły się do niej tłumy całe, nawet z dalszych stron, żeby się dowiedzieć od „Marysi" o losie zmarłych krewnych. Wyślano policję. „Żandarm, chcąc się przekonać, czy zachwyty nie są oszukaństwem, wbijał jej szpilki za paznokcie, lecz

ekstacyzka zupełnie na to nie reagowała". Wzywano ją przed sąd, potem badała ją komisja duchowna. Nie wykryto nic nagannego. Nakazano jej tylko zachowywać objawienia w tajemnicy, a zakazano udzielać wskazówek w sprawach czyśćcowych. Później ograniczenia te cofnięto.

Przybywało nowych czcigodnych sług Bożych, zanim starsi świątobliwi ustąpili z pola. Pierwsza odeszła do życia wiecznego Wanda Malczewska, w r. 1896, uznana przez opinię powszechną całej Polski za świętą; stało się to jakimś zbiorowym odruchem, od razu, bez jakiegokolwiek propagandy. Mateczka Siedliska radowała się z rozwoju Nazaretanek, które w r. 1892 osiedliły się w Paryżu, w Polsce zaś przybywały nowe klasztory we Lwowie, w Wadowicach i dalej coraz inne aż do Wilna. Tam działały jako „skrytki”, a działały wspaniale, nie dbając o żadne niebezpieczeństwo. Żyła świątobliwa Siedliska do r. 1902. Uważana już za życia za świętą, zyskiwała po śmierci i zyskuje coraz liczniejszych pobożnych czcicieli (proces beatyfikacyjny rozpoczęty).

W rok po niej odszedł po niebiańską nagrodę Jezuita ks. Reichenberg, wielki pielęgniarz w Tarnopolu, przeżywszy lat 78. Pogrzeb jego poruszył całe miasto i okolicę do nadzwyczajnej manifestacji wdzięczności, a która stała się manifestacją religijną, i niejednemu niedowiarkowi dała do myślenia. Pomnik na grobie wystawiła mu gmina miasta Tarnopola. I tak działał mąż świątobliwy nawet po śmierci i działa dotychczas, bywa bowiem przez nabożnych czcicieli wzywany o pośrednictwo przed tronem Bożym.

Nieco dłużej modlił się i rozmyślał w swym klasztorze w borze na Czerny O. Rafał Kalinowski. W r. 1906 został przeorem nowego klasztoru Karmelitów Bosych w Wadowicach, lecz rok zaledwie tam przebywał. Zgasł w li-

stopadzie r. 1907. Magistrat wadowicki wywiesił żałobną flagę na ratuszu, a „tłumy wiernych wszelkiego stanu cisnęły się do jego czcigodnych zwłok i w przeświadczeniu o jego świętości, całowały suknie, ręce, nogi, pocięrały o jego ciało obrazki, medaliki, koronki”. Ciało przewieziono na Czerną.

Obecnie toczą się w Rzymie procesy beatyfikacyjne obydwóch, nauczyciela i ucznia: Kalinowskiego i Czartoryskiego.

Długie życie danym było matce Borzęckiej. W r. 1896 wyjeżdżała śladem Zmartwychwstańców do Bułgarii i założyła tam dom misyjny, a w r. 1900 osiedlały się Zmartwychwstanki w Ameryce. Powstały też nowe klasztory w Warszawie i w Częstochowie. Dożyła 80 lat życia. Umarła w r. 1913 w Krakowie, lecz ciało sprowadzono do grobów zakonnych w Kętach, gdzie spoczywa obok swej córki Jadwigi.

To wszystko odbywało się drogą normalnego rozwoju, bez większych niespodzianek. Wielką niespodziankę gotował cichy, spokojny Jezuita O. Bezym, który wydawał się nie pragnący niczego więcej, jak żeby mógł po wakacjach w nowym roku szkolnym opowiadać znowu przeróżne historie swojej studenterii w Chyrowie. Można sobie wyobrazić osłupienie chłopców, gdy w r. 1898 po powrocie z wakacyj dowiedzieli się, że O. Bezym nie ma i już nie będzie, bo... pojechał na Madagaskar służyć trędowatym. „Przez lat 14 zamknął się wśród trędowatych, jakby w żywym grobie”. Życie jego tamtejsze znane jest z listów, pisywanych do Krakowa do redakcji „Misyj Katolickich”. Stosunek jego do trędowatych da się określić tylko tym jednym słowem, że pokochał ich! Ciągłe dziękował Bogu za to, że go odznaczył takim powołaniem. Zastawał schroniska, a raczej więzienia chorych, w stanie najopłakańszym zupełnego zaniedbania, a pozostawiał po

sobie wzorowe lecznice, z obsługą duchowną i lekarską, z zakonnicami pełnymi ofiarności, z kaplicami i biblioteczkami. Gdy sądził, że już może spokojnie pozostawić te zakłady swym następcom, zapragnął nowych trudów, gdzieby od fundamentów trzeba było wszystko urządzać. Prosił przełożonych, żeby go wysłali na Sachalin. Z Madagaskaru na Sachalin, z kraju ognia w kraj lodu! Ale nie mógł wyjechać, bo tymczasem zaraził się, sam zapadł na trąd i poszedł po nagrodę do nieba w r. 1912. Prawdziwy bohater! Kto zapoznał się bliżej z jego żywotem, podziwiać musi w nim szczególną harmonię cnót; około poświęcenia wyłaniają się pokora, wiara najgłębsza, uprawianie darów Ducha św. i zrozumienie wszystkich władz i właściwości człowieczych, rozważanych ze stanowiska nadprzyrodzonego. Rzadko kto przejrzał tak dobrze istotę człowieka i spraw ludzkich. Udoskonalony w świątobliwości nadzwyczajnej, będzie pośrednikiem w otrzymywaniu łask Bożych; podniesienie go na ołtarze przygotowuje się.

Unosiła się zaś nad tym pokoleniem dostojna postać księcia Kościoła polskiego, ks. arcybiskupa lwowskiego, Józefa Bilczewskiego. Ur. w r. 1860 w Wilanowicach w woj. krakowskim, gdzie ojciec jego był cieślą wiejskim i posiadał trochę roli; uczęszczał do gimnazjum w Wadowicach, teologię studiował w Krakowie i tam otrzymał święcenia kapłańskie w r. 1884. Poglębiał następnie swe nauki teologiczne w Wiedniu, w Paryżu i w Rzymie, poświęcając się przy tym ze szczególnym zamiłowaniem archeologii chrześcijańskiej. Wróciwszy do kraju, został profesorem wydziału teologicznego we Lwowie, a w r. 1900 zasiadł na stolicy arcybiskupiej. Jak największy nacisk kładł na wychowanie młodego pokolenia. Sławne są jego listy pasterskie, które wydano potem

w trzech tomach; tłumaczono je na obce języki. Umiał jednoczyć patriotyzm polski z poczuciem katolickim, jak rzadko kto i pozostanie pod tym względem na zawsze wzorem dostarczającym mądrej nauki. On to wyjednał u papieża Piusa X pozwolenie, żeby w kalendarzu katolickim oznaczyć święto Królowej Korony Polskiej, i to na dzień święta narodowego, na 3 maja.

Czym był ks. Bilczewski dla archidiecezji lwowskiej, niechaj mówią liczby: Za jego rządów podwoiła się ilość kapłanów, przybyło sześć nowych klasztorów męskich i siedem żeńskich, powstało 21 nowych parafij i 96 ekspozytur, kościołów zaś parafialnych i kaplic publicznych przybyło 328.

Wielka ta cyfra zwraca uwagę. Jak to? więc aż tyle kościołów w tej diecezji brakowało?

Sprawa ta ma za sobą ciekawą historię. Odkąd za Augusta II eparchie południowe przyjęły wreszcie także unię, przestano w tych prowincjach niemal zupełnie stawiać kościoły łacińskiego obrządku; wolano cerkwie, jako mogące teraz już służyć „i panu i chłopu”, bo już także katolickie. Szlachta ówczesna bardzo była ambitna co do wznoszenia domów Bożych, a na drewnianą cerkiew unicką każdego dziedzica było stać. Wynik był taki, że tam w każdej a każdej wsi powstała cerkiew, podczas gdy do łacińskiego kościoła trzeba jechać kilka mil, nawet kilkanaście. Praktyki religijne przeniosły się więc wszystkie do cerkwi; przed unickimi księżmi brano śluby, chrzczono dzieci. Było to wszystko z razu w najzupełniejszym porządku.

W połowie XIX w. wyłoniła się atoli kwestia narodowa. Widzieliśmy w życiorysie ks. Antoniewicza, jak to wszystko jedno było, czy po polsku czy po rusku, nawet Huculów uważało się za lud polski. Mijało to atoli, aż

w końcu minęło, a Rusini zaczęli uważać za swoich wszystkich, którzy byli chrzczeni po cerkwiach, tudzież ich potomków. Parochowie ruscy wiedli o te „dusze” spory z proboszczami łacińskimi nieraz gwałtowne i gorszące. Cerkiew zamieniała się na biuro ruskiej propagandy, i zanim nasi księża się spostrzegli, już tysiące i tysiące ludu polskiego i polskiej szlachty zagrodowej zruszczyło się. O ile ta rzecz dała się obliczyć, wyliczono, że do r. 1909 łowienie dusz „łacińskich” przez duchowieństwo ruskie objęło 30.740 osób.

Duchowieństwo łacińskie upominało się o swoje prawa; ale ksiądz łaciński, polski, był daleko, a pop ruski na miejscu. Jakimi zaś katolikami byli ci ruscy księża, widzieliśmy przy opisie spraw unii na Podlasiu i Chełmszczyźnie! Byli przyjaciółmi prawosławia, łatwo więc pojąc, jakimi byli nieprzyjaciółmi Polaków.

Ks. arcybiskup Bilczewski pragnął zaradzić tym rozterkom, a na to nie było innej rady, jak tylko ta, żeby Polakom było bliżej do kościoła i kapłana łacińskiego. Stąd ta gorliwość jego w mnożeniu parafii i kościołów. Niesposób było zebrać w niedługim stosunkowo czasie tyle kroci i kroci pieniędzy, ile by było potrzeba na pokrycie tak wielkich wydatków. Stawiał więc kaplice publiczne, gdzie nie starczyło na kościół; urządzał kościółki filialne, gdzie nie dało się założyć parafii, a gdzie nie dało się utrzymać duchowieństwa stałego, tam księża nasi dojeżdżają przynajmniej w pewne dni oznaczone z nabożeństwami i z praktyką Sakramentów św.

Oto są te sławne „kaplice ks. Bilczewskiego”! Oby się dalej mnożyły, oby z kaplic powstawały kościoły, a z ekspozytur i filij nowe parafie obrządku łacińskiego!

O prześladowanych w zaborze rosyjskim unitów dbali nadal sami tylko łacinnicy polscy. W r. 1900 zapanowała

wielka radość w okolicach Niedźwiedzicy, bo przyjechał potajemnie przebrany kapłan z Krakowa i we wsi Rusinowiczach przez dwa dni chrzczył, spowiadał, dawał śluby — po czym podążył w inną okolicę, „a za nim płynęły błogosławieństwa ludu i... policja”.

Niebawem potem pewnego wieczora odezwały się dzwony kościelne, po 15-letnim milczeniu. Dzwonikiem była stara Serafina, która zorganizowała na prędcę jakiś spisek, żeby zardzewiałe dzwony oczyścić i wysmarować. Chciała pożegnać podzwonny zmarłego właśnie stryja Jana Kielbasę — i starowina postawiła na swoim. Zjawiła się zaraz policja, bito nahajkami, lecz nic to nie pomogło. Odtąd dzwony kościelne stałe „żegnały wiernych obrońców, opuszczających na zawsze bohaterski posterunek”.

Niedźwiedziczanom zaproponowano w 1903 r., że dostaną pozwolenie na wybudowanie nowego kościoła, byle stary kościółek oddali na cerkiew. Podejrzawali, że to podejście, i nie dali. Dziewięciu wysłano na Sybir na trzy lata; nic nie pomogło. W następnym roku trzech jeszcze skazano na więzienie w Słucku, a potem na dwa lata zesłania. Wszystko na nic, kluczy nie ma!

Podczas gdy tak dalej krzatali się świątobliwi mężowie i świątobliwe niewiasty, każdy we swoim zakresie, od arcybiskupa do Serafiny, pilnując wspólnego celu, zaszedł fakt, który wstrząsnął wszystkimi, bo wstrząsnął całą Europą. W r. 1905 zaczęła się wielka rewolucja rosyjska, nieskończona dotychczas.

Do Niedźwiedzicy docierały wieści, że rząd rosyjski się chwieje, że nastają jakieś nowe czasy. Uważali, że może to być porą stosowną, żeby naprawić stary kościółek, grożący już rozwaleniem się. Pokryli dach słomą i podparli ściany. Pracowano nad tym trzy dni i trzy

noce, a stanęło do roboty dosłownie wszystko co żyło, starcy i dzieci płci obojga. Było to pod koniec sierpnia 1905 r. Trzeciego dnia zjawiają się władze powiatowe, potem gubernialne i aż dwie rotę wojska. Ludność modliła się spokojnie przed zamkniętymi drzwiami kościoła, żołnierze zestawili broń w kozły, a oficerowie nie wiedzieli, co począć, bo żadnego buntu nie widzieli. Aż 8 września z rana wojsko otacza kościół dookoła, a „sprawnik” powiatowy oznajmił, że z pomocą popa wyniesie Przenajświętszy Sakrament i sprzęty kościelne. Wśród tłumu zerwał się groźny pomruk. „Jednomyślnie postanowiono dać się zagrzebać pod gruzami kościoła, krwią go swą oblać, zginać najokropniejszą śmiercią — ale nie oddać, nie oddać!”

Wtedy przyjechali nagle dwaj kapłani, szanowani przez lud, ks. Harasimowicz z Klecka i ks. Wańkowicz z Darewa, łacinnicy — i lud uspokoił się od razu. Nie zawahali się zgromić publicznie „sprawnika”, któremu widocznie coś zależało na tym, żeby doprowadzić do rozlewu krwi. Podobnież zły wiatr zastali w biurach gubernatora, do którego na próżno jeździli, żeby cofnął wojsko. Pojechał więc ks. Harasimowicz aż do Petersburga i tam przez trzy tygodnie biegał po ministerstwach. Aż trzy tygodnie i jeszcze sprawy nie załatwili; widocznie ani tam nie brakowało ludzi o złych zamiarach. Sprawą zainteresowały się gazety petersburskie, a wszystkie oświadczyły się przeciwko urzędowi. Nareszcie kazano wycofać wojsko, a dnia 28 października 1905 r. car wydał „ukaz”, żeby kościółek niedźwiedzicki otworzyć dla kultu katolickiego.

Nie było to żadnym przywilejem dla Niedźwiedzicy, lecz wynikało z postanowienia ogólniejszego, jakie car powziął dla całego państwa. Otoczony rewolucją, wydał

manifest dnia 30 października 1905 r. Uznawał nietykalność osobistą, wolność zgromadzania i stowarzyszenia; zapowiedziano „dumę państwową” (sejm) z mocą prawodawczą, tudzież ogłoszono zupełną wolność wyznaniową. Wtedy ponad 200.000 unitów podlaskich przechodzi od razu na obrządek łaćski, żeby raz na zawsze zburzyć u siebie wszelki pomost do prawosławia.

W Niedźwiedzicy zaś, gdy pozwolono zdjąć pieczęcie i wejść do starego kościółka, lud, nie ufając urzędnikom, nie zrobił tego przy nich i dopiero gdy policja się usunęła, dali księdzu Harasimowiczowi otworzyć kościół. Dnia 20 listopada odbyło się pierwsze nabożeństwo, na które zjechała cała okolica, a ks. Wańkowicz obwołał z ambony, że „oto wszyscy obecni znajdują się na miejscu cudu. Bóg okazał widocznie łaskę swoją, Hostia św. w ołtarzu, z takim poświęceniem broniona, została znaleziona tak świeża i nietknięta czasem, jak gdyby wczoraj konsekrowana, a nie przed laty 19”. Na tym nabożeństwie nawet najbardziej zahartowani mężczyźni płakali, jak dzieci. „Tracono zmysły ze szczęścia, całowano ławki i ściany, tulono się do filarów, biorąc je w ramiona. I zerwała się burza płaczu, ale płaczu błogosławionego”. Wkrótce zaczęto zbierać składki na nowy kościół, duży i murowany.

Ogłoszona wolność religijna przejmowała radością wszystkie prowincje dawnej Polski — ale... rząd nie dotrzymał żadnego „manifestu”.

Po tej pierwszej rewolucji rosyjskiej 1905 r. założono w czerwcu 1906 r. w Kongresówce „Macierz Szkolną”. Zorganizowano ze składek (jakżeż naprawdę dobrowolnych!) przeszło 400 szkół ludowych, trzy seminaria nauczycielskie i kilka gimnazjów; obok tego 211 ochronek, sporo kursów dla dorosłych analfabetów, kilkanaście do-

mów ludowych z czytelniami, teatrami itp. Istniało to wszystko zaledwie półtora roku, zamknięte w grudniu 1907 r. jako „niebezpieczne dla idei państwowej rosyjskiej”. W r. 1909 zamknięto nawet Towarzystwo wpisów szkolnych, zbierające składki na opłaty szkolne dla niezamożnej młodzieży.

Dokładny spis szkół polskich parafialnych i średnich na Litwie i Rusi, zniszczonych w różnych czasach przez rząd rosyjski, sporządził trudem poszukiwań mozolnych a ścisłych śp. Giżycki. Spis ten obejmuje 589 pozycyji.

Świadectwem najlepszym, że na Rusi i Litwie mieszkają Polacy, było założenie „Oświaty” w Kijowie, stowarzyszenia, które otwarło mnóstwo szkół, czyteln i innych instytucyji oświatowych. Do r. 1909 zamknięto je wszystkie.

Nie zastosowano też wolności religijnej w zupełności, gdyż nie przywrócono, nie zwrócono ani jednego katolickiego klasztoru, a o zakładaniu nowych ani mowy nie było. Polski twórczy duch religijny ograniczonym pozostawał nadal na zabór austriacki, na tzw. Galicję. Tam nastał w tych latach świetny rozwój Albertynów, Michalitów i Felicjanek.

Brat Albert pozakładał przytuliska dla ubogich, starców, kalek, sierót, nieuleczalnych, w Krakowie, w Tarnowie, we Lwowie, w Sokalu, Przemyślu, Stanisławowie, Kielcach, Bruśnie, Monasterku, Zakopanem. Od czasów św. Franciszka z Assyżu nie widziano podobnego ubóstwa, jak je praktykują Albertyni i Albertynki. Dawne spory Bernardynów o ubóstwo, zreformowane ubóstwo Kapucynów lub Reformatów, to wszystko nic jeszcze w porównaniu z tym, co się widzi u Albertynów! Szczególny to zakon, bo w nim wyjątkowo kto jest kapłanem; sam „Brat Albert” nie próbował nawet studiów teologicznych.

Zmarł podczas wielkiej wojny powszechnej, w Krakowie, w r. 1916. Całe miasto wyległo na pogrzeb, a wszyscy mówili sobie: „umarł święty”. Proces beatyfikacyjny już rozpoczęto.

Ks. Markiewicza opuściliśmy w poprzednim rozdziale, gdy mu władza duchowna zakazała zakładać nowy zakon. Zakłada wtedy stowarzyszenie świeckie pod nazwą „Powściągliwość i Praca” i buduje wciąż a wciąż. Nie zabrakło jałmużny, składek, ani też osób zamożniejszych, składających większe ofiary. W Miejscu Piastowym powstała duża dzielnica, a złożona z gmachów niemałych; folwark, szkoły (nawet o zakresie gimnazjalnym, a także handlowe), warsztaty coraz liczniejsze, przybyła ślusarnia, introliigatornia, galanteria skórzana, wreszcie drukarnia i nawet księgarnia nakładowa. Znał ks. Markiewicz w tym swoim osiedlu każdy szczegół, wszystkim sam się interesował. Skąd brał na to czas? Doprawdy łaska Boża objawiała się nad nim w tym, że umiał za jeden dzień zrobić tyle, ile by drugi robił cały tydzień.

Zważmyż, że był także proboszczem; więc nabożeństwa, ambona, konfesjonał, odwiedzanie chorych i na przydatki kancelaria parafialna. Toteż sypiał ledwie po cztery godziny na dobę. Celował zaś bogobojnością tak dalece, iż „kapłani, krórzy go osobiście znali, wszyscy jednomyślnie nazywali go mężem na wskroś Bożym, świętym człowiekiem nie z tego świata”. Prawdziwie „można o nim powiedzieć, że całe jego życie było ciągłą modlitwą”. A przy tym był to niepospolity umysł, który „nie tracił z oczu ani na chwilę szerokich widnokręgów społecznych i religijnych Polski. Słowem i pismem przepowiada zbliżający się huragan wojny światowej, odbudowę Polski i nawołuje do wytężonej pracy religijnej, obyczajowej oraz społecznej, zwłaszcza nad wychowaniem młodzieży, by przy-

szłym wielkim zadaniom sprostali odrodzeni na duchu Polacy”.

Umarł 29 stycznia 1912 r. w wigilię niemal przepowiedanego „huraganu”. Rzecz dziwna, jak nagle po jego zgonie wszyscy stali się gorliwymi zwolennikami jego myśli! Wszyscy przyznali mu słuszność. Podejmowane przez jego uczniów na nowo starania o utworzenie specjalnego zakonu — popierano teraz i w końcu w r. 1921 Stolica Apostolska zatwierdziła zgromadzenie zakonne pod wezwaniem Archanioła Michała, od czego zowią się w skróceniu Michalitami. Dziś mają swe domy i rozległe dziedziny pracy w Miejscu Piastowym, w Pawlikowicach, w Berteszowie w woj. lwowskim, w Strudze pod Warszawą i w samej Warszawie, w Krakowie, we Lwowie i jeden na Litwie, w Działkowiczach; wychowanków razem mają przeszło 900. Przy grobie ks. Bronisława Markiewicza, pośród jego zakładów w Miejscu Piastowym, coraz więcej zdobywa się darów łaski Bożej, toteż starania o beatyfikację mają wszelkie dane za sobą.

Świetnym był rozwój najstarszego z polskich żeńskich klasztorów, Felicjanek, pod przewodem świątobliwej Magdaleny Borowskiej. W r. 1907 otrzymała ostateczne zatwierdzenie zakonu od Stolicy Apostolskiej, na cały już świat. Uprosiła też szczególny przywilej, że we wszystkich główniejszych domach Felicjanek na obydwóch półkulach odbywa się nieustanna wieczysta adoracja Najświętszego Sakramentu. Umiała też doskonale rządzić i gospodarować. Doprowadziła stan zakonu do siedmiu prowincyj, z czego w Europie dwie, a w Ameryce pięć; 203 klasztorów i 2209 siostr. Tak było w roku zgonu świątobliwej Borowskiej, w r. 1915. Utrzymywały zaś wówczas w Ameryce 150 polskich szkół parafialnych, a ile ochronek, schronisk, szpitali! Zmarła w Krakowie, pogrzebana w ka-

płicy przy kościele na Smoleńsku. Nad grobem jej zawisły wkrótce wota ofiarne i zapewne cześć jej wzrastać będzie, aż spowoduje podniesienie jej na ołtarze.

Zmarła — a za nią i brat Albert — już podczas tej wielkiej wojny, która miała nam przynieść niepodległość. Zanim to nastąpiło, Moskale i Niemcy wymyślali jeszcze nowe ciosy przeciw Polsce. W Rosji pozostawało to znów w związku ze sprawą unicką. Przypomnijmy sobie, jak Moskalom to zawadzało, że Chełmszczyzna stanowiła część Kongresówki; gdyby więc okoliczności zniewoliły rząd, żeby musiał nadać Kongresówce autonomię, chciano zawczasu oderwać Chełmszczyznę od polskich rządów. Nie mogli przetrwać w sobie, że tam 200.000 ludu przeszło na łaciństwo, a nie dawało się już prześladować obzrądku łacińskiego w samej Kongresówce. Od r. 1910 zaczęli przygotowywać grunt do tego zamachu, aż dokonali go w r. 1914, uszczupliwszy Kongresówkę o ziemię Chełmską, o tę dawną ziemię Lachów, gdzie według słów najstarszej kroniki ruskiej (Nestora) stały grody laskie „Czerwień i inne grody”. Chełmszczyzna jest bowiem prawdziwą „ziemią czerwieńską”, prastarą polską ziemią. Oderwanie jej („wydzielenie”, jak mówiono) trwało bardzo krótko i to tylko na papierze, gdyż w tym samym jeszcze roku 1914 wybuchła wielka wojna powszechna, — która miała przynieść nam niepodległość.

35. NIEPODLEGŁOŚĆ ODZYSKANA.

Gdyby w jednej osobie chcieć zebrać wszystko, co wojna powszechnaniosła, czym obarczała, jakiego wymagała hartu i co trzeba było mieć w sobie, w swym życiu wewnętrznym, żeby zmienne losy wojny wytrzymać i przetrzymać, żeby być nad wojnę silniejszym, będąc piastunem ideałów ogarniających czystą duszę; gdyby na przykładzie jednego człowieka chcieć wyrazić wiarę w Prawdę i w to, że wszelka prawda opiera się na nadprzyrodzonej, że religia jest wszelkiej prawdy w stosunkach ludzkich niezmożonym fundamentem; gdyby w postać istniejącego w rzeczywistości człowieka ująć Nadzieję, że ideały urzeczywistnić się dadzą, sprawiedliwość zatryumfuje, że nie będzie próżną pracą około sprawy polskiej, jako sprawy dobrej; gdyby w jedną parę źrenic ścisnąć moc wszystkich oczu wpatrzonych z utęsknieniem w przyszłość Ojczyzny; gdyby jednym imieniem wyrazić Miłość uosobioną, mistyczną ku Bogu, płomienną ku Ojczyźnie, a stałą i równą ku wszelkim obowiązkom, których wypełnianie nie dopuszcza ni wahań ni lęku; słowem: gdyby w jednej osobie zebrać wszystko, co w wielkiej wojnie było charakteru, siły ducha i gotowości do poświęceń, a zarazem nieustępliwości od katolickiego i polskiego pionu —

wskazałbym na osobę arcybiskupa lwowskiego, ks. Józefa Bilczewskiego.

Przetrwiał we Lwowie wszystkie okupacje i wojnę rusko-polską zawsze jednaki, jednakowo posągowy; prawdziwie z jednej urobiony bryły. Z nadmiernej obfitości grozy wojny długiej a straszliwej, największym przygnębieniem był mu napad tej Rusi; i w tym także był wyrazicielem nas wszystkich. Nigdy, ani w najgorszych przypadłościach wojny nie przestał diecezją rządzić naprawdę i kierować. Osobowość zaś miał tak potężną i z takim wpływem na umysły, iż napawał innych własnym duchem i budził wiarę, że tyle zła skończy się jednak na dobrem. Był to prawdziwie mąż Boży, który „nie umiera, ale żyje w Kościele, w dziełach, myślach i przykładach swoich“. Dodajmy, że tej świątobliwości towarzyszyła nadzwyczajna pracowitość, niosąca nieustanne plony nie tylko diecezji, lecz całemu społeczeństwu, narodowi i po odzyskanej niepodległości państwu. Pięć lat zaledwie cieszył się wskrzeszonym państwem polskim. Gdy w r. 1923 odszedł do źródła wszelkiego dobra po wieczny żywot, umierał w opinii świętości, a kult jego wytwarza się i zatacza coraz szersze kręgi.

Nie na świeczniku, lecz w zapadłej wiosce Jodłówce, czuł i myślał to samo, co jego arcypasterz, najskromniejszy z księży całej archidiecezji, znany nam już ks. Aleksander Pawłowski, wikary dojeżdżający do kościółka filialnego. Wierzy mocno w zwycięstwo polskiej sprawy i poleca Polskę opiece Najświętszej Panny Maryi Zwycięskiej (zwanej także Śnieżną). W zabitej od świata deskami Jodłówce jest Jej obraz w kapliczce na wzgórku. Lud okoliczny uważa go za cudowny, a ks. wikary raduje się, że modlitwy może przed nim zanosić o cud większy, cud nad całym narodem. Czyż marzył tam może o tym,

że runą wszystkie trzy cesarstwa zaborcze? A gdy uwieńczone zostaną jego zabiegi, żeby z Jodłówki zrobić osobną parafię i on sam zostanie tam pierwszym proboszczem, odda się cały jednej myśli, żeby ten cudowny obraz Zwycięskiej miał pomieszczenie godniejsze siebie. Nie spoczął, aż wystawił nowy kościół, większy, okazały.

Ks. Pawłowski nie ruszał się z Jodłówki. Krążył nieustannie wśród chat rozprószonych po wzgórzach, opiekując się wszystkimi i wszystkim, a wydając wszystkie swe dochody na kościół, na ubogich parafian i na książki. Wiódł życie zupełnie samotne, zaznając radości tyle, ile mu jej służyło z radosnych tajemnic różańca. Zmartwień zawsze było pełno. Nie ubył ich po odzyskaniu niepodległości, a — niestety i wstyd powiedzieć — przybyło przykrości osobistych, umyślnie mu wyrządzanych (przez młodszych z „Wyzwolenia“). Nic jednak nie zdołało go oderwać od umiłowanej Zwycięskiej. Pod Jej cudownym obrazem wzbudzał w sobie nie gasnący zapal do wszystkiego, co uważał za swój obowiązek, a z latami nakładał na siebie obowiązków coraz więcej. Kto tylko w parafii miał jakiś kłopot, biegł do proboszcza o radę i pomoc; choćby po pieniądzu. On zaś niepomny, że mu lat przybywa, pracował się. Msze św. binował (tj. odprawiał po dwie), wystarawszy się o to pozwolenie; dnie całe trawił na ambonie i w konfesjonale, pogrążony w obowiązkach plebańskich aż do zapomnienia się. Zestarzały, chory, przemęczony, upadł raz podczas spowiedzi na drzwiczki konfesjonalu, skąd wyniesiono go już na łożo śmierci. Łatwo zrozumieć, że uważają go za świętego, a Kościół zatwierdzi zapewne tę opinię.

Nie dostojnikiem też żadnym, lecz prostym gazdą góralskim był świątobliwy Piotr Borowy z Rabczyc na Orawie, wielki patriota polski. Kiedy po wojnie powszech-

nej radzono w Paryżu nad tym, jakie granice ma otrzymać Polska, Borowy jeździł tam z żądaniem, żeby Orawę i Spisz wcielić do Polski. Sławna była jego rozmowa z prezydentem Stanów zjednoczonych, Wilsonem, któremu potrzasał prawicą, żeby nie zapomniał o tej sprawie.

Urodził się Piotr Borowy w r. 1858. Mając lat 18, postanowił doskonalić się duchowo jak najbardziej i święcie tego dotrzymał. Nie wstępował do żadnego zakonu, ale wędrował od wsi do wsi, walcząc wymownie z zabobonami, z pijaństwem i rozpustą. Uważał się za ucznia ks. Błaszyńskiego z Sidziny. Utrzymywał się z kolportowania dziełek nabożnych i obrazków; miewał swój kram na odpustach i jarmarkach, sam czytał dużo i kształcił się nieustannie. Ułożył też kilka sztuk teatralnych, ludowych a religijnych, sam grywał główne role i urządził mały teatr wędrowny. A wszystko czynił zawsze w imię Boże i dla wyższych celów religijnych. Był to gorliwy świecki apostoł polskiej Orawy. Nie stronił od polityki, owszem uważał, że przy wyborach jest dużo sposobności do walki ze złem i do pouczenia współobywateli, jak trzeba politykę umoralniać. Kiedy chylił się już ku siedemdziesiątce i nie mógł już przemawiać publicznie, ani grywać w teatrze swoim, zaczął pisać. W siedemdziesiątym pierwszym roku życia nauczył się pisać na maszynie! Wtedy spisał najpierw „Naukę ks. Błaszyńskiego z Sidziny“; ułożył w tym dziełku wykład zasadniczych prawd wiary w formie katechizmu. Napisał następnie „Rozmyślania człowieka na sprawy Boskie“, „Siedem głównych grzechów“, „Zabobon“, „Złote myśli“, „Kazanie o krzyżu lewego łotra“ i najpiękniejszy ze swych utworów: „Sąd grzesznika sam nad sobą“. Nadto spisał „Mowy“, tj. 30 swych mów, wygłoszonych za przyłączeniem Spisza i Orawy do państwa polskiego. Miejmyż otuchę, że spełni

się w całej rozciągłości to życzenie świątobliwego gazdy. Ponieważ zaś pamięć jego czczona jest coraz bardziej, jako człowieka świętego, a cześć ta szerzy się wielce, będzie on zapewne uznany przez Kościół, jako patron Spisza i Orawy. Zmarł z początkiem roku 1932, licząc lat 74.

Widzimy jak o zwycięstwo sprawy narodowej zabiegały wszystkie stany, od wieśniaka do arystokratów. Na równi z gazdą i z wiejskim wikarym przejęła się też sprawą wznowionego państwa polskiego zamieszkała stale w Rzymie świątobliwa Maria Teresa Ledóchowska. Szczęśliwy to był dla niej dzień, gdy na wiadomość o zorganizowaniu niepodległego państwa polskiego, wywiesiła na swym domu klasztornym w Rzymie sztandar polski! Trzy lata zaledwie radowała się nową Polską, odchodząc do wieczności w r. 1921. Proces jej beatyfikacyjny wszczęty w r. 1929, rozwija się pomyślnie, a popierany jest przez wiernych rozmaitych narodów. Należy się uznanie jej pamięci z naszej strony za to, że nam przymnożyła cech uniwersalności. Oczywiście oczekują wyniesienia jej na ołtarze z największą niecierpliwością nawróceni murzyni. Nadeszła do Rzymu prośba o przyspieszenie beatyfikacji, wniesiona przez murzyńskie zakonnice Sodalitacji św. Klawera, powołane do pomocy misjom w prowincji Nyasa. Nazwały się „Ana a Maria Teresa“, co znaczy: córki Marii Teresy.

W iluż miejscach na świecie wywieszano polskie sztandary owej jesieni 1918 r.! Szeregując w myśli naszych świątobliwych, przerzucmy się z południowego wiecznego miasta do północnego miasta sztucznego, do Petersburga. Był tam kościół parafialny katolicki pod opieką arcybiskupstwa łacińskiego mohylewskiego, a pod wezwaniem św. Katarzyny, zwany zwyczajnie „kościółem

polskim". Od r. 1906 był tam proboszczem najzaciejszy ks. Konstanty Budkiewicz. Urodzony w r. 1867 ze starej polskiej szlachty w Witebszczyźnie, wyświęcony w r. 1893, był pasterzem jak najgorliwszym i pełnym chrześcijańskiego miłosierdzia. Podczas wojny był wiceprezesem polskiego „Komitetu pomocy ofiarom wojny“.

Ze wszystkich najcięższe stanowisko dostało się ks. Budkiewiczowi. Petersburg stał się na nowo ogniskiem najgorszej rewolucji. Socjalizm rosyjski stał się „maksymalnym“, tj. największym, najwięcej żądającym. Stąd po rosyjsku sam się nazwał bolszewizmem (bolsze znaczy więcej!); chce jak największego wszechstronnego i konsekwentnego zastosowania i to natychmiast, wszystkich pomysłów żydowskiego twórcy socjalizmu, Marksa. Gdy bolszewicy opanowali Rosję, nie zostawili kamienia na kamieniu nie tylko z państwa, ale ani ze społeczeństwa rosyjskiego. To samo chcieli zrobić z Polską i runęli na nas w r. 1920.

Odparcie najazdu bolszewickiego złączone jest z imieniem bohaterskiego ks. Skorupki, który będąc kapłanem wojskowym, siedł pod Radzyminem razem z żołnierzami i to w szeregu pierwszym, dzierżąc w rękę wysoko krzyż przed oczyma obrońców chrześcijaństwa, cywilizacji, Ojczyzny — i poległ.

Ks. Ignacy Skorupka, rodowity Warszawianin, urodził się dnia 31 lipca, 1893 r. W Warszawie uczęszczał do szkół i do seminarium duchownego, a następnie w Petersburgu do akademii duchownej. Świeceń kapłańskich udzielił mu arcybiskup mohilewski, ks. Cieplak w r. 1916. Był więc kapłanem zaledwie cztery lata. W tym krótkim czasie zażył dość rozmaitości i zebrał niemało doświadczenia. Kiedy podczas wielkiej wojny powszechnej rząd rosyjski ewakuował mnóstwo ludności polskiej z Kongre-

sówki dalej na wschód, powstawały wojenne osiedla polskie, nie chcące obywać się bez opieki religijnej. Młody ks. Skorupka był w dwóch miejscach takim wojennym proboszczem przygodnych kolonij polskich: w Bogorodku pod Moskwą i potem w Kilińcach w gubernii czernihowskiej, gdzie obowiązki jego pasterskie obejmowały duże koło o promieniu 50 klm. Po wojnie obrał sobie zawód nauczycielski i był katechetą czyli prefektem, najpierw w Łodzi. Następnie przez pewien czas był proboszczem w Ojrzanowie-Żelichowie, gdzie wypadki wojenne zniszczyły kościół i plebanię. Odbudowawszy je — wraca do młodzieży szkolnej, tym razem w rodzinnej Warszawie. Przyjmuje obowiązki katechety w dwóch szkołach, a obok tego otrzymuje przy ks. metropolicie arcybiskupie warszawskim stanowisko notariusza archiwisty, a nadto jeszcze spełnia obowiązki kapelana w Ognisku Rodziny Maryi.

Gdy wybuchła wojna z bolszewikami w r. 1920, objął ks. Skorupka stanowisko kapelana garnizonu na Pradze (przedmieście Warszawy). Był to kapelan godzien stanąć obok dawnych przewodników duchownych wojsk polskich z czasów Żółkiewskiego, Czarnieckiego, Sobieskiego. Dodał ducha żołnierzowi swą głęboką wiarą w zwycięstwo. Rozeszła się między wojskiem jego przepowiednia: „Najświętsza Panna, Królowa Korony Polskiej, nie dopuści, by naród polski miał zginąć. Ona modlitwą swą uzyska u Boga łaskę cudu. Nie minie 15 sierpnia, dzień Matki Boskiej Zielnej, a Polacy przestaną się czołgać i rozpoczną się dni zwycięstwa dla oręża polskiego“.

Dnia 14 sierpnia, w wigilię święta, znajdował się ks. Skorupka w okopach we wsi Ossowie i śpiewał „Serdeczna Matko” ze swymi żołnierzami i uczniami. Był to 2 batalion 36 pułku piechoty, batalion złożony przeważnie z młodzieży gimnazjalnej. Był tam katechetą i kapelanem

w jednej osobie. Nagle słycać hasło do szturm. Ksiądz zrywa się pierwszy, w stule na ramionach, w rękę wznosząc wysoko krzyż, a za nim jego gimnazjaliści. Upadł ranny od kuli, podźwignął się i choć widać było, że broczy krwią, biegł dalej wśród swego batalionu. Dostał drugą ranę, a ciężką, od bagnetu, a inny bolszewik strzaskał mu czaszkę kolbą. W biuletynie sztabu generalnego z 16 sierpnia ogłoszono, co następuje: „Ze szczególnym uznaniem należy podkreślić bohaterską śmierć ks. kapłana Ignacego Skorupki 8-ej dywizji piechoty, który w stule i z krzyżem w rękę przodował atakującym oddziałom“.

Takim był początek zwycięstwa pod Radzyminem. Wieczorem dopiero można było przewieźć zwłoki bohaterskiego kapłana do pobliskiej wioski i potem do Warszawy. Nie trzeba tłumaczyć, dlaczego pogrzeb jego stał się uroczystością, w której uczestniczyły wszystkie stany. Nie brak w stolicy modlitw pod jego wezwaniem, a zapewne też i w wojsku polskim pamięć jego pozostanie. Nikt by się nie zdziwił, gdyby zaczęto zbierać materiały do wstępnych czynności celem otrzymania beatyfikacji.

W Padwie w wielkiej bazylice św. Antoniego, w kaplicy zwanej polską, znajduje się mapa Polski, sporządzona ze spizu, z oznaczeniem dokładnym miejsc, na których rozegrała się owa bitwa, zwana ogólnie „warszawską“, bo to było pod Warszawą. Mapa ta ozdobiona jest dwoma medalionami, mianowicie Ojca św. Piusa XI, który był wówczas nuncjuszem w Polsce (a Warszawy nie opuścił), tudzież ks. Skorupki.

Odparci bolszewicy przypominali nam się jednak nieraz. Wszakże nie przestawali tępić katolicyzmu, a tym samym polskości; ileż zaś polskiej ludności pozostało w dawnych najdalszych wschodnich prowincjach królest-

wa polskiego, a które do wskrzeszonego nowego państwa nie należały! Pozostały poza naszą granicą wschodnią, i tym samym dostały się pod władzę bolszewików.

Z początkiem rządów bolszewickich ukrywał się przed zbirami proboszcz polskiego kościoła w Petersburgu, ks. Konstanty Budkiewicz, w przebraniu świeckim. Skoro atoli zarządzono jawne a bezwzględne prześladowanie Kościoła i grabienie kościołów, proboszcz stanął od razu publicznie na czele swych parafian i bronił wiary św. Schwytano go wraz z ks. Cieplakiem i 13 innymi kapłanami i osadzono w więzieniu.

Arcybiskup Cieplak pochodził z ziemi krakowskiej, ur. w r. 1857 w Dąbrowie Górniczej, gdzie ojciec jego był skromnym urzędnikiem kolejowym. Do gimnazjum uczęszczał w Kielcach i tam wstąpił do seminarium duchownego. Następnie został profesorem w katolickiej Akademii duchownej w Petersburgu i na tym stanowisku spędził lat 25, uprawiając przy tym bardzo skutecznie ciche misjonarstwo wśród katolików petersburskich, a więc głównie wśród Polaków i spotykając się na tym polu z działalnością ks. Budkiewicza, któremu dzielnie dopomagał. W grudniu 1908 r. został sufraganem arcybiskupa mohilewskiego. Sam arcybiskup był chory, cały więc zarząd diecezji spadł na barki ks. Cieplaka. A jest to diecezja największa na świecie: od wschodniej Białorusi aż do Oceanu Spokojnego. Odbył wizytację całego tego ogromu, aż po Sachalin. Dla polskich zesłańców sybirskich były to prawdziwie ojcowskie odwiedziny.

Z początkiem rewolucji rosyjskiej zdawało się wszystko zapowiadać dobrze, zwłaszcza gdy arcybiskupem mohilewskim został ks. Ropp, ale skoro tylko doszli do władzy bolszewicy, zaraz ks. Cieplaka aresztowano i wywieziono do Moskwy. W tym czasie otrzymał od Ojca św.

nominację na tytularnego arcybiskupa. Ks. Ropp był również w więzieniu. Nastąpiło straszne prześladowanie religii, a najbardziej katolickiej. W jednym liście tak pisał wówczas ks. Cieplak: „Życie nasze jest na włosku. A tak by się nie chciało kończyć jeszcze tej pielgrzymki! Żeby choć Polskę nową przed śmiercią móc zobaczyć!”

Na Boże Narodzenie 1922 wszystkie kościoły katolickie w Rosji były już zamknięte, a gdy arcybiskup protestował, został wtedy uwięziony wraz z ks. Budkiewiczem powtórnie i wywieziony do Moskwy. Było to dnia 4 marca 1923 r.

Przeprowadzono sławną komedię procesu, prowadzonego w taki sposób, że szły protesty od wszystkich rządów całej Europy i od przedstawicieli wszystkich wyznań chrześcijańskich. Poskutkowało to tylko o tyle, że arcybiskupowi zmieniono karę śmierci na więzienie, ale ks. Budkiewicza zamordowano w haniebnym sposób.

Dzięki ciągłym interwencjom dyplomatycznym pozwolono ks. Cieplakowi opuścić Rosję. Z jakimże zapalem witano go wszędzie w Polsce! Wkrótce wezwał go Ojciec św. do Rzymu, żeby mieć od niego samego informacje. Następnie udał się w podróż do Ameryki i będąc już na lądzie amerykańskim, otrzymał z początkiem listopada 1925 r. wiadomość, że Ojciec św. mianował go arcybiskupem wileńskim. A nie próżnował w Ameryce! Była to istna wizytacja kanoniczna Polonii amerykańskiej. Przemawiał nieraz (zwłaszcza w Chicago) po 50 razy na dzień! Całe trzy miesiące takiej pracy poderwały do reszty jego siły, osłabione już więzieniem, i niespodzianie przyszła choroba, której już przetrzymać nie zdołał. Zmarł w Nowym Jorku dnia 17 lutego 1926 r. W marcu 1926 r. sprowadzono zwłoki jego do Wilna i tam pogrzebiono w kościele katedralnym. Przed grobowcem wznoszą się

często modły wiernych o wstawiennictwo u Pana. Towarzyszowi zaś jego, ks. Budkiewiczowi należy się cześć, jako męczennikowi. Tego zdania jest też Rzym, gdzie studiują akta wstępne do beatyfikacji świątobliwego ks. Konstantego od św. Katarzyny.

Obok takich męczenników posiadała nowa Polska niepodległa innego świątobliwego męża, typu biegunowo odmiennego, cichego wyznawcę, który nigdy nie wyszedł na szerszy świat z ukrycia celi zakonnej. Takim był Franciszkanin, O. Wenanty Katarzyniec (1889—1921). Pochodził z włościan wsi Obydowa w Małopolsce wschodniej. Kształcił się na nauczyciela ludowego, lecz wnet po egzaminach poczuł powołanie zakonne i wstąpił do Franciszkanów we Lwowie 1908 r. Świecenia kapłańskie odebrał 1914 r. i początki wojny przebył jako wikary we franciszkańskiej parafii w Czyszkach pod Lwowem. Niebawem powołał go zakon na magistra nowicjuszków we Lwowie. Pozostawił po sobie u młodzieży zakonnej pamięć niezwykle bogobożności, połączonej ze słodyczą usposobienia i zachowania się. Pracował ponad siły, a był zdrowia słabego, toteż zgasł ledwie dożywszy wieku męskiego, w r. 1921 w 32 r. życia swego. Powiedziano o nim, jako „przeszedł przez życie niepostrzeżenie, znany tylko tym, przy których pracował”; lecz „z życia codziennego, przepojonego atmosferą wielkiej miłości ku Bogu, wytryska nimb jego wielkości, skupiający się w aureolę nad jego głową”. Polska prowincja zakonu Franciszkanów wszczęła starania o zaliczenie O. Wenantego w poczet błogosławionych.

Spośród świątobliwych starszego pokolenia weszły w okres odzyskanej niepodległości dwie niewiasty, księżna i wiejska służąca. Wiadoma nam już Cieślanka, orędowniczka dusz w czyścicu cierpiących, pod koniec życia

zamieszkała w Zakliczynie, obok klasztoru SS. Franciszkanek i tam zmarła 1923 r. Na pogrzeb stawił się tłumnie lud z oddalonych nawet wsi. Chociaż nie wszyscy wierzyli w jej objawienia, wszyscy jednak byli pełni czci dla niej; cześć to była powszechna, a wśród ludu pamięć jej jest żywa. Co do istoty objawień, wiadomo, że trzeba by wystarać się o badania przez władze kościelne i zastosować się do orzeczenia Kościoła.

O pięć lat przeżyła Cieślankę księżna Witoldowa Czartoryska, zmarła w swym krakowskim klasztorze w 1928 r. w wieku lat 95, pochowana na cmentarzu rakowickim. „Zaledwie zasnęła w Panu, a już rozchodzą się wieści o licznych łaskach, jakie wierni za jej wstawiennictwem wypraszą sobie u Boga” — zapisano w krótkce po jej pogrzebie.

Żeńskie zakony rozpowszechniają się coraz bardziej. A jak kwitną, przykładem Nazaretanki. Po odzyskaniu niepodległości, niekrępowane, powznosiły zakłady i szkoły, godne zwiedzania i specjalnych opisów, bo można się wiele nauczyć od tych dzielnych Służebnic Pańskich. W r. 1925 było już domów tego zakonu w Polsce 13, za granicą 5, a w Ameryce północnej 62! Przykład, jak własne państwo ożywia!

Miejmyż otuchę, że będzie się w tej naszej kochanej Polsce ożywiało wszystko, co dobre; ale też oby na uwiąd skazane było wszystko, co złe! Oby działały w naszym państwie te tylko siły, które je podnoszą; niechaj zaś bezsilnym okaże się wszystko, co by Polskę miało poniżyć i umniejszać jej poważania pośród narodów!

Oczywiście, że państwo polskie pojmujemy jako zrzeszenie uczciwości, jako twór moralny, a ponieważ jest katolickie, więc ma stosować się do etyki katolickiej, w której określona jest zarazem moralność cywilizacji

łacińskiej. Celem naszym: wprowadzić moralność do polityki, do każdej polityki, wewnętrznej i zewnętrznej, narodowej i międzynarodowej. Ale jakże mogłoby państwo polskie zrobić choćby krok jeden ku temu ideałowi, gdyby samo nie było moralnym?

Więc dysputować o to, co w życiu publicznym uznać za moralność, spierać się o to na każdym kroku? Niel dysputować wcale nie trzeba, bo w nauce katolickiej te rzeczy od dawna są przemyślane! Najkompetentniejszy w tej materii Polak, nasz Najprzewielebniejszy ks. Prymas August kardynał Hlond wyjaśnił nam to dokładnie, wydając drukiem naukę o tych zagadnieniach, pt. „O chrześcijańskie zasady życia państwowego”. Przytoczymy kilka zdań z tego pouczenia, dla katolików żadnym dysputom nie podlegającego. To są dla nas pewniki. Posłuchajmyż głosu najwyższego w Polsce pasterza:

„Katolicki obywatel, robotnik, urzędnik, oficer, żołnierz, poseł, senator, członek rządu, nie może mieć dwu sumień, katolickiego dla życia prywatnego, a niekatolickiego dla spraw publicznych“. „Przyrodzone prawo moralne i dekalog obowiązują państwo w tej samej mierze, co jednostkę i rodzinę... Państwo nie ma więc mocy uprawiania nieetycznych czynów, czyli zło nie staje się moralne i dozwolone przez to, że się go dopuszcza państwo, albo że się je popełnia z ramienia lub na rzecz państwa... Nie ma pod słońcem władzy, której by wolno było nakazywać podwładnym czyny przeciwne dekalogowi... Państwo nie stoi poza etyką, tak jak nie stoi ponad nią... Jeżeli nakazują zło, należy się od pełnienia go bezwarunkowo uchylać... Katolik nie powinien pod żadnym warunkiem być narzędziem grzechu i krzywdy... Tzw. silne rządy są uzasadnione i dobre, o ile są sprawiedliwe“, a „nakazem katolickiej karności obywatelskiej

jest posłuch dla sprawiedliwych praw i rozporządzeń państwowych“... „Jednostka ludzka istniała wpierw, niż państwo i posiada swe przyrodzone prawa“, woła nasz ks. Prymas i dodaje: „Nie można pogodzić z prawem przyrodzonym pewnych współczesnych dążeń do zupełnego podporządkowania obywateli celom państwowym, do wyznaczenia obywatelom jakiejś służebnej roli i do rozciągania zwierzchnictwa państwowego na wszystkie dziedziny życia. Regulowanie każdego ruchu obywateli, wtłaczanie w przepisy państwa każdego ich czynu, mechanizowanie obywateli w jakiejś globalnej i bezimiennej masie, sprzeczne jest z godnością człowieka i z interesem państwa, bo zabija w obywatelach zdrowe poczucie państwowe... Państwo nie jest antytezą jednostki, lecz uzupełnieniem jej prywatnego bytu“.

Każdy wie, że naród chcący mieć państwo niepodległe, musi posiadać siłę, a więc jak najsilniejszą armię, złożoną z oficerów i żołnierzy, gotowych się bić, gdy trzeba. Dla siły wojska narodowego trzeba ponieść niejedną ofiarę, bo armia musi być odpowiednio wyposażona, jeżeli ma być zdatna do boju. W państwowości, tj. w urzędzeniach państwowych, stoi tedy wojsko na pierwszym miejscu, jako główna rękojmia samego istnienia państwa. Chcąc zapewnić prawu pierwszeństwo przed siłą, musimy sami być silni. Toteż armią powinni interesować się wszyscy; wszystkie stany winny zwracać się ku niej z gotowością do usług.

Mężowie świątobliwi świecą w tym dobrym przykładem, a wszyscy księżęta Kościoła polskiego przepełnieni są stale dbałością o dobro armii. Na nich spoczęła troska główna o jej dobro moralne. Trzeba ją podnosić etycznie jak najwyżej, bo armia musi przede wszystkim sama być moralną, jeżeli ma dobrze służyć do moralnych celów.

Jak niegdyś opiekował się armią polską Skarga, podobnież za dni naszych odznaczył się w tym najbardziej biskup piński, Zygmunt Łoziński. Nikt, jak on, nie był bardziej powołany, by ułożyć nowoczesne „Nabożeństwo żołnierskie”. Niestety, żył zbyt krótko; ale i to, co w tej dziedzinie pozostawił, stanowi dla polskiego i katolickiego żołnierza istny skarb. Jest nim zaiste jego „List otwarty do korpusu oficerskiego w Pińsku” z dnia 23 marca 1930 r.

Potrzeba związku duchowego państwa z Kościołem wyrażana jest w tym „Liście” kilka razy; między innymi także tymi słowy: „Właśnie osoby wysokie urzędy piastujące mają podwójny tytuł osobisty, żeby oczekiwać od nas pomocy duchowej przez dobrą, pokorną modlitwę: 1-o dla odpowiedzialności wyjątkowej, jaka na nich ciąży, 2-o dla niebezpieczeństw, grożących duszy swej, bo kto stoi wysoko, ten łatwo dostaje zawrotu głowy”.

Przede wszystkim określone tam jest dobitnie stanowisko religijne: „Nie wierzę — pisze ks. biskup — w trwałą dyscyplinę i rzetelny honor oficera, który potrafi zapominać o czci, należnej Najwyższemu Panu Wszechrzeczy i łamać, zwłaszcza nałogowo i z jawnym cynizmem, przykazania Boskie lub kościelne”.

Żołnierz (od wodza do rekruta) winien spełniać przykazania kościelne, a więc nie stronić od nabożeństw. Pamiętać ma przy tym, że „msza św. i kazanie, to nie ceremonie zewnętrzne, mające na celu wyrzeć pewne wrażenie chwilowe. Msza św., to najświętsza ofiara samego Chrystusa; kazanie, to nauka życia chrześcijańskiego. Przerabiać je na pustą paradę, to czynić z nich komedię, co jest świętokradztwem albo graniczy z nim”. Nie wolno też wnosić do domu Bożego polityki stronnicej: „Opowiadanie się urzędowe ministrów służby Bożej za tym

czy tamtym politykiem w państwie, jest wnoszeniem polityki do Kościoła, wprzęgnięciem Kościoła do polityki, jest wytwarzaniem w łonie jednej rodziny Bożej dysonansów i rozłamu... Pomimo że ja i każdy ksiądz możemy mieć takie czy inne zapatrywania polityczne, nie możemy ich wciągać do swej pracy pasterskiej. Kapłaństwo ustanowił Chrystus Pan nie dla partyj, ale dla całej ludzkości i do nas, jako do kapłanów Chrystusowych, należy w sprawach polityki, tak jak we wszystkich innym, czuwać jedynie nad tym, ażeby żadna z nich nie sprzeciwiała się religii, aby każda liczyła się z prawem Bożym i czerpała natchnienie z Ducha Bożego. A w tym znowu nie możemy być krępowani ani siłą, ani krytyką, bo to jest teren naszego powołania, wyznaczony nam od Boga“.

Jak kapłanowi do Kościoła, podobnie nie wolno żołnierzowi wprowadzać polityki partyjnej do armii, żeby się nie narażali „na oskarżenie o politykowanie, tak samo niewłaściwe dla żołnierza, jak dla księdza lub o partyjność, która wam tym bardziej nie przystoi. Nie jesteście wojskiem ani partii ani człowieka, ale Ojczyzny, Rzeczypospolitej całej. Nie wolno wam pod grozą złamania przysięgi stawać się pretorianami“. I to zawsze trzeba pamiętać, że „można Polsce służyć tylko takimi środkami, jakie katechizm, nasz zwykły katechizm, nazywa uczciwymi i honorowymi“.

Wspaniałe a przemądre są tam ustępy o honorze oficerskim, poparte bardzo ciekawymi przykładami. „Honor polskiego wojska zależy na gorącym pragnieniu i staraniu, aby cnoty żołnierza chrześcijańskiego były właściwością zbrojnych szeregów Polski, aby rozwijały się, wzrastały i jaśniały... Honor wojska polskiego zależy na kulcie sprawiedliwości i prawdy. Powinien on mieć odrazę do wszelkiej nieuczciwości, krzywdy i fałszu... Umie on

w sobie wykryć i osądzić zło i nie broni go, ale stara się usunąć... Honor wreszcie polskiego wojska zależy nie na chępliwości, bucie, grożeniu siłą, ale na poważnej skromności, na delikatności uczuć, oraz na względności dla wszelkiej istoty słabszej i na odrzucie do wszelkiej łobuzerii. Dumą jego jest nie szabla ani ranga, ale możliwość służenia krajowi i wielkość (nade wszystko moralna) Ojczyzny“.

Czyż ten „List” nie powinien być obowiązkowo znany każdemu uczniowi szkół podchorążych? Może kiedyś tak będzie, bo autor jego, to wielka postać w polskim narodzie. Wszyscy czcili go już za życia, jako świętego. Biskup Łoziński umiał z każdej sprawy wykrzesać coś ze świętości. Z czymkolwiek miał do czynienia, wszystko podnosił i uczył innych patrzeć na rzeczy ze stanowiska nadprzyrodzonego. Panować nad sobą umiał doskonale, ale nigdy się nie zawahał mówić całej prawdy, choćby najwyższym dostojnikom. Kiedy zmarł w Pińsku w r. 1936, rozległo się żałobne echo po całej Polsce i wszędzie a wszędzie miano poczucie, że umarł święty. Słusznie też poczęto czynić dochodzenia wstępne do rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego. Byłby to obok ks. Skorupki drugi patron święty armii polskiej, czego młodzież łatwo może doczekać się.

Kończymy nasz przegląd Świętych w dziejach Polski, gdyż biskup Łoziński jest chronologicznie ostatnim, najmłodszym w tym świątobliwym pochodzie wieków na ziemiach polskich. Uważajmy to za dobrą zapowiedź, że zbiegiem okoliczności wypadło nam zakończyć książkę na państwie i armii; te dwie wielkie sprawy, dobrze pojęte, poprowadzą na długi a świetny ciąg dalszy nasze dzieci i wnuki!

Daj im, Boże, pracować w urządzeniach państwa katolickiego! My pragnący jednego tylko totalizmu, miano-

wicie etyki totalnej, poczuwamy się do obowiązku przyczynić się do tego, żeby Ojczyzna nasza, wytworzywszy państwo potężne, stanęła na czele prądu pragnącego wprowadzić moralność katolicką w życie publiczne. Prąd ten może być wyszydzany, prześladowany, nękanym, lecz nie ulęknie się niczego i nie spocznie, aż swego dopnie. To posłannictwo Polski! Więc z pomocą Bożą, a przy orędownictwie świętych polskich patronów, skupiajmy się pod tym hasłem!

INDEX ALFABETYCZNY

- Adam**, bernardyn 327.
Adrian II, papież 15.
Adelajda 23, 33.
Agnieszka 149, 180, 196.
Albrecht I. 200.
Albrecht, wójt krakowski 203.
Albrecht brandenburski 300, 303, 304, 305, 306, 309.
Aldona, żona Kaz. W. 205.
Aleksander III, papież 98.
Aleksander IV, " 147, 177.
Aleksander VI, " 294.
Aleksander VIII, " 197, 264.
Aleksander, król polski 271, 278, 294, 295, 296, 297.
Aleksander I, car 478, 479, 482, 483, 484, 485, 486, 488, 490, 491.
Aleksander II 588, 589, 590, 596, 649.
Aleksy, franciszkanin 310.
Aleksy, dominikanin 385.
Aleksy, car 399.
Alfons Ligouri św. 459.
Ambroży św. 226.
Andosewicz Karol 630.
Andrzej II 99, 100, 102, 103, 127, 128, 138.
Andrzej, biskup płocki 163.
Andrzej włodzimierski 207.
- Andrzej Bobola** św. 362, 379, 381, 387, 399, 403, 404, 409, 603.
Andrusewicz Piotr 629.
Andruszkiewicz Eliasz 528, 529, 530, 531, 586, 631.
Anna, księżna śląska 146, 147, 168.
Anna, księżniczka kaliska 181.
Anna Cylejska 228.
Anna, księżna mazowiecka 266.
Anna, król. czeska i węg. 303.
Anna Jagiellonka 337, 344, 354.
Anna, caryca 439.
Anikej Józef 629.
Antoniewicz Karol ks. 519, 558—560, 563, 564, 567—578, 579, 582, 663.
Antoniewicz Zofia 559.
Apraksin 453.
Auctus 292.
August II 428, 429, 430, 432, 433, 434, 438, 439, 441, 523, 577, 663.
August III 428, 439, 440, 444, 445, 472, 479.
- Baerensprung** 660.
Baldwin I. 69.
Baszyński ks. 585.

- Batory Stefan 337, 338, 339, 340, 341, 342, 343, 344, 345, 346, 359, 360, 388, 393, 426.
- Batory Krzysztof 342.
- Batorówna Gryzelda 342.
- Batu-chan 142, 143, 147.
- Bazyli Wielki św. 31.
- Bażeński Mikołaj 283.
- Bela III 99.
- Bela IV 135, 138, 178.
- Bem 608.
- Benedykt z Nursji, św. 31.
- Benedykt, kameduła 40.
- Benedykt, pustelnik św. 46.
- Benedykt, dominikanin 122, 123.
- Benedykt IX, papież 52.
- Benedykt XIV, papież 206, 295.
- Benedykt XV, papież 648.
- Benedykta, norbertanka 204.
- Beniowski Maurycy 613.
- Beregowicz ks. 599.
- Bernard z Clairvaux, św. 79, 226.
- Bernard, opat cysterski 139.
- Bernard, biskup halicki 212.
- Bernardyn z Sienny, św. 255, 258.
- Bernard z Frydku 348.
- Bernard z Wąbrzeźna 348, 349.
- Berndt 562.
- Bethlen Gabor 373.
- Beyzym Jan 602, 654, 661.
- Białecka Maria Kolumba 594.
- Białowieski Tadeusz 518.
- Bieda Andrzej 658, 659.
- Bieliński Franciszek 469.
- Biesiekierski Andrzej 421, 422.
- Biester 465.
- Bilczewski Józef 662, 663, 664, 667.
- Biliński 328, 329.
- Billewicz 534.
- Bismark Otto 587, 600, 601, 602, 633, 634, 635, 638, 639, 649, 650.
- Birkowski Fabian 362.
- Błaszyński Wojciech ks. 558, 579—582, 636, 637, 675.
- Błażewicz Arseni 544.
- Bobrjański 618.
- Bogna ze Szczepanowa 59.
- Bogumił 75, 76, 79—83, 106.
- Bogumiła 380.
- Bogusław, dominikanin 158.
- Bogusław X 296, 301.
- Bogusz, bernardyn 293.
- Bojanowski Edmund 584, 585, 595, 637, 641.
- Bolesław, książę czeski 20.
- Bolesław Wielki 26—28, 33, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 69, 71, 123, 295, 369, 416.
- Bolesław Pobożny, książę czeski 29, 30.
- Bolesław II 32.
- Bolesław Rudy 32.
- Bolesław Śmiały 52—54, 56—57, 59—62, 64, 78, 81, 162.
- Bolesław Krzywousty 66, 67, 69—77, 98, 110, 133, 139, 295.
- Bolesław Kędzierzawy 78, 80, 81.
- Bolesław Wstydlivy 130, 131, 134, 135, 140, 144, 150, 151, 153, 161, 163, 165, 174, 175, 178, 179, 184.
- Bolesław Pobożny, książę kaliński 163, 167, 171, 180, 181, 183, 184.
- Bolesław Trojdenowicz 207.
- Bona 302, 311, 319.
- Boner Izajasz 233—235, 237, 240, 241, 242, 249, 255, 261, 265, 272.
- Boner Florian 234.
- Bonerowa Bronisława 234.
- Bonifacy św. 10, 26, 31.
- Bonifacy VIII, papież 198, 200.

- Bonifacy IX, papież 225, 227.
 Borowska Maria Magdalena 593,
 612, 670.
 Borowy Piotr 674—676.
 Borzęcka Celina 647, 648, 661.
 Borzęcka Jadwiga 648.
 Borzywój 17, 20.
 Branicki Ksawery 452, 453, 456.
 Breindl 561, 562.
 Bronisława 117, 118, 145, 163,
 168, 499.
 Bronisława z Brzezia 234.
 Brudzewski Wojciech 290.
 Bruno św. 26, 41, 42, 43, 44, 45, 46.
 Brygida św. 226.
 Brzetyśław II 52, 197.
 Brzostkowski Paweł 468.
 Brzóska Stanisław ks. 610, 611.
 Budkiewicz Konstanty ks. 677,
 680, 681, 682.
 Bujalski 445.
 Bułhak 528, 529.
 Butrymowicz 464.
 Charczewski Rajmund 386.
 Chmielnicki Bohdan 393—400,
 405.
 Chmielowski Adam (Albert) 606,
 648, 652, 668, 671.
 Chmielowska Petronela 606.
 Chodkiewicz Karol 350, 357, 368.
 Chojecki Karol 613.
 Chołoniewski 502.
 Chotkowski ks. 626.
 Chreptowicz 469.
 Chyliński Rafał 434, 446.
 Ciechanowski 553.
 Ciecierski 613.
 Cieplak, arcybiskup 677, 680, 681.
 Cieślanka Maria 659, 682, 683,
 Coxe 465.
 Cyryl św. 13—15, 19, 26, 33, 34,
 Cyryl, mnich 19.
 Czacki Tadeusz 488.
 Czajkowski Michał 588.
 Czarniecki Stefan 397, 401, 402,
 405, 406, 414, 474, 678.
 Czartoryski Adam 488, 489, 510.
 Czartoryski August 644, 646,
 648, 653, 661.
 Czartoryski Władysław 644.
 Czech 6.
 Czesław Odrowąż 116—149, 172,
 199.
 Daniel, książę ruski 138, 139,
 143, 148, 152, 154, 155, 157,
 166, 190, 207.
 Daniel, król halicki 172.
 Darowska Marcelina 593, 594.
 Dąbrowski Henryk 477, 478.
 Dąbrowski Michał 534.
 Demęzki Makary 358, 362, 384.
 Deszpot Andrzej 518.
 Diaz Bartłomiej 298.
 Dioklecjan 95.
 Długosz Jan 228, 256, 265, 266,
 272, 274, 275, 276, 277, 279,
 280, 282, 361.
 Dobiesław z Kurozwęk 219, 220.
 Dominik św. 111, 112, 113, 114,
 115, 116.
 Doroszeńko 415.
 Drahomira 20.
 Drewicz 455, 456.
 Drzymała 650.
 Dubrawka 20, 22, 219.
 Dunajewski Albin 621, 644, 648,
 651.
 Dunin 517.
 Duński 510.
 Dwernicki 559.
 Dybowski Benedykt 613.
 Dymitr z Goraja 221.
 Dymitr, arcybiskup 224.
 Dymitr Samozw. 351, 357, 358.
 Dziubiński Seweryn 544, 545,
 546.

- Elżbieta, księżna wielkopolska 149, 171, 177, 180.
 Elżbieta, król. węgierska 204, 206, 209, 211.
 Elżbieta, król. polska 271, 278.
 Elżbieta, królowna polska 278.
 Elżbieta, żona Zygmunta Augusta 317.
 Emnilda 27.
 Eryk Zwycięski 23.
 Eufrozyna 196.
 Eugeniusz, papież 78.
- Falkowski Onufry** 546.
 Farler 188.
 Ferdynand austriacki 303.
 Ferdynand II 374.
 Ferdynand d'Este 562.
 Ferdynand I, cesarz austr. 563.
 Ficek ks. 577.
 Fiedor 351.
 Fiedor Romanow 418.
 Fiedorowicz Teodor 537.
 Filip II August 97.
 Firliej Mikołaj 304, 316.
 Florian św. 92—96.
 Florian, dominikanin 122, 123.
 Flotwell 583.
 Focjusz 15.
 Franciszek św. 111, 112, 113, 114, 177, 395, 668.
 Franciszek Ksawery św. 122, 321, 322, 379.
 Franciszek Salezy św. 436.
 Franciszek I. 481.
 Franciszek II 478.
 Franciszek Józef 635.
 Franko 64, 65.
 Frankowski 469.
 Frizl 464.
 Fryderyk Rudobrody 79, 81, 97.
 Fryderyk II 129, 130, 153.
 Fryderyk Jagiellończyk 271, 278, 291, 296.
- Fryderyk saski 300.
 Fryderyk, Król Zimowy 372, 375.
 Fryderyk Wilhelm 400, 403.
 Fryderyk I. pruski 430, 458.
 Fryderyk August 479.
 Frydrych 604.
- Gabriel z Grodzca** 381, 382.
 Gallus Martinus 106.
 Gasztołd 317.
 Gawryło 542.
 Gąsiorek Benedykt 538, 539.
 Gebhard 158.
 Gedeon 159.
 Gedko 82, 92, 96, 98.
 Gedroyć Michał 253, 254, 262, 266, 280, 286.
 Gedymin 205.
 Gejza 23, 33.
 Gerard, dominikanin 122, 123.
 Gerbert 33, 34, 36, 38.
 Gerhard 163.
 Gertruda, księżniczka śląska 103, 149.
 Gerwazy z Tilbury 97, 106.
 Gintowt 631.
 Giżycki 668.
 Gniewosz z Dalewic 216, 217, 220.
 Godlewski Wiktor 613.
 Godunow Borys 351, 357.
 Godyń, dominikanin, 122, 123.
 Golian Zygmunt 621.
 Gołuchowski Agenor 621, 635.
 Gonta 454, 472.
 Gotfryd z Buillonu 68.
 Górecki Antoni 507.
 Grodziecki Jan 370.
 Grodziecki Wacław 370.
 Grodziecki Andrzej 370, 374.
 Grodziecki Melchior 371, 372, 373.
 Gromeka 620.
 Grot Jan 206.

- Grzegorz V, papież 34.
 Grzegorz VII, " 55, 56.
 Grzegorz IX, " 130, 153,
 Grzegorz XV, " 322.
 Grzegorz XVI, " 168, 553.
 Grzymisława 99—102, 108, 122,
 131.
 Guidon z Lusignan 97.
 Gustaw Waza 303.
 Gustaw Adolf 363, 370, 374, 375,
 383.
 Gutenberg 290.
- Halicki** 534.
 Harasimowicz ks. 666, 667.
 Henryk II 39, 40, 41, 42, 45, 46, 47.
 Henryk IV 55, 56.
 Henryk V 69—71.
 Henryk, książę sandom. 76, 80.
 Henryk Brodaty 101, 103, 106,
 115, 128, 129, 130, 131,
 134, 149.
 Henryk, dominikanin 117.
 Henryk Morawczyk 121.
 Henryk II Pobożny 134, 144,
 146, 147.
 Henryk III 147, 179.
 Henryk Probus 179, 194, 195.
 Henryk VIII 333.
 Henryk Walezy 336.
 Henryk Hohenzollern 414, 456.
 Herman, dominikanin 117.
 Hevelius 424.
 Hieronim św. 436.
 Hlond August 684, 685.
 Hochfeld Krieg von 562.
 Honoriusz III, papież 128.
 Hołowiński 585.
 Hołubowicz Michał 548.
 Hołyński Otto 621.
 Hozjusz Stanisław 306, 312—
 316, 319, 320, 321, 322, 326,
 327, 328, 332, 338, 339.
 Hryniewiecki 534.
- Hube Józef 509, 510.
 Hübl Tadeusz 459.
 Hunyady Jan 252, 263, 264.
 Hus Jan 239, 241, 242.
- Idzi św.** 65, 66.
 Ignacy Lojola św. 321, 322.
 Ingwar Rurykowicz 100.
 Innocenty III, papież 126.
 Innocenty IV, " 153, 158,
 160, 162, 165, 231.
 Innocenty VIII, papież 286.
 Innocenty XI, pap. 279, 286, 425.
 Innocenty XII, papież 416.
 Iwan Groźny 326, 327, 338, 341,
 342, 344, 351.
 Iwo Odrowąż 116, 117, 118.
 Izaak, kameduła 40.
 Izasław 53.
- Jabłonowska Anna** 469.
Jabłonowski Stanisław 428.
Jacek Odrowąż św. 116—168,
 188, 199, 285, 651.
Jacobson Piotr 303.
Jadwiga, księżniczka kaliska 181,
 182, 183, 202, 206.
Jadwiga, królowa polska 212—
 231, 233, 236.
Jadwiga, królowna polska 278.
Jadwiga św. 103—105, 109, 146,
 149, 177, 179, 180, 182,
 185, 195.
Jagiello 215, 216, 217, 218, 220,
 221, 223, 224, 225, 227, 228,
 231, 232, 233, 236, 242, 244,
 245, 246, 247, 249, 250, 253.
- Jaksa z Miechowa** 110.
Jakub ze Żnina 77.
Jakub ze Skarzeszewa 158.
Jakub, opat 159.
Jakub Świnka 188, 198, 199.
Jakub Strepa 212, 225, 232, 233,
 236.

- Jakub, paulin, 278.
 Jakub de la Gardie 356.
 Jan VII, papież 16.
 Jan IX, " 18.
 Jan XII, " 23.
 Jan XXII, " 204, 206.
 Jan, kameduła 40.
 Jan Chrzyciciel św. 111.
 Jan Luksemburski 203, 208.
 Jan, dominikanin 208.
 Jan Kanty św. 242, 243, 249,
 250, 261, 265, 273, 279,
 280, 282.
 Jan z Dukli 249, 250, 262, 267,
 269, 281, 282, 284, 286, 396.
 Jan Kapistran św. 255—260, 263,
 264, 266, 267, 271.
 Jan Olbracht 271, 278, 285, 287,
 288, 290, 293, 294, 311, 325.
 Jan z Targowiska 272.
 Jan, bernardyn 293.
 Jan z Opatowa, bernardyn 294.
 Jan III Waza 344, 345.
 Jan Sarkander 371, 372, 374, 375.
 Jan Kazimierz 396, 397, 400, 401,
 403, 405, 406, 407, 439, 474.
 Jan Bosko św. 646.
 Jandowicz Marek, karmelita 450,
 —453, 456, 470, 473, 478.
 Janocha 562.
 Janocki 448.
 Jański Bohdan 504—515, 588.
 Janusz św. 134, 188, 189, 198,
 200, 201.
 Jarosław 46.
 Jaroszewicz Florian 437.
 Jaśniewicz Gwidon Bol. 432.
 Jasiński Paweł 264, 273, 276,
 277.
 Jędrzej Żórawek św. 45, 46, 63,
 250.
 Jełowiecki Aleksander 520.
 Jeremiasz prorok 16.
 Jerzy św. 261.
 Jerzy, bernardyn 294.
 Jezierski 469.
 Joanna d'Arc św. 347.
 Jolanta 168, 171, 180, 181, 182,
 183, 184, 185, 188, 194,
 195, 196, 199, 200.
 Jordan, biskup poznański 21, 22.
 Jordan, pułkownik 597.
 Józef Kalasanty św. 387.
 Józef Emanuel 445.
 Józef II 458.
 Judyta 64, 65, 66.
 Judyta Krakowianka 163, 167,
 499.
 Julian, dominikanin 141, 142.
Kaczanowski 510, 599.
 Kajsiewicz Hieronim 506—509,
 512, 513, 515, 519, 520,
 556, 572, 588, 590, 597,
 598, 599, 607, 609, 614,
 621, 637, 641.
 Kalikst IV, papież 46.
 Kallimach Filip 275.
 Kalinka 641.
 Kalinowski Rafał 596, 605, 606,
 614, 615, 644, 646, 653,
 660, 661.
 Kaliński 603, 618, 619.
 Kantemir 384, 385.
 Kapostas 462.
 Karłaszewski 492, 495.
 Karol Wielki 10, 11, 23.
 Karol Robert 201, 202, 204, 205,
 209.
 Karol IV 210.
 Karol VI 224.
 Karol VII 247, 248.
 Karol V 314.
 Karol Sudermański 347, 349, 359,
 363.
 Karol Gustaw 400, 402, 405,
 Karol XI 405.
 Karol XII 432, 433.

- Karol Lotaryński 420.
 Karpowicz 468.
 Karska Józefa 591—593, 594, 595.
 Katarzyna, żona Zygmunta Augusta 333, 334.
 Katarzyna Jagiellonka 344, 345, 354.
 Katarzyna II 447, 458, 471, 473, 477 491, 526.
 Katarzyniec Wenanty 682.
 Kazimierz Odnowiciel 51, 52.
 Kazimierz Sprawiedliwy 77, 81, 82, 83, 85, 88, 92, 93, 98, 99, 101, 110, 111, 151, 207.
 Kazimierz, książę kujawski 163.
 Kazimierz, książę łęczycki 165, 166, 197, 198.
 Kazimierz Wielki 205—211, 220, 226, 228, 234, 334, 412, 479.
 Kazimierz Jagiellończyk 251, 253, 256, 257, 260, 262, 263, 266, 269, 271, 272, 278, 281, 287, 288, 300, 336, 369, 412, 651.
 Kazimierz św. 271—286.
 Ketler 326.
 Ketteler 634.
 Kielbasa Paweł 630.
 Kielbasa Jan 665.
 Klara św. 150, 151.
 Klecl 372.
 Klemens II, papież 205.
 Klemens IV, " 178.
 Klemens VIII, " 279, 286, 319, 331.
 Klemens XI, papież 183.
 Klemens XII, " 286.
 Klemens XIII, " 107.
 Klemens z Rusczy 131, 150.
 Klemens Dworzak św. 456, 457, 459, 460, 470, 480 481.
 Klimek, dominikanin 122.
 Kochanowski Jan 342, 343, 344, 345.
 Kochański Adam 425.
 Kokoszka Stanisław 310.
 Kolasiński Stefan 628, 629, 630.
 Koloman 102, 138, 147, 182, 212, 276.
 Kolumb Krzysztof 298, 299.
 Komorowski 286.
 Konarski Stanisław 445, 461, 475.
 Kondratowicz 546.
 Koniecpolski Stanisław 383, 385.
 Konstanty 483, 486.
 Konrad III, król niemiecki 78, 79.
 Konrad Mazowiecki 126, 128, 129, 130, 131, 132, 137, 184, 185, 210.
 Konrad, dominikanin 208.
 Kopeć 473, 616.
 Kopernik 291.
 Kopestyński ks. 658.
 Kordecki 401.
 Korwin Maciej 264, 272, 273, 274, 276, 277, 280, 287.
 Koryga 562.
 Kostka Jan 328, 329.
 Kostka Paweł 328, 329.
 Kościuszko Tadeusz 469, 471, 473, 475, 477, 478, 482, 483, 484, 485.
 Koźmian Jan 504.
 Krasiński Adam 450.
 Kreczownikow 454.
 Kriz 373.
 Król Marcin 290.
 Krommer Marcin 316.
 Krosnowski 399.
 Kruczek ks. 651.
 Kruk 67, 71, 81.
 Krystyn, kameduła 40.
 Krystyn 126.
 Krystyn, biskup 166.
 Krystyna, król. szwedzka 383.
 Krzyżan 29.
 Kulezycki Jerzy 420.
 Kulski 605.

- Kuncewicz Jozafat św. 360, 363,
 377, 378, 379, 534.
 Kunegunda św. 135, 140, 144,
 150, 151, 161, 163, 168, 171,
 175, 178, 182, 184, 185, 190,
 195, 196, 197, 226.
 Kunegunda, królowa czeska 178,
 180.
 Kurski Maciej 401, 425.
 Kuziemski 618, 619, 621.
- L**ambert 61, 65, 161.
 Laskaris 446.
 Laskarz 240, 242.
 Lasocki Mikołaj 245.
 Laterna Jan 437.
 Laurysiewicz ks. 599.
 Lavigerie, kardynał 656.
 Lech 6.
 Ledóchowski Mieczysław 603,
 634, 635, 640.
 Ledóchowska Maria Teresa 656,
 676.
 Lelewel 515.
 Leon III, papież 10.
 Leon X, " 286.
 Leon XII, " 200.
 Leon XIII, " 616, 646, 647,
 654, 657.
 Leonard, kapucyn 643.
 Leopold habsburski 215.
 Leopold I 403, 422, 427.
 Leszek Biały 99, 100, 101, 102,
 103, 108, 122, 126, 128,
 129, 138, 139, 151.
 Leszek Czarny 185, 189, 194.
 Leszczyński Stanisław 433, 435,
 436, 437, 439, 440, 442,
 444, 445, 449, 475, 494.
 Leszczyńska Maria 434, 435, 438,
 439, 440.
 Leszczyński Prokop 636.
 Lew, książę halicki 189, 190, 191.
 Lew II 207.
- Lewandowski ks. 610, 611.
 Leżansky hr. 562.
 Lisowski 374.
 Lissowski Herakliusz 479, 492.
 Lobkowic 375.
 Loserth 562.
 Lubańska Anna 652.
 Lubomirski Stanisław 368, 376,
 387.
 Lubomirski Jerzy 401, 407.
 Lubowicka Wanda 643.
 Lubowicka Laura 643.
 Lubowicka Felicja 643.
 Lucjusz III, papież 93.
 Ludmiła św. 17, 20, 26.
 Ludwik, król niemiecki 12, 15, 16.
 Ludwik VII 79.
 Ludwik św. 153.
 Ludwik węgierski 209, 211, 212,
 213, 214, 216, 225, 226,
 228, 230.
 Ludwik z Warki 292.
 Ludwik Jagiellończyk 301, 303,
 305, 306.
 Ludwik XIV 414.
 Ludwik XV 435, 438.
 Ludwik XVI 476.
 Ludwina 380.
 Luter Marcin 304, 305.
- Ł**adysław z Gielniowa 249, 255,
 268, 284, 296, 287, 291,
 293, 295, 325.
 Łaski Jan 295—297, 300, 302,
 303, 305, 444.
 Łazarewicz ks. 628.
 Łoziński Zygmunt 686, 688.
 Łubieński, biskup 538, 602—603.
 Łubieński Henryk 603.
 Łużyński 527, 528, 529, 530.
 Łyszkowski 541, 542.
- M**aciej, biskup halicki 212.
 Maciejowski Samuel 318, 324.

- Magelan 299.
 Mahomet 8.
 Maksymilian Habsburg 300, 302, 303.
 Maksymilian II 328.
 Maksymilian 345, 356.
 Makronowski 452.
 Malczyński ks. 599.
 Malczewska Wanda 604, 605, 641, 642, 660.
 Małgorzata, żona Przemysł. 199.
 Manaczyński Jozafat 541.
 Mancewicz 551.
 Marcin, dominikanin 123.
 Marcin, bernardyn 227.
 Marcin, zmartwychwstaniec 599.
 Marchocka Teresa 394—397.
 Marek d'Aviano 420, 426.
 Maria, księżna halicka 207.
 Maria, królowa węgierska 112, 231.
 Maria Ksawera od Jez. 640, 683.
 Marian z Jeziorek 270, 287.
 Marian z Szamotoł 292.
 Mariaphil 451.
 Markiewicz Bronisław ks. 607, 645, 652, 653, 669, 670.
 Marks 677.
 Martuszewicz 494.
 Matejko 19, 608.
 Mateusz, kameduła 40.
 Mateusz, biskup krakowski 79.
 Maurycy św. 39.
 Mąkolnicki Tymoteusz 385.
 Melchior z Warki 348.
 Melnikow 547, 551.
 Mendog 137, 138, 154, 155, 172, 177, 204.
 Mengli-Girej 295.
 Metody św. 13—19, 26, 334.
 Metternich 560, 583, 601.
 Męciński Wojciech 379, 380, 381, 386.
 Mężeński 619.
 Mężyńska Ludwika 586.
 Micewicz Grzegorz 525, 539, 540, 544, 545, 546, 586, 619.
 Mickiewicz Adam 342, 482, 490, 502, 503, 504, 506, 507, 509, 510, 515—517, 556, 587, 588.
 Mickiewiczowa Celina 517.
 Mieszko I 19—27, 28, 33, 48.
 Mieszko II 41, 49, 50, 57, 76.
 Mieszko, książę obortycki 67.
 Mieszko Stary 76, 81, 82, 87, 92, 98, 99, 101, 107.
 Mieszko Kulawy 101, 145.
 Mieczysław, książę śląski 145.
 Mikołaj V, papież 256.
 Mikołaj I, car 490, 491, 495, 537, 587, 588, 590.
 Mikucki 543.
 Milbacher 562.
 Miliński Teodor 542.
 Mojmir 12.
 Mojmir II 18.
 Monika św. 558.
 Mościcki Melchior 322, 324, 348.
 Mosiewicz ks. 599.
 Możalski 545.
 Mściśław Udały 138.
 Mściśław Daniłowicz 190.
 Mściwoj 67.
 Mszczuj II 187, 194.
 Murawiew 549, 602.
 Napieralski 650.
 Napoleon Bonaparte 477, 478, 479, 480, 482, 638.
 Napoleon III 638.
 Nazimow 586.
 Niegolewski 600.
 Nil św. 30.
 Nils 303.
 Norbert św. 110.
 Nowakowski Wacław 615.
 Nowosilcow 487.

- Ochino** 324.
Ogiński Michał 464.
Olaf, król szwedzki 23.
Olkowicz Tomasz ks. 641.
Omiecińska Anna 437, 438.
Opizon 156, 161.
Oporowski Stanisław 313, 319.
Orzeszkowski Fabian 325.
Osman 364.
Ossoliński Jerzy 396.
Ostrogski Konstanty 340, 347.
Otokar I 146, 153.
Otokar II 153, 163, 164, 165, 178, 179, 183, 196.
Otton I 23, 24.
Otton II 24, 39.
Otton III 24, 33, 34, 35, 36, 38, 39, 41, 42.
Otton św. 72—75, 80.
Ożarowski Wiktor 636, 637.
- Pac Michał** 414, 415, 418.
Papczyński Stanisław 416, 417, 420, 422, 425, 431, 517, 518.
Parocchi 648.
Paskiewicz 535.
Paweł V, papież 40, 268, 331.
Paweł z Brudzewa 235, 240, 241, 242.
Paweł, bernardyn 327.
Paweł Szymon 358, 362.
Paweł, car rosyjski, 477.
Pawłowski Aleksander ks. 658, 673, 674.
Peleczar Józef 607, 647.
Pełka, arcybiskup 134, 159, 163.
Petryło 308.
Piekarski 415.
Pignatelli 416.
Piotr św. 7.
Piotr (Piotrowin) 60, 61.
Piotr, kapelan Wł. Hermana 65.
Piotr z Amiens 68.
Piotr, król jerozolimski 211.
- Piotr Dunin z Praskowic** 264, 274, 275, 276, 277.
Piotr, gospodar wołoski 316.
Piotr Wielki 432, 433, 434.
Piotrowski 340.
Pius VI, papież 273.
Pius IX, " " 375, 379, 404, 439, 597, 603, 621, 634, 647.
Pius X, papież 481, 663.
Pius XI, " " 404, 679.
Plater Cezary 507.
Pławski Adam ks. 542.
Podgórski Jan 481, 497, 499.
Podiebradzki Jerzy 263, 264, 272, 273, 573.
Pomarski Franciszek 358.
Pomarski Stanisław 358.
Pongracz 373.
Poniatowski Stanisław August 447, 452, 455, 469, 471, 472, 474, 523.
Poniatowski Michał 463.
Poniatowski Józef 471, 482.
Popel 618, 619.
Popławski 469.
Poraj 75.
Porzycki Stanisław 518.
Possewin 341.
Potocki Andrzej 426.
Potocki Franciszek Salezy 454.
Potocki Prot 462.
Potocki Stanisław 469.
Prandota 135, 150, 151, 158, 161, 163, 166, 168, 175, 179.
Prischnitz 573.
Przemysław I 149, 163, 171.
Przemysław, król polski 171, 172, 177, 180, 181, 184, 185, 187, 189, 194, 195, 199, 200, 234.
Przewoźna Franciszka 585.
Pułaski Józef 450.
Pułaski Kazimierz 450, 456.
Purkyna Jan 584.
Puzyna 107.

- Radziejowska** Ludwika 637, 638, 650.
Radziejowski ks. 637, 638, 650.
Radziwiłł Bogusław 400, 403.
Radziwiłł Antoni 489, 583.
Radziwiłłówna Barbara 317, 318.
Radzym 30, 38.
Rafał z Proszowic 311.
Rajmund z Tuluzy 114.
Rakoczy Jerzy 373, 402, 405.
Rastyc 12, 14, 15, 16, 17.
Reginald, kardynał 160.
Reichenberg Antoni 608, 654, 660.
Reinbern 46.
Rej Andrzej 312, 315.
Rej Mikołaj 342.
Rembiszewska Eleonora 643.
Repnin Mikołaj 448, 450, 452.
Rogalski Antoni 466.
Rogatko Kazimierz 387.
Roman Rurykowicz 99, 101.
Romanow Michał 360, 363.
Romuald św. 34, 35, 40.
Ropp, arcybiskup 680, 681.
Rostkowski 518.
Rubinkowski Wojciech 421, 423.
Rudomina Jędrzej 379, 380.
Rudolf Habsburg 183.
Ruryk 43.
Rus 6.
Ryksa 41, 52.
Ryksa, żona Przemysława 188, 189, 199.
Ryłło Maksymilian 511.
Ryndach 562.
Ryszard Lwie Serce 97, 98.
Rzewuski Seweryn 448.
Rzewuski Wacław 448, 449, 450.
- Sacher** Masocha 562.
Sadkowski Wiktor 479, 492.
Sadok 116, 119, 121, 123, 124, 125, 127, 131, 163, 172, 173.
- Saint-Simon** 505, 506.
Salomea 102, 109, 138, 139, 147, 150, 151, 163, 167, 172, 175, 182, 183, 184, 190, 204, 212, 233, 276.
Salomea, ks. mazowiecka 182.
Sawicki, jezuita 351, 358.
Sawicki 551.
Schulz 464.
Serafina 665.
Sembratowicz Józef 621.
Semeneńko Piotr 507, 508, 509, 517, 519, 520, 588, 607, 647, 648.
Serwatowski 562, 563.
Siedliska Franciszka 605, 643, 644, 660.
Siedliski 605.
Siemaszko Józef 492—496, 527, 528, 530, 532, 534, 536, 539, 541, 543, 546—552, 585, 586, 590, 618.
Siemaszko ks. 652.
Siemieński Jacek 604.
Sieniawski Mikołaj 316.
Sieniewicz 619, 620, 621.
Sienkiewicz Henryk 390, 399.
Skarbak Fryderyk 505.
Skarga Piotr 111, 331, 338, 339, 341, 342, 343, 344, 345, 346, 348, 350, 352, 353, 357, 361, 362, 367, 451, 473, 538, 539, 622, 686.
Skorupka Ignacy ks. 677, 678, 679, 688.
Skrzynecki 517.
Skwierczyński 607.
Słobodzki Jozafat 545.
Słowacki Juliusz 511.
Smolikowski ks. 517.
Smolikowski 641.
Sobańska Róża 603.
Sobieska Teofila 395, 413.
Sobieski Jakub 421, 427, 428, 433.

- Sobieski Jan III 395, 406—410, 413—427, 429, 431, 439, 517, 577, 678.
- Sobieski Marek 397.
- Sobieski Konstanty 433.
- Sobieska Maria, królowa 421, 422, 423.
- Sokolski ks. 597, 598.
- Soltanowski Ignacy 535, 536, 538, 586, 632.
- Soltyk Kajetan 448.
- Spitygniew 20.
- Stackelberg 466, 467.
- Stanisław św. 59—63, 65, 93, 151, 157—163, 179, 192.
- Stanisław Kazimierz 255, 266, 267, 280, 287.
- Stanisław Kostka św. 328—331, 371, 380.
- Starczewski Leonard 382.
- Starkiewicz ks. 621.
- Starowolski 419.
- Staszic Stanisław 461, 475.
- Stefan, gospodar wołoski 293, 316.
- Suchońska Nimfa Kazimiera 431.
- Suła 59, 65.
- Sułkowski August 469.
- Sven Sture 303.
- Swatopluk 17.
- Swen Widłobrody 23.
- Sygryda 23.
- Sylwester II, papież 38.
- Szczepan św. 23, 33.
- Szembek 349.
- Szekspir 449, 450.
- Szela 562.
- Szklarczyk Jan 291.
- Szujski Wasyl 359, 363.
- Szumborski 533, 534, 535, 552, 553.
- Szwermicki Krzysztof 519, 520, 588, 589, 614, 615—617.
- Szymański Beniamin 593.
- Szymański Paweł 533, 534, 618.
- Szymon z Lipnicy 250, 266, 280, 282, 283, 286.
- Szymon, augustianin 310.
- Światopełk, książę ruski 46.
- Światopełk, ks. pomorski 130, 234.
- Świdrygiełło 245, 246.
- Świętosław 254, 280, 286, 287.
- Świniarski ks. 468.
- Tarło Jan 518.
- Tarnowski Jan 304, 308, 316, 318.
- Teofania 24, 29, 39.
- Teofan 377.
- Tepper 462.
- Teresa od Dz. J. św. 331.
- Teresa od św. Augustyna 439.
- Terlecki 513.
- Tęczyński Jan 331.
- Tomasz z Akwinu 115.
- Tomasz, biskup wrocławski 159, 163.
- Tomasz a Kampis 502.
- Towiański 516, 517.
- Trąba Mikołaj 224.
- Trączyński 436.
- Trojden 207.
- Truskowska M. 593, 612.
- Ujejski Kornel 570.
- Urban II, papież 68.
- Urban VIII, papież 273, 379.
- Urban Jan ks. 626.
- Vasco de Gama 298.
- Wacław św. 20, 22, 26, 179.
- Wacław, dominikanin 176.
- Wacław II 196, 197, 200, 201, 202.
- Wacław III 202.
- Wacław, bernardyn 327.
- Waldemar, król duński 211.

- Wańkowicz ks. 666, 667.
 Warcisław 72, 73, 74.
 Warszawicki Stanisław 330.
 Wasilewski ks. 621,
 Wasyl, książę moskiewski 301,
 303.
 Watzelrode 293, 295.
 Welinowicz Jan ks 621.
 Węgrzecki Michał 466.
 Wielopolski Aleksander 583, 601,
 602, 635.
 Wielisław ze Szczepanowa 59.
 Wiktoryn 573.
 Wilczek Bernard 306.
 Wilczyński F. 610, 611.
 Wilhelm, biskup Modeny 134.
 Wilhelm habsburski 213—221,
 223, 224, 230, 231.
 Willigis 34.
 Wilson 675.
 Wincenty Kadłubek 89, 92, 96—
 108, 111, 115, 117, 175, 285.
 Wincenty a Paulo św. 398. 652.
 Wisław, dominikanin 176.
 Wisław, franciszkanin 210.
 Wiśniowiecki Jeremi 397.
 Wiśniowiecki Michał Korybut
 407, 408.
 Wit 155, 163, 166, 177.
 Witold 225, 227, 232, 233, 236,
 245.
 Witwicki Stefan 507.
 Władysław Herman 52, 64—67,
 69, 72.
 Władysław II 76—78, 80, 101.
 Władysław Laskonogi 130.
 Władysław, książę śląski 145,
 163.
 Władysław, dominikanin 176.
 Władysław Łokietek 184, 185,
 194, 195, 197, 198, 200,
 207, 210, 334, 479.
 Władysław Opolski 211, 216, 217,
 218, 230.
 Władysław Warnieńczyk 251,
 252, 253, 259, 261, 263, 274,
 301, 306, 308, 365, 388, 449.
 Władysław Jagiellończyk 271,
 272, 273, 274, 278, 287,
 296, 301, 302, 303.
 Władysław Pogrobowiec 263,
 264.
 Władysław IV 359, 360, 363, 374,
 383, 384, 388, 390, 393,
 394, 396, 406.
 Włodzimierz 43, 44.
 Włodzimierz z Brudzewa 235.
 Wojciech św. 26, 28—38, 63, 93
 112, 151, 285, 409, 456.
 Wojciech ks. 72, 74.
 Wolmir 163.
 Wolek Epifaniusz 402.
 Wratysław I, ks. czeski 20.
 Wratysław II, król czeski 56.
 Wybicki Józef 466.
 Wychowski 405.
 Wyczółkowski Leon 607.
 Wysz Piotr 222.
 Wyszyński Stanisław 445, 446,
 518.
 Ząbkowski Franciszek 399.
 Zakrzewski, bernardyn 311.
 Zaleski Józef 507.
 Zaleski Bogdan 507.
 Załuski Andrzej 445, 448.
 Załuski Józef 445, 448.
 Zamojski Jan 336, 337, 338, 340,
 342, 343, 345, 346, 350,
 351, 352, 354, 355, 356,
 359, 360, 426.
 Zamojski Andrzej 462, 465, 466,
 467, 468, 469.
 Zamojski Władysław 511).
 Zan Tomasz 502.
 Zapolska Barbara 301, 302.
 Zarabelli 240.
 Zawisza z Oleśnicy 223.

- Zbigniew 64, 66, 71, 76.
 Zbigniew z Oleśnicy 223, 228,
 236, 245, 251, 252, 257.
 Zbierzchowski Zygmunt 421.
 Zbyszewski 641.
 Zdzisław, arcybiskup 86.
 Zebrzydowski Michał 356, 357,
 404.
 Ziemowit mazowiecki 163.
 Ziemowit IV, mazowiecki 213,
 214, 215.
 Zimowicz 349.
 Zofia, żona Jagiełły 257.
 Zofia Jagiellonka 279.
 Zubko Antoni 527, 532, 539, 540,
 543, 548, 550.
 Zygmunt Luksemburczyk 230,
 231, 236, 239, 242, 244,
 245, 263.
 Zygmunt Stary 271, 278, 290,
 296, 297, 300, 301, 302,
 303, 306, 309, 311, 313, 315,
 317, 342, 344, 359, 392, 410.
- Zygmunt August 296, 297, 302,
 315, 316, 317—319, 324,
 325, 327, 330, 332, 333,
 336, 337, 338, 342, 343,
 344, 381.
 Zygmunt III Waza 344, 345, 346,
 347, 349, 351, 352, 355,
 359, 360, 363, 370, 372,
 374, 377, 381, 383, 384,
 393, 406, 415.
 Zym 602.
 Zyndram z Maszkowic 235.
- Ż**arski 527, 536.
 Żelazowski Kazimierz 398.
 Żeleźniak Maksym 454, 472.
 Żiżka Jan 230.
 Żółkiewski Stanisław 355, 356,
 357, 359, 364, 365, 366—
 367, 376, 401, 413, 419,
 449, 678.
 Zyliński 603.

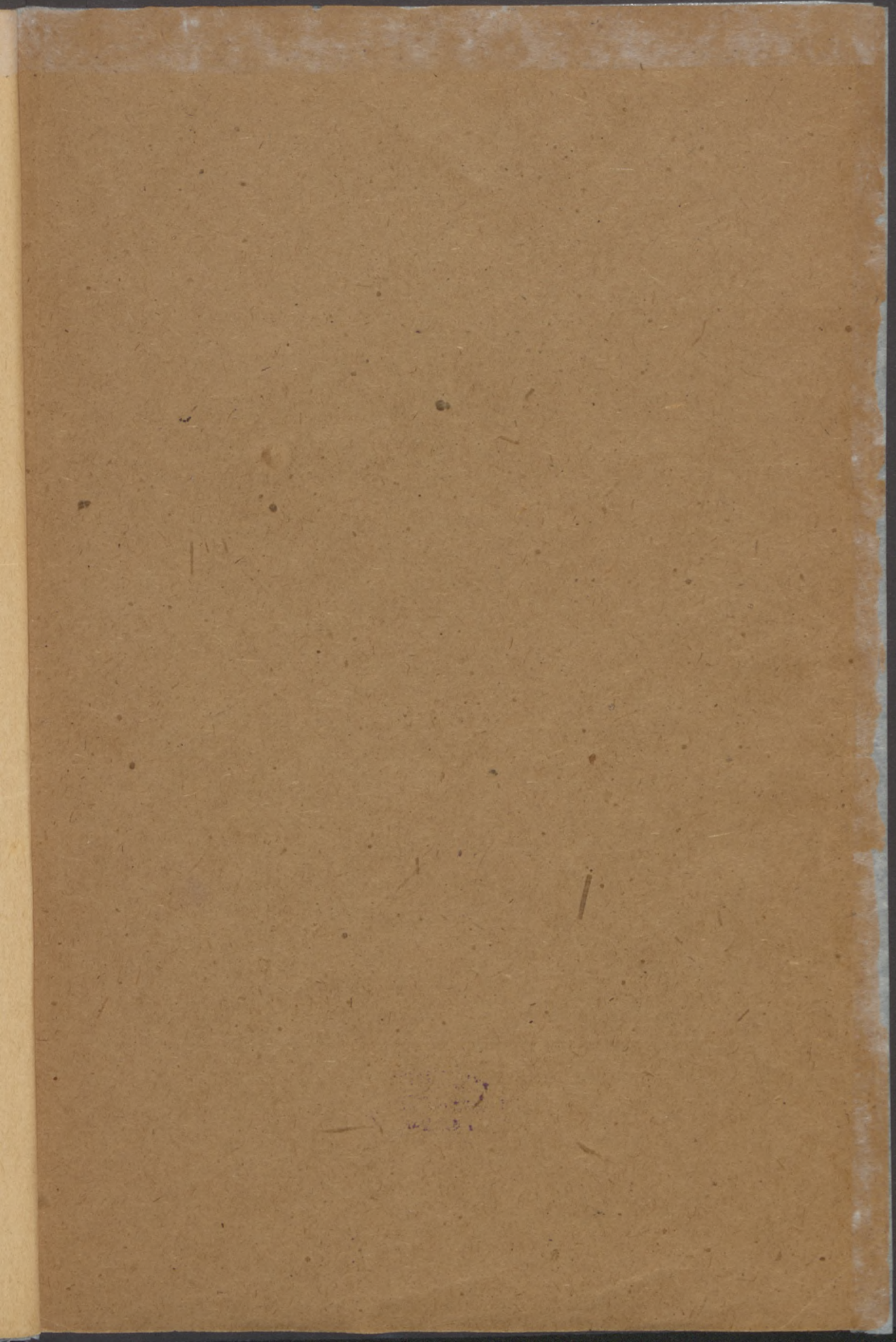




SPIS TREŚCI

	str.
1. Przed chrztem Polski	5
2. Początki chrześcijaństwa w Polsce	13
3. Rzesza słowiańska	26
4. Przesilenie społeczne	49
5. Czyje jest Pomorze	64
6. Pokolenie synodu łęczyckiego	85
7. Zakony	109
8. „Zakon”	125
9. Pierwszy najazd Mongołów	140
10. Kanonizacja św. Stanisława	157
11. Początki odrodzenia	170
12. Wznowienie królestwa	193
13. Lilia Wawelu	213
14. O moralność w polityce	230
15. Od morza do morza	249
16. Świętość i historia	271
17. Początki nowożytności	289
18. Czasy soboru trydenckiego	310
19. Czterech wielkich mężów	336
20. Najszerze granice	354
21. Nowy okres świętych	369
22. „Potop”	390
23. Ocalenie chrześcijaństwa	409
24. Najsilniejsze rządy	429
25. Ostatni król polski	447
26. Drobne państewka polskie	476
27. Wielka emigracja	501
28. Tępienie unii kościelnej	522
29. Z dymem pożarów	556
30. Około wojny krymskiej	583
31. Powstanie styczniowe	592
32. Podlasie i Chełmszczyzna	618
33. Siła a prawo	633
34. Na przełomie wieków XIX i XX	656
35. Niepodległość odzyskana	672
Index alfabetyczny	690





274

30051897067

Biblioteka Główna UMK



300051897067

Wydawca, miejsce odbicia, miejsce wydania: Drukarnia Tow. Św. Michała
Arch. w Miejscu Piastowym, pow. Krosno.